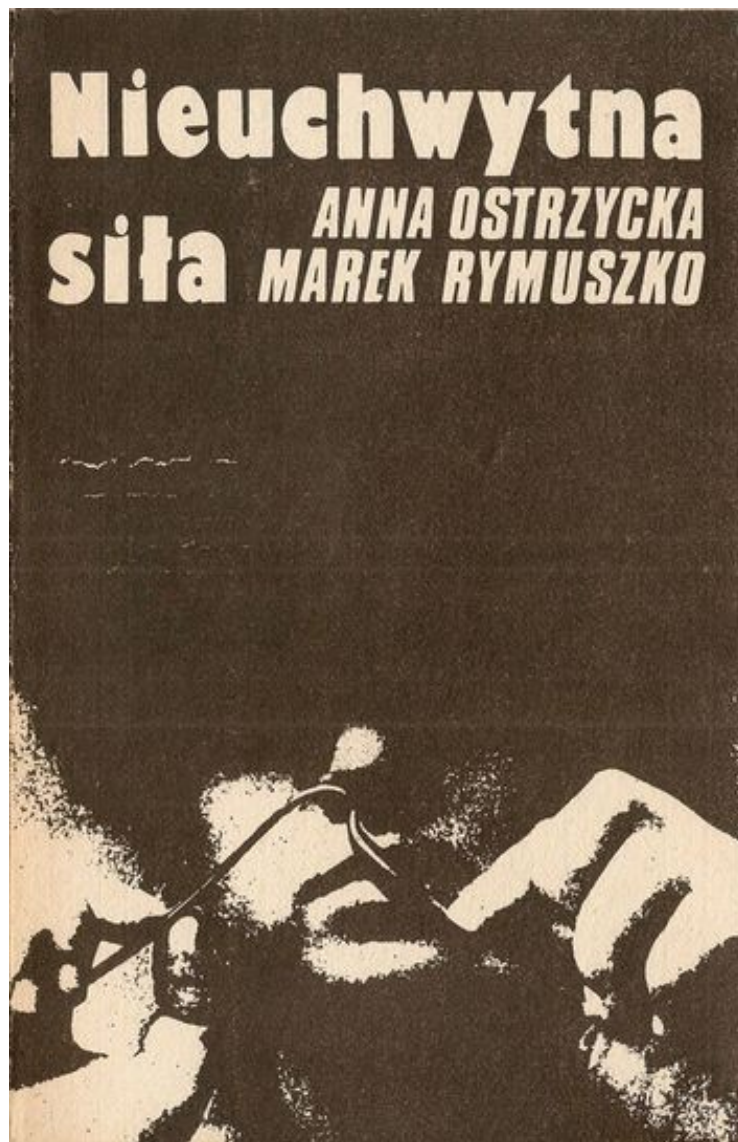


Nieuchwytna

sita ANNA OSTRZYCKA
MAREK RYMUSZKO





Anna Ostrzycka
Marek Rymuszko

Nieuchwytna siła

OFICyna LITERATÓW „RÓJ”
WARSZAWA 1989

SPIS TREŚCI

Zamiast wstępu 4

Chcemy tego, czy nie chcemy, historia wielkich odkryć naukowych jest zarazem historią bezpardonowej walki z tymi odkryciami w imię obowiązujących w danym okresie dogmatów, które tworzą silną i skuteczną zaporę wobec wszystkiego, co nowe.

Co się stało w Sosnowcu? 8

Wprawione samoczynnie w ruch przedmioty w mieszkaniu Gajewskich widzieli domownicy i sąsiedzi, urzędnicy miejscy i milicjanci. „Nawiedzony dom” zaczęły oblegać tłumy gapiów.

Spięcia, rezonanse, falstarty 13

Najważniejsze we wstępnej fazie eksperymentów okazało się doświadczenie, polegające na pocieraniu przez Joasię dwoma palcami łyżeczki z nierdzewnej stali. Po około sześciu minutach łyżeczka wygięła się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Taka sama jak my, choć trochę inna 17

Wychowawczyni napisała na tablicy zdanie: „Nasza koleżanka jest taka sama jak my, choć trochę inna”, tłumacząc, że to, co dzieje się wokół Joasi, nie ma nic wspólnego z duchami, a nauka wcześniej czy później wyjaśni mechanizm tych zjawisk.

Więcej światła 20

5 lipca 1983 r. podczas doświadczeń z Joanną, prowadzonych w szpitalu w Reptach Śląskich przez lekarza oraz fizyka, przemieściły się w pokoju: radiomagnetofon, mikrofon, latarka, piłeczka pingpongowa, trampek oraz koc.

Chłodne oko kamery 31

Ekspertyza laboratoryjna dokonana w Tokio wykluczyła skazę na taśmie z zapisem magnetowidowym. Oznaczało to, że zarejestrowany przez kamerę efekt w postaci dwóch następujących po sobie błysków był obrazem lecącego z ogromną prędkością przedmiotu.

Pokój 309 37

W zakopiańskim sanatorium, gdzie przebywała bohaterka książki, kilkakrotnie dochodziło do „eksplozji” kinetycznych. 30 stycznia 1985 r. w pokoju 309 wyrwana została ze ściany w ułamku sekundy umywalka razem z metalowymi podporami, a kran rozpadł się na dwie części.

Bez niedomówień 45

W Instytucie Fizyki UJ podczas doświadczeń dziewczynka kilkakrotnie wygięła łyżeczki poprzez ich pocieranie. Prowadzący eksperyment czterej naukowcy w podpisany przez siebie dokumencie wykluczyli możliwość mistyfikacji.

W kręgu hipotez 50

Niezwykłe zjawiska mogą być spowodowane lokalnymi zaburzeniami elementarnych oddziaływań, falami grawitacyjnymi określonej częstotliwości, szczególnym metabolizmem komórkowym lub specyficznym transferem półkul mózgowych.

Spokój, przede wszystkim spokój 68

Fenomeny kinetyczne nie są naszym wymysłem. Japończyk Masuaki Kyota potrafi „odbić” na błonie fotograficznej proste obrazy, będące wytworem jego wyobraźni, a Nina Kułagina w obecności świadków wprawiała wzrokiem w ruch przedmioty oraz zatrzymywała serce żaby.

Eksperymenty doktora Egely'ego 75

Na trzysta osób poddanych eksperymentom przez węgierskiego fizyka dr. Egely'ego w trzydziestu przypadkach uzyskano rezultaty świadczące o oddziaływaniu psychokinetycznym.

Ostatni zapis 79

Uskarżająca się od czasu do czasu na zawroty głowy Joanna Gajewska zafundowała również zawrót głowy współczesnej nauce. Czas pokaże, czy ów stan będzie uleczalny czy też przerodzi się w długotrwałą migrenę.

Często przechodzi mnie zimny dreszcz i pytam sam siebie czy nie poświęciłem życia fantazjowaniu.
(Darwin w liście do Lyella, 1859 r.)

Zamiast wstępu, czyli dwie lub trzy rzeczy, o których warto wiedzieć

Fenomeny, nie tylko psychotroniczne, aby mieć szansę znalezienia się w programach placówek badawczych oraz instytutów naukowych, musiałyby zostać wcześniej zaplanowane.

Znany fizyk austriacki Ludwig Boltzmann powiedział, że w naturze nie ma niczego niemożliwego; są tylko wydarzenia w najwyższym stopniu mało prawdopodobne. Słowa te traktujemy jako myśl przewodnią naszej książki, stanowiącej zapis szczególnej przygody reporterskiej, którą dane nam było wspólnie przeżyć.

Jej początek wyznaczył 1983 rok, kiedy to na łamach gazet i czasopism po raz pierwszy pojawiło się nazwisko trzynastoletniej Joasi Gajewskiej z Sosnowca, w obecności której miało dochodzić do niezwykłych manifestacji psychokinetycznych. Niestety, większość doniesień na ten temat, co w takich przypadkach stanowi regułę, utrzymana była w tonie sensacji, zamazującej istotę fenomenu, przede wszystkim zaś utrudniającej oddzielenie bezspornych faktów od plotek i trudnych do zweryfikowania stwierdzeń.

Podejmując próbę opisu zjawiska, nie od razu przyjęliśmy, że mamy do czynienia z fenomenem autentycznym. Historia zjawisk paranormalnych jest bowiem z jednej strony historią walki o uznanie ich realności, z drugiej zaś pasmem oszustw skutecznie zniechęcających wielu badaczy do zajmowania się problemem. Dodatkową trudność stanowi tu brak przejrzystych wskazań metodologicznych, nie mówiąc już o kłopotach z samą semantyką. Wokół terminu „parapsychologia” nawarstwiło się tak wiele nieporozumień, a jednocześnie nadużyć interpretacyjnych, że w zupełności to wystarcza, by nawet ci naukowcy, którzy prywatnie interesują się fenomenami *psi* (terminem „zjawiska psi” — od greckiego słowa *psyche* — w światowej literaturze psychotronicznej określa się oddziaływania pomiędzy organizmami i ich środowiskiem, przekazywane bez udziału znanych czynności czuciowo-ruchowych — przyp. A.O. i M.R.), oficjalnie odżegnywali się od nich w obawie o swoją profesjonalną reputację.

W trakcie zbierania materiałów do książki, której napisanie poprzedziły dziesiątki, jeśli nie setki rozmów, mieliśmy tego wymowne dowody. Liczni interlokutorzy, a byli wśród nich znani fizycy, lekarze oraz biolodzy, okazywali żywe zainteresowanie przedstawionym im materiałem i niejednokrotnie udzielali nam cennych wskazówek interpretacyjnych), ale najczęściej stawiali warunek, że w reporterskiej relacji pozostaną postaciami anonimowymi. Niewielu było takich, którzy nie mieli tych zastrzeżeń. Do nich należy m. in. prof. Arkadiusz Góral, który w cyklu publikacji, drukowanych w latach 1982—1985 na łamach „Przeglądu Technicznego”, podjął śmiałą próbę naukowego wyjaśnienia niektórych fenomenów psychotronicznych, budując na podstawie osobistych przemyśleń, doświadczeń oraz obserwacji własną, bardzo interesującą teorię.

Człowiekiem, który badaniom zjawisk psychotronicznych, zwłaszcza zaś telepatii, poświęcił wiele lat swojego życia, był zmarły w 1979 roku prof. Stefan Manczarski. Ten wybitny specjalista w zakresie radioelektroniki już w latach dwudziestych wysunął hipotezę o elektromagnetycznym, pozazmysłowym nośniku informacji. Prowadził on m. in. badania wybranej grupy osób, które przekazywały sobie na odległość geometryczne figury testowe. Doświadczenia i prace prof. Manczarskiego zmierzały do wyjaśnienia niektórych zjawisk ESP (*extrasensory perception* — postrzeganie pozazmysłowe) metodami naukowymi i znalezienia ich fizycznej interpretacji. W najpełniejszym stopniu znalazło to odzwierciedlenie w wydanej w 1977 roku książce *Tajemnice parapsychologii*, którą prof. Manczarski napisał wspólnie z Krzysztofem Boruniem. Warto jednak przypomnieć, że rezultaty przemyśleń profesora i zbudowanej na ich podstawie teorii można znaleźć już w starych, archiwalnych numerach „Przeglądu Telekomunikacyjnego”, czy też w materiałach z sympozjum, które odbyło się w 1963 roku na temat „Problemów nowoczesnych systemów teletransmisyjnych”.

Prof. Manczarski należał do ludzi niezbyt przejmujących się atakami, jakich mu niestety nie oszczędzono (a zdarzały się wśród nich również opinie oraz stwierdzenia nader odległe od tego, co zwykliśmy określać pojęciem kultury polemicznej). Kiedy jeden z jego współpracowników żalił się, że w instytucie naukowym, w którym pracuje, ma nieprzyjemności z powodu zainteresowań zjawiskami

psychotronicznymi, Manczarski miał odrzec: „Cóż pan chce, panie kolego, i tak działamy w warunkach luksusowych. Kilkaset lat temu spaliliby nas na stosie”.

Obecna sytuacja przypomina trucht po obwodzie błędnego koła. Ten bowiem, kto w ramach swojej działalności naukowej próbuje badać zjawiska psychotroniczne, w najlepszym przypadku naraża się na ostentacyjną niechęć środowiska oraz kpiny, a nierzadko musi się również liczyć ze znacznie poważniejszymi konsekwencjami, takimi jak utrata prestiżu, lub nawet pracy. Ciągłe jest nie do pomyślenia, aby funkcjonowała u nas placówka naukowa, podobna do istniejącej na Uniwersytecie w Munster (RFN), gdzie dr Wolfgang Howald, z którym mieliśmy okazję rozmawiać w 1985 roku, napisał i obronił pracę doktorską poświęconą różnym aspektom medytacji transcendentalnej, wyższych stanów świadomości oraz zdolności paranormalnych. Jej autor — dodajmy, aby uniknąć nieporozumień — badał fizjologiczne oraz psychologiczne efekty stosowania określonych technik paranormalnych, takich jak np. medytacja transcendentalna czy joga, szczegółowo je rejestrując i opisując (gwałtowny spadek zużycia tlenu w organizmie, osłabienie tętna, zanikanie kwasu mlekowego i kortyzonu we krwi, wzrost oporności skóry czy wręcz specyficzna koherencja EEG).

U nas na badanie fenomenów, nie tylko psychotronicznych, nie ma pieniędzy. Ponadto fenomeny, aby mieć szansę znalezienia się w programach placówek badawczych oraz instytutów naukowych, musiałyby być przedtem zaplanowane. Wynika to z faktu, iż wspomniane programy — wraz z przydzielonymi na ich realizację środkami — konstruowane są z wieloletnim wyprzedzeniem, co późniejszą modyfikację czyni zazwyczaj niemożliwą, a w każdym razie bardzo trudną. Najlepszym tego przykładem są właśnie badania fenomenu psychotronicznego Joasi Gajewskiej z Sosnowca. Tylko niewielka ich część, dotycząca analizy ewentualnych zmian struktury fizycznej próbek metali odkształconych przez dziewczynkę, stała się integralną częścią programu pracy Instytutu Metaloznawstwa i Spawalnictwa Politechniki Gliwickiej. Wszystkie pozostałe eksperymenty i doświadczenia prowadzone były przez grupę pracowników naukowych oraz lekarzy w ramach prywatnego czasu i zainteresowań, zaś po zorganizowaniu w 1984 roku oficjalnego zespołu badawczego sprawa utknęła w martwym punkcie.

Piszemy o tym wszystkim, żeby uświadomić trudności, jakie wiążą się z badaniami zjawisk *psi*. Łatwiej tu spotkać się z lekceważeniem czy wręcz szyderstwem niż wywalczyć prawo do rzetelnej oceny faktów, które są ponad wszelką wątpliwość **faktami**.

Nie ułatwia również sytuacji krzykliwość niemałej grupy zwolenników zjawisk paranormalnych, których arogancja oraz pewność siebie stanowią lustrzane odbicie identycznych cech osób totalnie negujących realność zjawisk psychotronicznych i kwalifikujących je — zawsze i wszędzie — jako ciemnotę, zabobon lub oszustwo. Dla tej drugiej grupy ludzi nie ma żadnej różnicy między działalnością religijnego fanatyka, który wskutek „objawienia” zaczął „uzdrowiać” tłumy na oławskich działkach, a badaniami plazmy biologicznej wchodzącej w skład biopola żywych organizmów, jakie prowadzi dr Wiktor M. Iniuszyn z Laboratorium Biofizycznego w Ałma-Acie. Przykładem „życia pozaumysłowego” jest w ich mniemaniu zarówno „wykrywanie” różdżką lub wahadełkiem wirusa AIDS (niestety, był taki przypadek), jak i książka „Tajemnicze zjawiska psychiki człowieka”, napisana przez jednego z najwybitniejszych radzieckich psychologów, dziekana Wydziału Fizjologii na Uniwersytecie w Leningradzie, Leonida Wasiliewa.

Przyjęcie takiej płaszczyzny dyskusji, jaką prezentują zwolennicy wspomnianej opcji, chętnie i szczerze szafujący określeniami w rodzaju „szamaństwo” czy „guślarstwo” bez względu na konkretną sprawę, która jest tematem rozważań, byłoby tożsame z aprobatą metody prowadzenia sporu na zasadzie: „Głupiś” — „Sam głupiś”. Na szczęście istnieje dostatecznie pojemny obszar życiowej empirii, umożliwiający poważną, uargumentowaną konfrontację racji między zwolennikami obu przeciwstawnych punktów widzenia. Jest w nim zwłaszcza miejsce dla scientysty, który — wątpiąc — niczego z góry nie odrzuca. Co najważniejsze jednak, w obszarze tym mogą, a nawet powinny znaleźć się pewne ogólniejsze zagadnienia, dotyczące wzajemnych relacji, jakie zachodzą między nauką a otaczającą nas rzeczywistością oraz — bo to równie ważne — jej badaczami.

Chcemy tego, czy nie chcemy, historia wielkich odkryć naukowych jest zarazem historią bezpardonowej walki z tymi odkryciami w imię obowiązujących w danym okresie aksjomatów i paradygmatów, tworzących silną i często bardzo skuteczną zaporę dla wszystkiego co nowe. Przykładów na poparcie tej tezy można znaleźć setki. Oto kilka z nich.

Osiemnastowieczni fizycy sądzili, że światło stanowi strumień fotonów, czyli takich obiektów kwantowych, które mają charakter cząsteczkowy (korpuskularna teoria światła Newtona). Opublikowane w XIX wieku prace Thomasa Younga, wedle których światło ma charakter falowy, spotkały się początkowo z zaciekłym oporem i musiało upłynąć dużo czasu, nim uitorowały sobie drogę w fizyce. A przecież i one nie były w tej sprawie ostatnim słowem. Kolejne odkrycia naukowe pozwoliły bowiem stwierdzić, że światło ma

charakter zarówno fałszywy, jak i cząsteczkowy.

Wilhelm K. Roentgen po odkryciu promieni X został wyśmiany i uznany niemal za oszusta, gdyż jak orzeciono autorytatywnie podczas debaty naukowej: „jest rzeczą śmieszną twierdzić, że mogą istnieć jakieś promienie niewidoczne dla oka”. Podobny los spotkał Ignaza P. Semmelweisa, który po raz pierwszy wyjaśnił przyczyny gorączki połogowej, czego omal nie przypłacił utratą profesury i przekreśleniem całego dorobku naukowego wskutek zacieklej kampanii, jaką przeciwko niemu rozpętano.

Na zdecydowany opór natrafiły badania twórcy podstaw mikrobiologii oraz immunologii Louisa Pasteura, a zwłaszcza wynikające z nich wnioski, zaś w lunetę Galileusza nikt nie chciał zajrzeć, gdyż wszyscy i tak dobrze „wiedzieli”, że w strefie Jowisza nie ma żadnych satelitów. Swoją drogę przez mękę przeszli: współtwórca nauki o alergii prof. Clemens von Pirquet i laureat Nagrody Nobla (za prace nad anafilaksją) prof. Charles R. Richet.

Opublikowana w 1827 roku przez prof. Georga Simona Ohma teoria elektryczności została nazwana „stękiem bzdur” i potraktowana jako „erupcja nieokiełznanej fantazji autora”. Uważano nawet (mówimy cały czas o środowisku naukowym!), że człowiek, który głosi podobne herezje, nie jest godzien prowadzić uniwersyteckich wykładów. Z identyczną oceną spotkała się ogłoszona w 1915 roku przez Alfreda Wegenera teoria dryfu kontynentalnego. Jeszcze w pięć lat później prezydent znanego i cenionego Towarzystwa Naukowo-Filozoficznego w Filadelfii określił ją mianem „przeklętej bredni”, zaś sam Wegener, zaszczytowany przez swoich oponentów, przedwcześnie zmarł.

Gdy w końcu XVIII wieku — to przykład już nieomal szkolny — zaczęły się mnożyć doniesienia o meteorach, francuska Akademia Nauk stwierdziła, iż „kamienie nie mogą spadać z nieba, ponieważ w niebie nie ma kamieni”. Gdybyż się tylko na tym skończyło. Opór członków szacownej instytucji sprawił, że posunięto się do tego, iż fałszowano relacje naocznych świadków, by nie podważyć własnego zachwianego autorytetu (jako że „kamienie z nieba” jednak spadały).

Warto wreszcie — odwołując się już do najnowszych polskich doświadczeń — wskazać na wielce pouczającą historię stosunku oficjalnej medycyny do akupunktury oraz ziołarstwa, odsądzanego jeszcze w latach pięćdziesiątych od czci i wiary. Leczenie ziołami długo uchodziło za zabobon ludowy, co na szczęście chroniło stosujących je w procesie terapii lekarzy od innego, znacznie poważniejszego zarzutu: hołdowania burżuazyjnym i drobnomieszczańskim przesądom. Dziś zioła wchodzi w skład licznych preparatów farmaceutycznych, a w przypadku niektórych schorzeń ordynuje się nawet całą kuracją ziołową. W dyskusji zorganizowanej w 1983 roku przez redakcję „Litieraturnej Gazety” z udziałem lekarzy oraz naukowców (była ona poświęcona tzw. niekonwencjonalnym metodom leczenia i możliwościom ich wykorzystywania w medycynie) padł postulat, by powołać specjalny instytut, który zająłby się badaniem wielu sposobów terapii zakwalifikowanych do tzw. medycyny ludowej w celu wykorzystania ich przez współczesną medycynę. Co zaś do akupunktury, to po latach długotrwałych polemik i sporów, w trakcie których lekarzom posługującym się tą metodą grożono odebraniem uprawnień do wykonywania zawodu oraz profesorskich tytułów, uzyskała ona ostatecznie oficjalny certyfikat ministerstwa zdrowia i jest obecnie z powodzeniem stosowana w wielu schorzeniach.

Przytoczenie tych przykładów jest ważne m. in. dlatego, iż uzmysławia z jednej strony, z jak ogromną trudnością niektóre teorie i hipotezy torują sobie drogę w świecie nauki, z drugiej zaś, jak często wiara w paradygmat — traktowany w kategorii absolutu, od którego nie ma odwołania — w ostatecznym rozrachunku okazuje się zawodna.

Powie ktoś: no dobrze, jaki to jednak dowód, że psychokineza, telepatia czy prekognicja (jasnowidzenie), przeczące znanym prawom fizyki i biologii, faktycznie istnieją? Oczywiście żaden. Pozwala natomiast bardziej wnikliwie spojrzeć na proces poznania i piętrzące się przed nim przeszkody jako na pewną prawidłowość, mającą swoją wewnętrzną dialektykę oraz logikę. Mówiąc w największym skrócie, chodzi o to, by zjawiska, które rozsądza kanony aktualnej wiedzy, nie traktować tylko z tego powodu jako nie istniejącego lub stanowiącego rezultat zreżymowanego oszustwa. Jeśli dyrektywę tę, tożsamą z postulatem **otwartości** wobec **nowego**, przełożyć na język praktyki, najładniej jej sens oddaje właśnie stwierdzenie: **bez euforii, ale i bez uprzedzeń**. Taka postawa wydaje się najbardziej uczciwa, a zarazem płodna poznawczo. Ona też towarzyszyła naszej pracy nad przygotowaniem książki.

Nieuchwytna siła nie jest pozycją popularnonaukową. Jest po prostu zapisem tego, co mieliśmy możliwość bezpośrednio obserwować lub rejestrować przez przeszło trzy lata, jakie upłynęły od chwili, kiedy po raz pierwszy pojechaliśmy do Sosnowca.

Nim przystąpiliśmy do pisania, kilkakrotnie zmienialiśmy koncepcję autorską. Było to spowodowane pojawiającymi się raz po raz nowymi faktami i wydarzeniami, determinującymi charakter i chronologię reporterskiego przekazu. Nie bez znaczenia była tu również zmieniająca się sytuacja w sferze badań fenomenu psychokinetycznego Joasi Gajewskiej. Oczekiwanie na kolejne wyniki eksperymentów, które

prorowadzone były z sosnowiecką nastolatką, spowodowały, że dwukrotnie opóźniliśmy złożenie maszynopisu w wydawnictwie. Wydawało nam się bowiem, że przedwczesne zakończenie reporterskiej rejestracji zjawiska, które trwa nadal i, co więcej, okresowo wykazuje tendencję do nasilania się, nie mówiąc o przybieraniu przezeń nie obserwowanych uprzednio postaci, zuboży dziennikarską dokumentację, a tym samym ostateczny kształt książki. Na przełomie 1986 i 1987 roku uznaliśmy jednak, że dalej czekać niepodobna. Z jednej strony bowiem w sferze badań fenomenu Joanny Gajewskiej, mimo wysiłków podejmowanych przez ludzi dobrej woli, nie rysuje się obecnie na tyle wyrazista i czytelna perspektywa, by można było spodziewać się po niej nowych, istotnych z naszego punktu widzenia, elementów, z drugiej zaś stwierdzone już dotychczas bezsporne fakty w postaci dokonanych badań i utrwalonych na taśmie magnetofonowej relacji osób, które z fenomenem bezpośrednio się zetknęły, wymagają uporządkowania i utrwalenia piórem, nim z biegiem lat zatrą się w pamięci.

Jesteśmy reporterami, a nie naukowcami. Nie możemy więc autorytatywnie wypowiedzieć się, czy za sprawą sosnowieckiej uczennicy dochodzi do lokalnych zaburzeń pola grawitacyjnego, jak chcą jedni, czy też zjawiska występujące w obecności dziewczynki związane są z określonym, specyficznym transferem półkul mózgowych (choć, nawiasem mówiąc, ta ostatnia koncepcja wydaje nam się najciekawsza i najbliższa naszym własnym przemyśleniom). Tym jednak, którzy zaprezentowane przez nas w rozdziale „W kręgu hipotez” teorie interpretacyjne dotyczące fenomenu potraktują wyłącznie jako fantazję (wszak — powiedzą — istnienie pola grawitacyjnego nigdy nie zostało dowiedzione w sposób nie budzący wątpliwości, a co dopiero mówić o jakichś innych siłach), polecamy lekturę amerykańskiego czasopisma naukowego „The Physical Review Letters” ze stycznia 1986 roku. Opublikowany tam artykuł — przedrukowany następnie w całości lub we fragmentach w wielu periodykach w Stanach Zjednoczonych i poza ich granicami — został uznany za jedną z największych sensacji naukowych ostatnich lat. Wynika z niego, że zespół fizyków, wśród których znaleźli się m. in. profesorowie E. Fischbach, D. Sudarsky, A. Szafer i S. H. Aronson, na podstawie wyników prowadzonych od dawna badań wysunął **hipotezę naukową** o istnieniu we wszechświecie tak zwanej **piątej siły przyrody**, odmiennej od odkrytych wcześniej czterech sił i określonej mianem **nadciężenia**. Zdaniem badaczy, odkrycie to zmienia w znacznym stopniu dotychczasowy obraz świata. Mówiąc w dużym uproszczeniu, potwierdzone wieloma eksperymentami badania wykazały, że ciała poruszające się w idealnej próżni i o różnorodnym składzie nie uzyskują identycznej szybkości pod wpływem tej samej siły grawitacyjnej, zaś zarejestrowane różnice — w opinii profesorów Fischbacha, Sudarsky'ego, Szafera i Aronsona — stanowią rezultat wpływu innej, nowej siły, znacznie słabszej od grawitacji i oddziałującej w tym samym kierunku, ale o przeciwnym do siły grawitacyjnej zwrocie. W praktyce oznacza to podważenie praw odkrytych już przez Galileusza i będących jednym z fundamentów teorii względności Einsteina.

Trudno w tej chwili orzec, w jakim stopniu odkrycie zrelacjonowane w „The Physical Review Letters” może mieć znaczenie dla zrozumienia tego, co dzieje się od kilku lat w otoczeniu Joanny Gajewskiej. Wierzymy, że nauka wcześniej czy później odpowie na to i na wiele innych pytań.

Nie jest też naszą ambicją przekonywanie kogokolwiek, że żyrafa istnieje, chociaż że jej budowa pozornie przeczy prawom natury. Pragniemy jedynie zauważyć, że odrzucenie faktów, składających się na dokumentację tej książki, musi być tożsame z przyjęciem założenia, iż wszyscy, którzy z fenomenem Joasi Gajewskiej bezpośrednio się zetknęli, którzy go widzieli i badali, rozmijają się z prawdą. Oczywiście można sobie wyobrazić, że fizycy, lekarze, urzędnicy, uczniowie, studenci i inni ludzie, którym oddajemy głos, zostali dotknięci jakimś szczególnym rodzajem halucynacji — każdy z osobna i wszyscy po prostu. Będzie to jednak nic innego, jak zajęcie znanej skądinąd postawy, w myśl której, jeśli nawet jakieś fakty istnieją, to tym gorzej dla nich samych.

Co się stało w Sosnowcu?

W nocy z 4 na 5 kwietnia w mieszkaniu rozpełtało się piekło. W powietrzu zaczęły nagle unosić się różne przedmioty, przede wszystkim talerze oraz szklanki. Niektóre, przelatując z ogromną szybkością, z hukiem rozbijały się o ścianę lub kredens. Rozpryskiwało się szkło, drżały szyby i meble.

Zamiętajmy tę datę: noc z 4 na 5 kwietnia 1983 roku. Bowiem właśnie wtedy nastąpił początek wydarzeń, które trwają do dziś.

Mógł to być humbug, typowa dziennikarska kaczka. Nie należało również wykluczać świadomej mistyfikacji. Jadąc po raz pierwszy do Sosnowca liczyliśmy się zwłaszcza z tą drugą ewentualnością. Już jednak wstępna dokumentacja, jaką sporządziliśmy, w szczególności zaś zapoznanie się z relacjami naocznych świadków incydentów w mieszkaniu przy ulicy Plonów 5 w pierwszych dniach kwietnia, pozwoliły przyjąć hipotezę, że zjawiska, o których pierwszy doniósł katowicki „Wieczór”, są autentyczne. Zagadką pozostawała natomiast ich siła sprawcza oraz mechanizm.

Sosnowiecka ulica Plonów nie wyróżnia się niczym szczególnym. Dużo tam starych domów, w większości zbudowanych jeszcze przed wojną, a zamieszkujące tę okolicę rodziny najczęściej są zasiedziałe od paru dziesiątków lat.

Państwo Ewa i Andrzej Gajewscy wraz z trzynastoletnią Joanną zajmowali jednopokojowe mieszkanie na parterze budynku przy ul. Plonów 5. Dziewczynka uczęszczała do szóstej klasy Szkoły Podstawowej nr 1 w Sosnowcu. Jej matka była telefonistką w jednym z miejscowych urzędów, zaś ojciec — hydraulikiem, pracownikiem Sosnowieckich Odlewni Staliwa. W sumie stanowili przeciętną rodzinę, jakich na Śląsku wiele.

28 czerwca 1982 roku zmarła Maria Tomecka, babka dziewczynki ze strony matki. Wydarzenie to odnotowujemy m. in. dlatego, że z testów psychologicznych, którym później poddana była Joasia, wynikało, iż z babką łączył ją silny związek uczuciowy, a śmierć bliskiej osoby pozostawiła w psychice trzynastolatki trwałe ślad. Zgon babki nastąpił w czasie wzmożonych przemian hormonalnych w organizmie dziewczynki, związanych z okresem biologicznego dojrzewania.

Dla egzegezy zjawisk zapoczątkowanych „eksplozją” psychokinetyczną w nocy z 4 na 5 kwietnia 1983 roku nie jest bez znaczenia w miarę precyzyjnie ustalenie niektórych okoliczności, poprzedzających owo wydarzenie. Niestety, nie zawsze okazało się to możliwe. Trudno zwłaszcza wykluczyć, że to, co nastąpiło później, zdominowało opcję zainteresowanych w takim stopniu, iż byli oni skłonni przywiązywać nadmierną wagę do rozmaitych epizodów z przeszłości, w istocie zwykłych w swoim codziennym wymiarze.

Pamiętając o tym, nie sposób pominąć przynajmniej dwóch faktów. I tak w relacjach rodziców dziewczynki oraz innych osób, które stykały się z nią w okresie kilku tygodni, poprzedzających nagłe wystąpienie zjawisk paranormalnych, powtarza się stwierdzenie, iż Joasia od pewnego czasu „strzelała”. Przypominało to pstrykanie paznokciami czy też suche trzaski (przytaczamy tu określenia użyte przez rozmówców), ogniskujące się wokół osoby nastolatki. Po raz pierwszy wystąpiły one w połowie stycznia 1983 roku (jedna wersja), ewentualnie na początku lutego (wersja druga). Nie zwrócono jednak wtedy na ten fakt większej uwagi, przypisując go po prostu nadmiernej elektryzacji, spowodowanej ciągłym obcowaniem z tworzywami sztucznymi, noszeniem ubrań z wełny itp. Żartowano jedynie, że witając się z Joasią trzeba uważać, bo mała ostatnio często „kopie”.

Druga okoliczność, która może, choć nie musi, mieć znaczenie dla rejestracji początkowego stadium fenomenu, dotyczy choroby Joasi. Od początku marca 1983 roku dziewczynka cierpiała na przewlekłą grypę. Utrzymywał się kaszel oraz temperatura wykazująca dziwne skoki. Potrafiła ona na przykład nagle, bez żadnej racjonalnej przyczyny, podnieść się do 40 stopni (takie były przynajmniej wskazania termometru), by wkrótce potem opaść i utrzymywać się na poziomie zbliżonym do normalnego. Co ciekawsze, konfrontacja odczytu słupka rtęci z bezpośrednim dotykiem ciała zdawała się wykluczać, by chorą trawiła tak wysoka gorączka. Lekarze, którzy wówczas badali Joasię, uważali przebieg grypy za nietypowy; niektórzy z nich podejrzewali chorobę zakaźną. Nie mogli jednak znaleźć żadnych jej uchwytnych objawów. Pewną rutynowość działań medycznych, jakie w tym przypadku zastosowano, oraz wieńczących je konkluzji można wytłumaczyć tym, iż w Sosnowcu, podobnie jak na całym Śląsku, dzieci stosunkowo często zapadają na zapalenie oskrzeli i dróg oddechowych, co stanowi konsekwencję koegzystencji z wielkim przemysłem, powodującym znacznie większe, niż przeciętne, zanieczyszczenia powietrza.

4 kwietnia 1983 roku był drugim dniem tradycyjnie obchodzonych w całej Polsce Świąt Wielkanocnych. W domu państwa Gajewskich upłynął on spokojnie, jeśli nie liczyć tego, że Joasia czuła się od rana jakby gorzej, narzekając m. in. na uporczywe bóle głowy. Po rodzinnej kolacji Andrzej Gajewski udał się na nocną zmianę do Sosnowieckich Odlewni Staliwa, natomiast dziewczynka wraz z matką oraz dziadkiem Marianem Tomeckim oglądali telewizję.

Ponieważ zrobiło się późno Marian Tomecki postanowił zanoć w mieszkaniu przy ul. Plonów i wrócić do domu dopiero następnego dnia. Cała trójka położyła się około północy, przy czym matka spała na leżance w kuchni, zaś dziadek wspólnie z wnuczką na wersalce w pokoju.

Wszystko zaczęło się około trzeciej nad ranem. Właśnie w wtedy na głowę Mariana Tomeckiego spadła słomiana mata. Po przebudzeniu próbował ją umocować na ścianie, ale, jak twierdził, mata „wrywała mu się z rąk, falowała, tańczyła”. W pierwszej chwili pomyślał, że to Joasia płata figle. Okazało się jednak, że mała śpi.

W chwilę później zaś w mieszkaniu rozpętało się piekło.

Według zgodnej relacji wszystkich trzech osób, które wówczas przebywały w domu, w powietrzu nagle zaczęły unosić się różne przedmioty, przede wszystkim talerze oraz szklanki. Niektóre z nich, przelatując z ogromną szybkością przez mieszkanie, z hukiem rozbijały się o ścianę oraz kredens. Rozpryskiwało się szkło, drżały szyby i meble. Fruwały również zapalone niewidzialną ręką zapalki, co — jeśli przyjąć tę obserwację za prawdziwą — jest najtrudniejsze do wytłumaczenia. Bojąc się pożaru dziadek gonił je po pokoju i rozdeptywał. Natychmiastowe zapalenie światła nie położyło kresu dewastacji. Co gorsza, odłamki szkła z rozbitych naczyń, jak gdyby ściągane niewytłumaczalną siłą, zaczęły lecieć w kierunku dziewczynki, kalecząc ją. Koc, którym była przykryta, okazał się tak naelektryzowany, że sypały się z niego iskry.

Zjawisko potęgowało się z każdą chwilą. W tej sytuacji przerażeni domownicy uciekli do mieszkających piętro wyżej sąsiadów — Jana i Gertrudy Jachów, których odgłosy dobiegające z parteru zdążyły już postawić na nogi. Właśnie Jan Jach, u którego dziewczynka z matką oraz dziadkiem znalazły schronienie, był pierwszą **postronną** osobą, mającą możliwość bezpośredniej obserwacji efektów psychokinetycznych. Jego relację przekazujemy na podstawie zapisu taśmy magnetofonowej, zarejestrowanego w grudniu 1983 roku podczas kręcenia materiału filmowego przez ekipę telewizji japońskiej, której towarzyszyliśmy w pracy.

— Czy może pan powiedzieć, jak to wyglądało?

— Obudziliśmy się z żoną, bo z dołu dochodził straszny łomot, jakby naczynia rozbijały się o podłogę albo ktoś walił czymś ciężkim o ścianę. Pomyślałem, że może sąsiad trochę wypił i jest tam awantura rodzinna, co było o tyle dziwne, że Gajewscy należeli do ludzi spokojnych i takie rzeczy u nich się nie zdarzały... Ledwo zdążyłem powiedzieć o tym żonie, gdy pani Gajewska przybiegła tu z córką i swoim ojcem. Byli bardzo wystraszeni; twierdzili, że w mieszkaniu latają różne przedmioty i jest koniec świata. Prosił, żeby mogli u nas trochę pobyc, bali się do siebie wrócić.

— Jak pan na to zareagował?

— Sądziłem, że to jakieś głupie żarty i zszedłem razem z nimi na parter. Po otwarciu drzwi zobaczyłem, że wszystko w mieszkaniu jest potrzaskane, wszędzie pełno szkła, na ścianach odpryski, słowem pełna ruina.

— Czy wtedy, jak pan tam zszedł, coś latało?

— Wtedy nie. Staliśmy dłuższą chwilę, ale nic się nie działo.

— W takim razie, czy widział pan tylko skutki wydarzenia czy coś więcej?

— To było dopiero za drugim razem.

— Proszę nam o tym opowiedzieć bardziej szczegółowo.

— Kiedy na dole znowu zaczęło trzaskać, poszedłem tam jeszcze raz i wtedy zobaczyłem rozbijające się o ścianę szklanki, garnki, talerze i kupę innych przedmiotów. Był przy tym potworny huk.

— Czy widział pan przedmioty w locie?

— Nie, w locie nie, dopiero gdy uderzały o ścianę. Z tym że w pokoju nikogo nie było. Gajewska i jej córka stały razem ze mną w progu. Te naczynia musiały lecieć z bardzo dużą prędkością, bo w ogóle ich nie było widać, dopóki nie spadły.

— Co pan wówczas zrobił?

— No, jakby to powiedzieć... miałem stracha. Nie wiedziałem, co o tym myśleć i szybko wróciłem z Gajewskimi na górę.

— Czy podczas pobytu dziewczynki i jej matki w pana mieszkaniu również doszło do samoczynnego przemieszczania się przedmiotów?

— Początkowo nie, dopiero potem.

— Potem, to znaczy kiedy?

— Chyba gdzieś po paru minutach. Żona zrobiła herbatę i zaraz zaczęło „rzucać”. Najpierw „cisnęło” książką, która spadła pod kredens. Joasia Gajewska podniosła ją i położyła na biurku, ale po chwili książka znowu poleciała pod kredens. Nikt nie mógł nią rzucić, bo wszyscy siedzieliśmy w tym momencie parę metrów dalej.

— Co pan jeszcze zapamiętał?

— Dziewczynka wyglądała na chorą, skarżyła się na ból głowy. Jej matka mówiła, że chyba ma gorączkę. Była mierzona temperatura i na termometrze wyskoczyło 40,5 stopnia. Potem mała zasnęła i wszystko się uspokoiło. (Koniec zapisu).

Zaalarmowany telefonem żony Andrzej Gajewski dotarł do domu około czwartej nad ranem. Początkowo nie bardzo miał na to ochotę, ponieważ zwolnić się z dyżuru w zakładzie nie jest łatwo, a poza tym przypuszczał, że małżonce coś się przywidziało. Już jednak w progu mieszkania przekonał się, że obcuje ze zjawiskiem realnym. Gdy wrócił z rodziną od Jachów i otworzył drzwi, zobaczył w ułamku sekundy przelatujący z kuchni do pokoju kamionkowy garnek, który uderzył w szybę kredensu, tłukąc ją w drobny mak, a następnie sam roztrzaskał się o podłogę.

Kolejne dni nie tylko nie przynoszą uspokojenia, ale świadczą o nasileniu się zjawiska. Niemal nieustannie trzeba zbierać z podłogi szkło — pozostałość po przelotach słoików, szklanek, talerzy, kubków i butelek. Kończący o pomoc w lokalnych urzędach Gajewscy traktowani są w dwojaki sposób: jako osoby niezrównoważone psychicznie lub oszuści. Lekarz z pogotowia, który przyjeżdża do gorączkującej Joasi, pyta krótko, kto w rodzinie był chory psychicznie, po czym odjeżdża, pozostawiając dziewczynkę nieprzytomną. Jej rodzice na każdym kroku spotykają się z niedowierzaniem i wrogością. Z powodu powtarzającej się raz po raz kanonady w mieszkaniu mają do nich również pretensję sąsiedzi, którzy nie mogą spać.

Przełomowym momentem okazuje się przybycie funkcjonariuszy MO z pobliskiego komisariatu, którzy po długich namowach Andrzeja Gajewskiego decydują się w końcu pojechać z nim do mieszkania (jak później powiedzą, oni również sądzili, że w grę wchodzi mistyfikacja).

Pierwszy wieczór upływa spokojnie; nic się nie dzieje. Nad Gajewskimi gromadzą się chmury. Na szczęście dzielnicowy, starszy sierżant Tadeusz Słowik, daje się przebłagać i następnego dnia przychodzi ponownie. Tym razem na efekty, których świadkiem jest również jeden z sąsiadów, nie muszą długo czekać. W kilka minut po powrocie Joasi od lekarza rozpętuje się piekło. Zaczynają latać szklanki, śruby i inne detale. Ich trajektorie są przy tym sprzeczne z elementarnymi prawami fizyki. Przedmioty wylatują np. z kuchni, w której nikogo nie ma, a następnie wykonują w powietrzu gwałtowny skręt, lądując w pokoju lub waląc w przeciwną ścianę. Niektóre przeloty, w odróżnieniu do poprzednich, są dobrze widoczne.

Raport MO, stwierdzający ponad wszelką wątpliwość, że w mieszkaniu przy ul. Plonów 5 dochodzi do niewytłumaczalnych zjawisk fizycznych, związanych z samoczynnym przemieszczaniem się przedmiotów, sprawia, iż władze miasta decydują się wreszcie potraktować całą sprawę poważnie. W domu Gajewskich zjawia się naczelny architekt Sosnowca Lech Fulbiszewski, któremu towarzyszą pracownicy wydziału urbanistyki. Inżynier Fulbiszewski jest przekonany, że przyczyną przesuwania się przedmiotów w mieszkaniu jest osiadanie ścian budynku. W rejonie, gdzie pod ziemią biegną dziesiątki górniczych chodników, taka hipoteza wydaje się w pełni uzasadniona. Oznacza to, że przebywającym tam ludziom zagraża niebezpieczeństwo.

Z oględzin domu wynika, że alarm był fałszywy. Konstrukcja liczącego kilkadziesiąt lat budynku jest prawidłowa; nie widać również najmniejszych oznak zarysowania ścian. Jednocześnie obecni w mieszkaniu urzędnicy są naocznymi świadkami zjawisk, które dotychczas znali jedynie ze słyszenia. Architekt Lech Fulbiszewski wraz z towarzyszącymi mu osobami obserwują m. in. przelot butelki oraz słoika z musztardą z kuchni do pokoju, gdzie rozbijają się one o ścianę. Widzą również, jak rozmaite przedmioty wykonują po mieszkaniu kilkumetrowe skoki, a ręce dziewczynki ściągają odłamki szkła i to ze znacznej odległości.

W tej sytuacji architekt powiadamia władze miasta o konieczności natychmiastowego przydzielenia rodzinie Gajewskich innego lokalu. Decyzja zostaje podjęta osobiście przez wiceprezydenta Sosnowca mgr. Józefa Stankiewicza, który, uzasadniając ją, powie w wywiadzie prasowym: „Oczywiście niecodziennej informacji nie przyjęliśmy bezkrytycznie. Całodobowy dyżur w mieszkaniu państwa Gajewskich pełnił funkcjonariusz milicji i pracownicy urzędu miasta. Przekonałiśmy się naocznie, że niczego nie zmyślono. Przedmioty, szczególnie szklane, rzeczywiście przemieszczały się w kierunku dziecka lokatorów. Już zatem choćby ze względu na samopoczucie i zdrowie dziewczynki, która silnie przeżyła całą historię, byliśmy zobowiązani zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc tym ludziom”.

Wiceprezydent zaznaczył również, że załatwienie od ręki nowego mieszkania należy traktować jako „rutynowe działanie”, gdyż Andrzej Gajewski był od wielu lat członkiem spółdzielni lokatorskiej i rzecz polegała tylko na przyspieszeniu przydziału.

Publiczne wyjaśnienie przez wiceprezydenta miasta motywów podjętej i zrealizowanej w ciągu kilku dni decyzji, co w naszych realiach trzeba uznać za istny ewenement, ma swoje określone powody. W „Trybunie Robotniczej” pojawiła się bowiem notatka, której autor niedwuznacznie zasugerował, że Gajewscy są sprytnymi oszustami, którzy zaaranżowali całą historię wyłącznie w celu wyłudzenia nowego mieszkania. Dla umęczonych do granic wytrzymałości ludzi stanowiło to przysłowiowy gwóźdź do trumny. Kundlizm wspomnianej publikacji był szczególnego rodzaju, jeśli zważyć, że krótko przed wypadkami w nocy z 4 na 5 kwietnia 1983 roku Gajewscy zdecydowali się na gruntowny remont mieszkania przy ul. Plonów 5, zajmowanego przez nich od kilkunastu lat. Polegał on m. in. na doprowadzeniu wody do lokalu (stało się to możliwe dzięki skanalizowaniu ulicy) oraz urządzeniu łazienki, toalety i kuchni, nie mówiąc o malowaniu ścian i zakładaniu boazerii. Wszystkie te kosztowne roboty — po zaciągnięciu na nie pożyczek — Gajewscy przeprowadzili w przekonaniu, że będą musieli przy ulicy Plonów mieszkać jeszcze ładnych parę lat, nim doczekają się przydziału nowego mieszkania. Publiczne posądzenie ich o starannie zaplanowane oszustwo odczuli więc jako ogromną krzywdę, zwłaszcza że skutki owej publikacji długo jeszcze odczuwali na własnej skórze. Kiedy po przeprowadzce do nowego mieszkania składali podanie o telefon (było już wówczas oczywiste, że niezwykle efekty nie są związane z określonym miejscem, lecz osobą trzynastoletniej córki, wymagającej tym samym stałej, bieżącej opieki lekarskiej), zostali po raz kolejny potraktowani jak hochsztaplerzy. Urzędniczka, przyjmująca ich wniosek, знаła po prostu treść notatki w lokalnym dzienniku.

Zupełnie odrębną sprawą był brak dyskrecji autorów niektórych publikacji, relacjonujących wydarzenia w sosnowieckim mieszkaniu. Dotyczyło to zwłaszcza reportażu telewizyjnego, w którym bez skrupułów ujawniono dokładny adres rodziny Gajewskich. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Pod domem przy ulicy Plonów 5 zaczęły gromadzić się tłumy żądnych sensacji gapiów, którzy na przemian dzwoniли do drzwi i walili w okna, domagając się wpuszczenia ich do mieszkania. Do Sosnowca ściągnęli również natychmiast ze wszystkich stron kraju ezoterycy, usiłujący nawiązać kontakt z duchami, rozmaici egzorcyci oraz przedstawiciele podejrzanych sekt. Gajewscy, którzy są katolikami, nigdy zresztą nie manifestującymi przesadnie swojej wiary (w obu mieszkaniach zarówno poprzednim, jak i obecnym, nie sposób doszukać się jakichkolwiek rekwizytów, świadczących np. o religijnym mistycyzmie), zdecydowali się jedynie przyjąć księdza Jana Smoka z miejscowej parafii. Na prośbę rodziny odprawił on w „nawiedzonym” domu modły, co zresztą w niczym nie zmieniło sytuacji (nadal „latało”). Nie przeszkodziło to jednemu z dziennikarzy podać do wiadomości (przy czym owa plotka była uporczywie kolportowana przez kolejnych „przepisywaczy”), że podczas wizyty kapłana w mieszkaniu Gajewskich tajemnicza siła wytrąciła mu z rąk kropidło. Podobnie jak wiele innych utrzymanych w sensacyjnym tonie doniesień były to wierutne brednie.

Oficjalne potwierdzenie przez władze miasta, że niezwykle zjawiska fizyczne, zachodzące w mieszkaniu przy ul. Plonów 5 są autentyczne, sprawiło, iż zaczęto się zastanawiać nad ich mechanizmem oraz przyczynami. Po wykluczeniu hipotezy osiadania ścian budynku odwołano się do pomocy radiestetów. Przedstawicielka Stowarzyszenia Radiestetów w Gliwicach mgr Jadwiga Zborowska orzekła, że zaobserwowane efekty wiążą się prawdopodobnie „... z bardzo silnym napromieniowaniem mieszkania przez ciek wodny, który biegnie (...) wzdłuż ściany, stanowiącej główny cel latających przedmiotów”. Jednocześnie wyraziła przypuszczenie, że swoistym generatorem, potęgującym siłę promieniowania, może być trzynastoletnia Joasia Gajewska.

Werdykt radiestetów — z braku innego wytłumaczenia — przyjęto z ulgą, która okazała się jednak przedwczesna. Kiedy bowiem rodzina Gajewskich przeprowadziła się do nowego, przydzielonego im mieszkania w podsosnowieckiej Czeladzi, zjawiska ... przeniosły się w ślad za nią, zawsze występując w obecności Joasi. To, co było dotychczas jedynie podejrzeniem, stało się więc pewnikiem. Okazało się, że żyły wodne nie mają żadnego wpływu na efekty kinetyczne, związane z osobą dziewczynki. Wniosek ten potwierdziło również ustanie zjawisk w mieszkaniu przy ul. Plonów 5 po wyprowadzeniu się stamtąd rodziny Gajewskich (lokal stał przez dłuższy czas pusty, obecnie zaś mieszkają w nim inni lokatorzy). Natomiast już po kilku dniach pobytu w nowym mieszkaniu wszystko zaczęło się od nowa: potłuczone naczynia, „wprasowane” w ścianę setki drobin szkła (pozostałość po przelotach), wibracja mebli, samoczynne odkręcanie się kranów. Wówczas to właśnie — bodaj po raz pierwszy — pojawił się w obiegu termin „psychokineza”, który zresztą sam przez się niewiele jeszcze wyjaśniał.

Podjęliśmy wtedy próbę sporządzenia w miarę uporządkowanego zapisu niezwykle efektów fizycznych, co, jak sądziliśmy, stworzyłoby szansę uchwycenia towarzyszących im prawidłowości. Okazało się to trudne, jeśli nie niemożliwe i na dobrą sprawę konkluzja ta zachowuje swoją aktualność do dziś.

Po pierwsze nie udało się stwierdzić jakichkolwiek korelacji pomiędzy określoną porą dnia czy nocy, a samoczynnym przemieszczaniem przedmiotów. Występowało ono zarówno w dzień, jak i w nocy; podczas snu dziewczynki i w toku zwykłych, normalnych zajęć. Nigdy też, przynajmniej w początkowej fazie, efekty

kinetyczne nie były poprzedzone wyraźnym sygnałem, zapowiadającym możliwość ich rychłego wystąpienia. Niekiedy, ale tylko niekiedy, słyszano wcześniej trzaski, przypominające pstrykanie paznokciami, o których już wspominaliśmy. Było przy tym pewne, że Joasia nie ma żadnego wpływu na to, co się wokół niej dzieje. Mówiąc innymi słowy, manifestacje kinetyczne występowały bez zamysłu czy też woli dziewczynki.

Nie powiodła się również próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, czy istnieje współzależność między rodzajem materiału, z jakiego sporządzony jest przedmiot, a jego zdolnością do samoczynnego przemieszczania się. Zgodnie z relacjami świadków w mieszkaniu latało wszystko — od naczyń i sztuczków poczynając, poprzez metalowe śruby, a na butach i szczotce do włosów kończąc.

Ze szczotką wiąże się zresztą pewien zabawny epizod, który jest jednym z nielicznych śladów mogących sugerować związek między procesami, jakie zachodzą w mózgu dziewczynki, a efektami kinetycznymi. Zdarzyło się mianowicie, że podczas snu Joasi, leżąca na stoliku szczotka poszybowała do przedpokoju, gdzie po uderzeniu w ścianę upadła na podłogę. Badana później przez psychologa nastolatka twierdziła, że tamtej nocy śniła jej się, iż poszła do fryzjera, który jednak źle obciął jej grzywkę, czym była bardzo zmartwiona.

Do żadnych uogólniających wniosków nie prowadziła także analiza samych przelotów. Zazwyczaj następowały one bardzo szybko — tak szybko, że nikt nie widział momentu startu przedmiotu ani jego szybowania. Co najwyżej dostrzegano w ułamku sekundy błyskawicznie poruszający się zamazany kształt, nieomal smugę. Rejestracja wzrokowa okazywała się możliwa dopiero w momencie uderzenia obiektu o przeszkodę. Jednocześnie towarzyszący temu efekt dźwiękowy był nieproporcjonalnie głośny w stosunku do masy poruszającego się przedmiotu, jego ciężaru oraz materiału, z jakiego został zrobiony.

Istotę tego spostrzeżenia najlepiej bodaj oddaje porównanie użyte przez jednego ze świadków. Według jego relacji szklanka, która rozbiła się o ścianę (i która musiała przylecieć z kuchni, gdyż w pokoju, gdzie siedział wspólnie z rodziną Gajewskich, nie było w tym momencie żadnych przedmiotów ze szkła), rozprysła się z takim hukiem, że w pierwszej chwili pomyślał, iż nastąpiła implozja kineskopu w telewizorze.

Równocześnie jednak zdarzały się wolne, doskonale widoczne przeloty. Tak było np. z pozostawioną w kuchni szklanką, zawierającą nie dopitą herbatę. Najpierw poszybowała ona wolno do sypialni Joasi, znacząc za sobą ślad w postaci smugi rozlanego po podłodze płynu, a następnie, odepchnięta niewidzialną siłą, zawróciła w stronę dużego pokoju.

Jakby i tego było mało, w opisach niektórych zjawisk pojawiły się elementy, stawiające pod znakiem zapytania wszelkie rzeczowe próby ich analizy. Do takich przypadków zaliczyliśmy samoczynne odkręcanie się kranów, kilkakrotne przewracanie się i obracanie w kółko ciężkiej maszyny do szycia oraz „falowanie” na podłodze węża nieczynnego odkurzacza. Relacje te, podobnie jak pozostałe, postanowiliśmy włączyć do dokumentacji, odnosząc się do nich jednak ze zrozumiałym sceptycyzmem.

Kolejne rutynowe badania lekarskie, jakim poddano trzynastoletnią Joasię na przełomie kwietnia i maja 1983 roku, nie przyniosły rezultatów. Mimo iż dziewczynka uskarżała się na złe samopoczucie, a zwłaszcza bóle głowy, nie znaleziono ich żadnej uchwytnej przyczyny. Nadal przy tym powtarzały się nie uzasadnione skoki temperatury (w trakcie jednego z jej pomiarów trzeba było np. zastosować termometr kąpielowy, gdyż na zwykłym, lekarskim zabrakło skali). Dla odmiany podczas badania EKG ni stąd ni zowąd pękła szyba pulpitu w aparacie.

Niestety, większość lekarzy, do których w tym okresie trafiła Joasia, traktowała ją jako osobę nie zrównoważoną psychicznie lub oszustkę. Tak było m. in. w szpitalu pediatrycznym, gdzie po przeprowadzeniu badań pacjentce oraz jej rodzicom zarzucono urojenia.

Sprawa zaczęła przypominać klasyczny pat.

Spięcia, rezonanse, falstarty

W otoczeniu Joanny wielokrotnie rozładowały się baterie elektronicznych zegarków, a także psuły odbiorniki radiowe i magnetofony. Japońska ekipa telewizyjna, która kręciła w Sosnowcu reportaż, po powrocie do Tokio stwierdziła, że taśma filmowa jest nie naświetlona.

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się dalsze losy Joasi Gajewskiej, gdyby w pewnym momencie nie zajął się nią dr Eustachiusz Gadula — ówczesny ordynator Oddziału Paraplegii i Górniczego Centrum Rehabilitacji Leczniczej i Zawodowej w Reptach Śląskich. Dzięki jego determinacji, odwadze i osobistemu zaangażowaniu w maju 1983 roku powstał zespół naukowy, składający się ze specjalistów różnych dziedzin, którzy, nie bacząc na piętrzące się przed nimi przeszkody oraz nie zawsze sprzyjającą atmosferę, wzięli na swoje barki trud prześledzenia fenomenu sosnowieckiej trzynastolatki w jego różnorodnych aspektach, przede wszystkim biofizycznym, psychologicznym oraz medycznym.

Nim to jednak nastąpiło, dziewczynką zainteresowali się naukowcy z Polskiego Towarzystwa Biocenotycznego, które zaczęło swoją działalność w początkach 1983 roku, skupiając m. in. inżynierów, fizyków, biologów, architektów i lekarzy. Swoją nazwę wywiodło z greckich słów: „bios” — życie, „keines” — wspólny i „tikos” — wykonany. Niemal od początku zajmowało się problemami szeroko pojętej psychotroniki, a w szczególności różnymi niekonwencjonalnymi metodami leczenia z bioenergoterapią na czele, co w dwa lata później stało się przyczyną jego rozwiązania decyzją administracyjną pod pretekstem naruszenia uprawnień statutowych.

Kiedy za sprawą publikacji gazetowych na temat Joasi Gajewskiej zaczęło być głośno, pod koniec kwietnia 1983 roku do Czeladzi pojechała specjalna komisja Polskiego Towarzystwa Biocenotycznego, w skład której weszli m. in. prof. Lech J. Radwanowski oraz dr fizyki Jerzy Sosnowski. Przeprowadzili oni z Joanną Gajewską (przy udziale radiestety) pierwsze testy oraz doświadczenia.

Członkowie zespołu próbowali przede wszystkim ustalić „charakter pola emitowanego przez organizm dziewczynki”. Doszli do przekonania, iż „nie jest to ani pole magnetyczne, ani elektryczne czy też elektromagnetyczne” (z późniejszych badań wynika, że był to wniosek niedostatecznie argumentowany, a w każdym razie zdecydowanie przedwczesny — przyp. A.O. i M.R.). Podczas eksperymentu dokonano m. in. pomiarów oporności drutu, na który oddziaływała Joasia Gajewska, oraz sprawdzono jej wpływ na pole elektrostatyczne kondensatorów. Testy te dały wynik negatywny.

Kolejne doświadczenie polegało na oddziaływaniu dziewczynki na różne przedmioty zawieszane na nitce. Protokół podpisany przez wszystkich członków zespołu stwierdzał, że Joanna Gajewska, trzymając rękę w odległości kilku centymetrów od tych przedmiotów, w sposób dowolny kierowała ich ruchami, przy czym rodzaj zastosowanego materiału nie miał znaczenia (posłużono się m. in. próbkami metalu, kawałkiem drewna, minerałem oraz jednodekagramowym odważnikiem). Komisja podzieliła się przy okazji również innym spostrzeżeniem, a mianowicie, że podczas zbliżania rąk do wyciągniętych dłoni dziewczynki, mniej więcej w odległości 20 cm, następował ich swoisty bezwład, jak gdyby utrata wagi. Odczucie to potwierdzili wszyscy uczestnicy eksperymentu, jakkolwiek należało je zaliczyć wyłącznie do rejestracji typu subiektywnego.

Istotnym elementem przeprowadzonych wówczas doświadczeń było poddanie Joasi tzw. testowi Manczarskiego, który polega na telepatycznym przesłaniu przez nadawcę narysowanych na papierze figur geometrycznych i odczytywaniu przekazu przez odbiorcę. Okazało się, że na dwanaście nadanych figur Joasia odgadła bezbłędnie osiem, a więc znacznie powyżej skali prawdopodobieństwa tzw. przypadkowych (losowych) trafień. Zapytana, w jaki sposób odbierała przesyłane informacje, odpowiedziała, że w momencie, gdy testujący dokonywał wyboru, jedna z figur na leżącej przed nią kartce „powiększała się, stawała się cieplejsza, przyjemniejsza”.

Najważniejsze — w przekroju całego eksperymentu — okazało się doświadczenie, polegające na pocieraniu przez Joasię dwoma palcami prawej ręki łyżeczki z nierdzewnej stali w sposób wykluczający bezpośrednie użycie siły fizycznej. Po około sześciu minutach łyżeczka wygięła się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Odształcanie w sposób paranormalny przez Joasię Gajewską łyżeczek oraz innych sztuczków i próbek metali zrobiło później oszałamiającą karierę i zostało powtórzone setki razy w różnych warunkach — również laboratoryjnych. Sprawie tej poświęcamy odrębny rozdział. Tu pragniemy jedynie odnotować, że choć zrelacjonowane doświadczenie było **pierwszym** tego rodzaju, zostało zakończone pełnym

powodzeniem.

Ponowna seria eksperymentów oraz doświadczeń odbyła się 30 maja 1983 roku. Mieliśmy możliwość w nich uczestniczyć. Testami kierował dr Jerzy Sosnowski, a nasza wizyta w Czeladzi nastąpiła w kilka dni po telefonie pani Gajewskiej, która sygnalizowała nasilenie się u dziewczynki bólów głowy oraz towarzyszących im lub występujących wkrótce potem efektów kinetycznych.

Podstawowe doświadczenie polegało na zastosowaniu prototypowej aparatury do pomiaru tzw. potencjałów czynnościowych autorstwa doc. dr. hab. Ireneusza Janczarskiego z Akademii Medycznej w Warszawie oraz dr. Jerzego Sosnowskiego. Aparatura składała się z dwóch naczyń wypełnionych roztworem elektrolitu oraz urządzenia do elektronicznego odczytu, co pozwalało na rejestrację — w porównywalnych jednostkach — różnic potencjałów między palcami obu dłoni. Wielokrotne pomiary wykazywały, że wartości potencjałów, zanotowane przez aparaturę w momencie podłączenia do niej dziewczynki, były kilkakrotnie wyższe niż pozostałych osób (np. w naszym przypadku wynosiły od 5 do 10 jednostek, podczas gdy wyniki Joasi oscylowały w granicach 30—49).

Nie powiodło się tym razem doświadczenie polegające na wprawieniu w ruch zawieszonych na nitce próbek metali oraz innych materiałów. Fiaskiem, i to całkowitym, zakończył się również przygotowany przez nas test z zakresu telepatii, podobny do tego, jakiemu poddawany był w Instytucie Stanford Uri Geller (polegał on na odgadnięciu liczby oczek na wierzchniej stronie kostki do gry, umieszczonej w zamkniętym aluminiowym pojemniku).

Natomiast eksperyment z odkształcaniem sztućców ponownie potwierdził niezwykle zdolności dziewczynki. Pierwsza łyżeczka została zgięta — poprzez delikatne pocieranie dwoma palcami — po około dwudziestu minutach (przed doświadczeniem poleciliśmy Joasi umyć ręce, chcąc na wszelki wypadek wykluczyć użycie substancji „zmiękczającej” metal). Odkształcenie drugiej łyżeczki trwało już tylko pięć minut, przy czym kąt rozwarcia wyniósł ok. 110 stopni. Dzięki obecności fotoreportera Polskiej Agencji „Interpress” Macieja Billewicza oba eksperymenty zostały utrwalone na zdjęciach.

Pozostańmy chwilę przy sztućcach wyginanych przez Joasię. Paranormalne oddziaływanie jest w tym przypadku ewidentne, o czym świadczy fakt, że analogiczne próby podejmowane przez inne osoby nie przyniosły żadnego rezultatu. Ciekawy okazuje się moment bezpośrednio poprzedzający końcowy efekt. Wygląda to z grubsza tak, że w pewnej chwili łyżeczka w miejscu pocierania wygina się w kabłąk lub opada, jak złamany kielich kwiatu. Gdyby spróbować osiągnąć taki efekt za pomocą nacisku, metal w miejscu zgięcia musiałby ulec pęknięciu. Natomiast pod wpływem pocierania go przez Joasię Gajewską — w niewytłumaczalny sposób „mięknie”. Miejsce to zdaje się zarazem wykazywać podwyższoną temperaturę, o czym można się przekonać dotykając je palcami (późniejsze doświadczenia, m. in. w Instytucie Fizyki UJ, gdzie przeprowadzono pomiar temperatury materiału bezpośrednio po jego odkształceniu przez dziewczynkę, wniosku tego nie potwierdziły — przyp. A.O. i M.R.). Należy dodać, że eksperyment ten nie udaje się ze sztućcami aluminiowymi, które pod wpływem oddziaływania Joasi pękają.

W wyniku zrelacjonowanych tu testów (które z perspektywy czasu, zwłaszcza w kontekście późniejszych badań przeprowadzonych przez zespół dr. Gaduli, muszą być ocenione jako wyrwykowe i powierzchowne) zespół biocenotyków sformułował wstępną roboczą hipotezę, próbującą zinterpretować zjawiska zachodzące w otoczeniu dziewczynki. Zgodnie z tą koncepcją w grę wchodzi niezwykle rzadki przypadek „lokalnego zaburzenia sił grawitacyjnych”. Mówiąc innymi słowami, organizm Joasi Gajewskiej miałby emitować szczególny rodzaj pola (energii), w którym przestają działać siły ciężkości.

W Polskim Towarzystwie Biocenotycznym zapowiedziano, że dalsze badania fenomenu Joasi Gajewskiej będą zmierzały do „ustalenia parametrów rezonatorów grawitacyjnych w układach biologicznych oraz sprecyzowania wpływu na układy detekcji niskoenergetycznych cząstek neutrino”. Przełożenie tej formuły na język zrozumiały dla przeciętnego czytelnika mija się z celem, gdyż deklarowanych badań nigdy, niestety, nie podjęto. Konflikty personalne, które nastąpiły wkrótce potem w kierownictwie Polskiego Towarzystwa Biocenotycznego oraz w jego szeregach (nad czym szczerze ubolewamy, gdyż z wieloma członkami organizacji łączyły nas przyjacielskie więzy), spowodowały rychłą reorientację programową towarzystwa, zaś w późniejszym okresie jego rozwiązanie. Tym samym pierwsza — choć na szczęście nie jedyna — szansa podjęcia pogłębionych badań fenomenu trzynastolatki z Sosnowca została zaprzepaszczona.

Szałeństwo prasowe, jakie rozpętało się wokół osoby Joasi Gajewskiej, w chwili, gdy usłyszano o niej po raz pierwszy, trwało blisko dwa miesiące. Później na szczęście zaczęło ono z wolna wygasać, by wreszcie zakończyć się definitywną publikacyjną agonią. Piszemy: na szczęście, gdyż, jeśli spojrzeć na całą sprawę poprzez pryzmat wielu informacji, artykułów oraz reportaży, jakie ukazały się na ten temat wiosną 1983 roku, na palcach można policzyć teksty, które — poza epatowaniem sensacją oraz chęcią zabyśnięcia przed

czytelnikiem — wniosłyby coś więcej do wiedzy o niezwykłym zjawisku, dotkliwie dezorganizującym życie rodziny Gajewskich. Niezależnie jednak od takiej czy innej oceny publikacje te w społecznym wymiarze stanowią swoisty fenomen socjologiczny (otóż to — Jeszcze jeden fenomen). Dlatego chcielibyśmy poświęcić im nieco uwagi, zwłaszcza że niektóre z nich, te poważniejsze, miały swój rezonans międzynarodowy.

Hipoteza, sformułowana przez naukowców z Polskiego Towarzystwa Biocenotycznego, po raz pierwszy została publicznie zaprezentowana na łamach „Kuriera Polskiego” z 16 maja 1983 roku. Przez kilka następných dni w redakcji popularnej popołudniówki nie nadszedło z odbieraniem telefonów z całego świata. Krzyżujące się połączenia spowodowały nawet w pewnym momencie ostre spięcie w centrali międzynarodowej, gdy natychmiastowego „wejścia na linię” domagali się dziennikarze dzwoniący jednocześnie z Belgradu oraz Londynu.

Przyczyną była — jak to później ustaliliśmy — depesza przekazana przez warszawskiego korespondenta Agence France-Presse, który na podstawie publikacji w „Kurierze Polskim” napisał własną informację, ekspedując ją za pośrednictwem dalekopisu do centrali w Paryżu. Stąd powędrowała ona dalej w świat.

Pierwsi zadzwonili Japończycy, którzy przy okazji zademonstrowali oszałamiającą sprawność techniczną. Kiedy telefonujący z tokijskiego wydawnictwa „Shodensha” redaktor Kyotaka Hirai zorientował się, że rozmowa może być prowadzona wyłącznie w języku polskim lub niemieckim (on sam znał angielski), poprosił o minutę zwłoki w celu zorganizowania tłumacza. Okazała się nim zamieszkała w Japonii Polka, pani Elżbieta Suzuki. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że pani Suzuki, tłumacząc telefoniczną rozmowę na linii Tokio—Warszawa, sama znajdowała się w Osace, siedząc przy swoim domowym aparacie. Dla polskiego dziennikarza, który na połączenie, powiedzmy, ze Szczawnicą czeka kilka godzin, nie ma dostępu do kserografu, a magnetofon kasetowy, służący do pracy, musi sobie zafundować sam, bo budżet wydawnictwa takich wydatków nie przewiduje, było to wielce pouczające doświadczenie.

Redaktor Hirai interesował się różnymi sprawami. Chciał na przykład dokładnie wiedzieć, jak wyglądały dotychczasowe eksperymenty, pytał o kolor oczu i włosów Joasi, o to, czy jest wysoka, czy niska, jak się ubiera, czy lubi czytać i chodzić do kina, jakie przedmioty szkolne najbardziej jej odpowiadają oraz czy wszystko, co się stało, nie przeszkadza dziewczynce w nauce i kontaktach z rówieśnikami.

Ledwo zakończyła się rozmowa z Tokio, Japonia odezwała się po raz drugi — za pośrednictwem warszawskiego biura największego w Japonii koncernu prasowego „Yomiuri Shimbun”. Tym razem rozmówcy dopytywali się o kolejne badanie naukowe, jakie miały być prowadzone z Joasią.

Duński dziennikarz z kopenhaskiej popołudniówki zadeklarował, że chciałby śledzić dalsze losy Joasi i koniecznie uczestniczyć w jakimś eksperymencie z jej udziałem. Z Paryża odezwał się dla odmiany znany ezoteryk, który, podkreślając kilkakrotnie swoją dostatnią pozycję materialną, zaoferował wysłanie dziewczynce paczki z odzieżą przede wszystkim z bawełny, co, mówiąc nawiasem, było nader sensownym pomysłem, jako że stało się oczywiste, iż Joasia powinna nosić garderobę zmniejszającą do minimum elektryzację jej ciała.

Na temat polskiego fenomenu psychokinetycznego w czeskiej gazecie ukazał się artykuł napisany przez polskiego dziennikarza, który nigdy w Sosnowcu nie był, przepisując po prostu na własny użytek — i co nie ulega wątpliwości również pożytek — artykuł swojej redakcyjnej koleżanki. Publikacje poświęcone tej sprawie zamieściły również m. in. jugosłowiańska „Hustrowana Politika” i angielskie czasopismo „Psychic News”.

Przy okazji, co było do przewidzenia, na łamach prasy zaczęły pojawiać się pospolite banialuki i brednie. Jedną z gazet amerykańskich na przykład (jej tytułu nie udało nam się niestety ustalić, gdyż uczynny czytelnik, ekspedując do Polski odbitkę kserograficzną publikacji, zapomniał podać ów szczegół) napisała o czteroletniej dziewczynce, która „gania po ścianach uciekające przed nią skarpety”. Informację tę, w której zgadzało się imię i nazwisko bohaterki, ale już nic ponadto, przyozdobiono fotografią, bynajmniej nie przedstawiającą Joasi Gajewskiej. Gorzej, że żurnalista, podający do druku swoje „rewelacje”, powołał się na wypowiedź udzieloną mu przez śląskiego psychologa dr. Mirosława Harciareka. Dr Harciarek, który istotnie prowadził z Joasią Gajewską testy oraz badania, długo zachodził w głowę, skąd wzięły się owe bzdury, jako że nikomu żadnego wywiadu nie udzielał. Dopiero później przypomniał sobie, że na pewnym prywatnym przyjęciu podczas pobytu za granicą poruszył temat sosnowieckiego fenomenu. Nie mógł niestety przewidzieć, że w gronie gości znajduje się jakiś dziennikarz, który zrobi z zasłyszanych jednym uchem informacji czytelniczą „bombę”, obficie koloryzując i przekręcając fakty.

Wszystko to działo się już w okresie, kiedy byliśmy jedynymi reporterami, śledzącymi systematycznie sytuację w Czeladzi, oraz jednymi z nielicznych osób, znających nowy adres państwa Gajewskich. Ta

ostatnia przezorność — po przykrych doświadczeniach rodziny, gdy mieszkała ona jeszcze przy sosnowieckiej ulicy Plonów — okazała się błogosławieństwem. Dzięki niej bowiem umęczeni ludzie zyskali wreszcie spokój, przynajmniej jeśli chodzi o wizyty niepożądanych gości.

Oczywiście każda „szczelność” ma swoje granice. Nie inaczej było i w tym przypadku. Kiedy dziennikarze japońskiej telewizji, wizytujący czeską Pragę, uparli się, by przy okazji bytności w Europie odnaleźć na własną rękę sosnowiecką trzynastolatkę, w końcu dopięli swego. Inna rzecz, że ich trud poszedł na marne. Po nakręceniu z dziewczynką sporego materiału filmowego goście wyjechali nadzwyczaj zadowoleni. Łatwo więc wyobrazić sobie ich zdenerwowanie, kiedy po powrocie do Japonii okazało się, że ... taśma filmowa była nie naświetlona. Jak to się stało, dotąd nie bardzo wiadomo. Faktem jest natomiast, że w otoczeniu Joasi wielokrotnie rozładowywały się baterie elektronicznych zegarków, jak również psuły się odbiorniki radiowe i magnetofony. Przypadek to czy coś więcej? Nie podejmujemy się autorytatywnie rozstrzygnąć tej wątpliwości. Możemy jedynie dodać, że w kilka miesięcy później w naszej obecności doszło do kolejnej dziwnej awarii. Opowiemy o niej przy innej okazji.

Utrzymanie w tajemnicy nowego adresu dziewczynki — powiedzmy wyraźnie — nie miało na celu tworzenia jakiegoś sztucznie wykreowanego monopolu informacyjnego. Wspólnie z naukowcami ustaliliśmy po prostu w pewnym momencie, że jeśli zjawiska psychokinetyczne zachodzące w obecności Joasi mają być badane z zastosowaniem rygorystyki naukowej, publikacje na ten temat należy przerwać, a przynajmniej ograniczyć do minimum. Państwa Gajewskich do takiej decyzji nie trzeba było przekonywać. Ich stan nerwowy wskazywał w sposób nie budzący wątpliwości, że mają wszystkiego serdecznie dosyć. I doprawdy trudno się było temu dziwić.

Prof. Wiliam Crookes: „*Nie obwiniajcie nas o głupotę dlatego, że zbadane przez nas fakty nie zgadzają się z waszymi przesądami*”.

Taka sama jak my, choć trochę inna

Mieszkanie Gajewskich w Czeladzi nieustannie przypomina pobojuwisko. Liczne odpryski i zacieki na ścianach, zwłaszcza w przedpokoju, gdzie efekty kinetyczne występują ze szczególną siłą, zniszczone, podziurawione drzwi od łazienki oraz wbite w mur dziesiątki odłamków szkła skutecznie zniechęcają do ponownego remontu i uporządkowania otoczenia.

Dotychczas poświęciliśmy stosunkowo mało uwagi samej Joasi, środowisku, w jakim żyje i na co dzień przebywa, reakcjom jej otoczenia, zwłaszcza grona rówieśników, a także osobistemu stosunkowi dziewczynki do zjawisk, z którymi stanęła nagle oko w oko. Refleksje i spostrzeżenia, którymi chcemy się podzielić z czytelnikiem, stanowią efekt naszych kilkuletnich obserwacji i niezliczonych rozmów z Joasią. Wyprzedzają one niejako w czasie pewne istotne fakty, modelujące dalszy bieg zdarzeń, ale pominięcie tego, co składa się na obraz psychologiczny i środowiskowy całej historii, nieuchronnie zubożyłoby reporterski zapis, utrudniając zrozumienie niektórych jego ważnych elementów.

Zacznijmy od tego, że Joasia (1,64 wzrostu, dokładna data urodzenia: 25 marca 1970 roku) wbrew potocznemu mniemaniu, z jakim się nieraz mieliśmy okazję spotkać, nie ma w sobie niczego demonicznego. Jest przeciętną (w sensie warunków, w jakich się wychowała i dojrzała) dziewczynką, o pogodnym usposobieniu i miłej powierzchowności. W momencie, kiedy zetknęliśmy się z nią po raz pierwszy, sprawiała wrażenie zakłopotanej i zaskoczonej sytuacją, w jakiej się znalazła. Z czasem oswoiła się z nią na tyle, że zaczęła traktować zjawiska zachodzące w jej obecności jako nieodłączny i do pewnego stopnia zabawny rekwizyt codzienności.

Taka postawa niewątpliwie ułatwiła adaptację do życia w niezwykłych, bądź co bądź, warunkach, ale też powodowała nieraz ze strony najbliższych wyrzuty czy posądzenia o celowe figle. Skutki zjawisk psychokinetycznych nierzadko godziły bezpośrednio w samą dziewczynkę. Tak było w przypadkach, gdy lecące w kierunku Joasi odłamki szkła dotkliwie ją kaleczyły. Często jednak — a słowa tego używamy nie bez powodu — doświadczali ich na własnej skórze inni. Siłą rzeczy nasuwało to podejrzenie świadomego działania ze strony nastolatki, mimo iż nigdy takim nie było.

Przykładów tego typu incydentów można przytoczyć wiele. Dziadka Joasi, Mariana Tomeckiego, wielokrotnie np. uderzały w głowę lecące buty (nieznana siła, wprawiająca w ruch przedmioty w otoczeniu Joasi, na równi z naczyniami i sztucami upodobała sobie właśnie obuwie domowników). Innym razem kolega z pracy Andrzeja Gajewskiego, montując z nim w pokoju regał, został ugodzony sporej wielkości śrubą. Również koleżankę Joasi, siedemnastoletnią Dorotę Sowę, która w czerwcu 1983 roku odwiedziła mieszkanie państwa Gajewskich, startujący gdzieś z parapetu garnek omal nie trafił w głowę. Przed skutkami dalszego „bombardowania” uchroniło dziewczynę schowanie się za szafę. Kiedy nam później o tym opowiadała, mimo iż od incydentu upłynęło już kilka miesięcy, nadal sprawiała wrażenie wystraszonej. Odtąd też znacznie rzadziej przychodziła do Joasi, co zresztą — uprzedźmy od razu fakty — nie miało o tyle znaczenia, że efekty kinetyczne, początkowo zachodzące głównie w mieszkaniu rodziny Gajewskich, z czasem zaczęły występować również w innych pomieszczeniach (m. in. w szkole, kinie oraz sanatorium), przenosząc się niejako w ślad za Joanną.

Warto wreszcie wspomnieć o zdarzeniu, którego pechowym uczestnikiem był dr Eustachiusz Gadula. Podczas jednej z wizyt lekarza w domu dziewczynki, szybujący z ogromną szybkością kałamarz z atramentem ochlapał od góry do dołu jego nowy garnitur.

Mieszkanie państwa Gajewskich w Czeladzi przypomina pobojuwisko. Liczne odpryski i zacieki na ścianach (zwłaszcza w przedpokoju, gdzie efekty kinetyczne występują ze szczególną siłą), zniszczone, podziurawione drzwi do łazienki, wbite w mur dziesiątki odłamków szkła i zdemolowane meble skutecznie zniechęcają do ponownego remontu i uporządkowania otoczenia. Ponownego, bowiem ojciec Joasi w 1985 roku remont taki przeprowadził. Była to jednak w całym tego słowa znaczeniu syzyfowa praca, ponieważ już wkrótce przedpokój został doszczętnie zdemolowany.

Wszystko to powodowało — i powoduje do dziś — poważne straty materialne, rujnując rodzinny budżet. Gajewscy nie należą do ludzi zamożnych. Pani Ewa jako telefonistka zarabia niewiele. Jej mąż, pracujący obecnie w przedsiębiorstwie gospodarki komunalnej — nieco więcej, w sumie jednak nie tyle, by nadażyć z uzupełnianiem zniszczonej ciągle zastawy stołowej oraz innych sprzętów. Wywołuje to zrozumiałą gorycz domowników, zwłaszcza zaś matki, która jest chodzącym kłębkim nerwów. „Trzęsienia

ziemi”, do jakich raz po raz dochodzi w mieszkaniu, przeżywa bardzo ciężko. Przez pierwsze tygodnie płakała, posadzając córkę, że robi jej na złość. Kiedy później przekonała się, że Joanna nie ma wpływu na to, co się dzieje, z wolna pogodziła się z nową sytuacją, ale, ilekroć coś w mieszkaniu leci, dominującym uczuciem jest lęk i obawa.

Do tego dochodzą kłopoty z garderobą. Specjaliści orzekli, że nastolatka powinna bezwzględnie unikać materiałów łatwo elektryzujących się i zalecili przede wszystkim noszenie bawełny. Problemem jest również kupno odpowiedniego obuwia, które redukowałoby do minimum gromadzenie się ładunków elektrostatycznych.

Joasia — rzecz godna odnotowania — na przekór wszystkiemu pragnie żyć normalnie, jak jej rówieśnicy. Wymaga to niemałej dozy odporności psychicznej oraz narzucenia sobie pewnych ograniczeń.

Dziewczynka na przykład bardzo lubi zwierzęta, które jednak w jej otoczeniu czują się źle. Nie w tym sensie, by nie odwzajemniały sympatii, jaką są obdarzane, ale silniej niż ludzie reagują na przepływ ładunków kumulujących się w otoczeniu nastolatki. Pierwszy pies Joasi, jej ulubiony pudel, w kilka tygodni po wystąpieniu pierwszych objawów efektów kinetycznych zaczął chorować, aż wreszcie zdechł. Zaobserwowano przy tym pewną prawidłowość: mianowicie na krótko przed przemieszczaniem się przedmiotów czworonóg krył się w bezpieczne miejsce, jak gdyby wyczuwając to, co ma nastąpić. „Nie przyjął się” również następny szczeniak, którego Joasia przyniosła do domu. Kolejny pies — odpukać — przystosował się do niecodziennych warunków i jak na razie wszystko jest w porządku. Trudno jednak przewidzieć dalszy rozwój wypadków.

Sama Joasia sprawia wrażenie, jakby zupełnie nie interesowały ją próby wyjaśnienia tego, co się wokół niej dzieje. Podarowane książki z dziedziny psychotroniki po pobieżnym przejrzaniu (jak odnieśliśmy zresztą wrażenie, bardziej z uprzejmości wobec ofiarodawców niż wewnętrznej potrzeby) schowała gdzieś na dnie szuflady. „Joasia — twierdzi dr Gadula — po prostu pewnych rzeczy nie przyjmuje do wiadomości i uważa zagłębianie się w nie za stratę czasu”.

Kiedy Gajewscy mieszkali jeszcze przy ulicy Plonów, wydarzenia, do jakich tam doszło, powodowały nie zawsze przyjazne reakcje wobec dziewczynki. Niektóre dzieci (a niestety także i dorośli) potrafiły wołać za nią „czarownica” lub „elektrownia”, co już było nieco przyjemniejszym epitetem. Nie ulegało przy tym wątpliwości, że w zgromadzonym pod oknami tłumie gawiedzi byli i tacy, którzy — gdyby cała rzecz wydarzyła się parę wieków wcześniej — zgłosiliby się na ochotnika do podpalenia stosu.

W czasie gdy wystąpiły pierwsze zjawiska kinetyczne, Joasia uczęszczała do Szkoły Podstawowej nr 1 w Sosnowcu przy al. Niepodległości 11. Fakt ten możemy ujawnić, ponieważ obecnie Joanna jest już uczennicą liceum i jej byłym pedagogom nie grozi inwazja podobna do tej, której widownią było mieszkanie państwa Gajewskich.

Wiosną 1983 roku trwająca kilka tygodni choroba Joasi spowodowała znaczne zaległości w nauce, to zaś, co nastąpiło w kwietniu, skomplikowało sytuację w dwójnasób. Był nawet moment, że promocja do siódmej klasy stanęła pod znakiem zapytania. I nie wiadomo, jak potoczyłyby się szkolne losy nietypowej uczennicy, gdyby nie fakt, iż miała ona szczęście natrafić na wysokiej klasy pedagogów; ludzie którzy — po przekonaniu się, iż niezwykle doświadczenia, jakie stały się udziałem dziecka, nie są urojeniami — umieli wczuć się w jego sytuację i pomogli przetrwać pierwszy najtrudniejszy okres.

Cała rzecz nie sprowadziła się przy tym jedynie do indywidualnego potraktowania dziewczynki w procesie dydaktycznym. Równie ważne było wytworzenie wokół niej w szkole atmosfery wolnej od sensacji, a zarazem eliminującej przejawy niewłaściwego stosunku ze strony rówieśników.

Szkolę, w której uczyła się Joasia, odwiedzaliśmy wielokrotnie, zawsze wynosząc stamtąd jak najlepsze wrażenie. Dotyczyło to zwłaszcza dyrektorki, Anny Wudzke i wychowawczyni Joasi, Janiny Ostrowskiej. Obie otoczyły dziewczynkę troskliwą opieką, pozostając w stałym kontakcie z rodzicami oraz lekarzem. Nic więc dziwnego, że mimo przeprowadzki do Czeladzi Joanna zdecydowała się kontynuować naukę w dotychczasowej szkole, co wiązało się odtąd z długimi i uciążliwymi dojazdami.

Kiedy po raz pierwszy zetknęliśmy się z Janiną Ostrowską (z wykształcenia polonistka), najbardziej interesował nas problem, w jaki sposób poradziła sobie z unormowaniem w szkole sytuacji, w której znalazła się dziewczynka.

— Oczywiście nie było to łatwe — usłyszeliśmy. — Miałam jednak pełną świadomość, że przemilczenie problemu niczego nie załatwi. Dlatego po powrocie Joasi do klasy postanowiłam poświęcić jej specjalną lekcję. Chodziło mi przede wszystkim o zdjęcie z całej sprawy aury niezdrowej sensacji. Napisałam na tablicy zdanie, które potraktowałam jako myśl przewodnią. Brzmiało ono: „Nasza koleżanka jest taka sama jak my, choć trochę inna”. Wytlumaczyłam, że to, co dzieje się wokół Joasi, jakkolwiek niezwykle, nie ma nic wspólnego z duchami, a nauka wcześniej czy później wyjaśni mechanizm tych zjawisk. To był bardzo ważny, powiedziałabym nawet przełomowy moment, gdyż, o ile wiem, Joasia od

tamtej pory nie spotykała się z szykanami lub złośliwościami ze strony rówieśników. Co więcej, oni później tak bardzo się z nią identyfikowali, że kiedy przyjeżdżali do nas np. zagraniczni dziennikarze, klasa manifestowała na każdym kroku swoją dumę z faktu, iż to właśnie ktoś z najbliższego, koleżeńskiego grona jest obiektem publicznego zainteresowania.

W sensacyjnych doniesieniach prasowych, towarzyszących pierwszej fazie fenomenu, pojawiły się m. in. informacje, jakoby trzynastolatka płała również rozmaite psikusy w szkole, wytrącając np. kredę z ręki prowadzącemu lekcję nauczycielowi. Była to nieprawda, podobnie jak historia z księdzem i kropidłem. Efekty kinetyczne podczas pobytu Joasi w szkole podstawowej zdarzały się niezwykle rzadko i na dobrą sprawę, poza jednym bodaj wyjątkiem, ich stopień wiarygodności nie wydaje się znaczny. W przypadku, o którym mowa, Joasia spóźniła się na lekcję, a ponieważ obawiała się reprimiandy ze strony nauczycielki, stała przez pewien czas pod drzwiami, nie wiedząc co ma zrobić. Kiedy zaś wreszcie nacisnęła klamkę, w tym samym momencie z jednej z półek spadła — bez żadnej uzasadnionej przyczyny — doniczka z kwiatkiem. Było to jesienią 1983 roku (dokładnej daty tego incydentu, przewijającego się w relacjach wielu osób, nie udało się niestety ustalić).

Wychowawczynie potwierdziła natomiast w rozmowach z nami zdolności telepatyczne dziewczynki. Jak utrzymywała, zdarzało się niejednokrotnie, że Joasia wywołana do odpowiedzi nie bardzo radziła sobie z materiałem. Dotyczyło to w szczególności pytań z zakresu gramatyki.

— Staralam się wówczas — opowiadała Janina Ostrowska — pomóc Joasi w taki sposób, że w myślach formułowałam prawidłową odpowiedź. Nie zawsze stanowiło to zresztą rezultat jakiegoś skonkretyzowanego zamysłu. Ja po prostu bardzo tę dziewczynę lubiłam i podświadomie zależało mi, żeby wypadła jak najlepiej. Zaobserwowałam, że Joanna zaraz po tym udzielała poprawnej odpowiedzi na zadane pytanie, co jeszcze samo w sobie nie byłoby takie dziwne, gdyby nie fakt, że wypowiediane przez nią zdanie pod względem konstrukcji i stylu często było bardzo zbliżone do tego, jakie układałam w myślach. Na podstawie wielu doświadczeń mam prawo sądzić, że jest mało prawdopodobne, aby w grę wchodził wyłącznie przypadek.

Spostrzeżenie Janiny Ostrowskiej pośrednio potwierdza wydarzenie na lekcji matematyki. Nauczycielka poleciła Joasi rozwiązać zadanie na tablicy. Dziewczynka najpierw nie mogła sobie z nim poradzić, a w chwilę potem — jak gdyby kierując się nagłym impulsem — szybko napisała jego wynik. Był on całkowicie błędny, chciałoby się rzec — ni z gruszki, ni z pietruszki, i Joasia dostała dwóję. Bliższa analiza tego przypadku wykazała jednak zdumiewającą okoliczność, co matematyczka uświadomiła sobie dopiero po jakimś czasie. Okazało się, że w momencie, gdy dziewczynka męczyła się przy tablicy z pechowym dla niej równaniem, nauczycielka w myślach rozwiązywała już następne zadanie, które zamierzała podyktować. Jego wynik był dokładnie taki, jaki uczennica napisała na tablicy.

W późniejszej rozmowie z nami Joasia przyznała, że w krytycznym momencie w ogóle nie zastanawiała się, jak prawidłowo rozwiązać równanie. Myślała jedynie o tym, by zadowolić matematyczkę, której się bała. Ponieważ wiedziała, że nauczycielka zna rozwiązanie, skoncentrowała się na niej i, jak mówi, „coś” odpowiedziało jej wynik.

Gwoli uzupełnienia trzeba jeszcze odnotować, że podczas zaimprovizowanych na lekcjach doświadczeń (klasa prosiła Joasię, by pokazała, co potrafi) co najmniej dwukrotnie wystąpiły interesujące efekty fizyczne. W pierwszym przypadku dziewczynka, zbliżając rękę do baterii (odległość wynosiła kilka centymetrów), zgasiła podłączoną do niej żaróweczkę, w drugim — przesuwając dłoń wzdłuż kolby laboratoryjnej, spowodowała wyraźne odchylenie się w wodzie stróżki nadmanganianu potasu (sztuka ta nikomu innemu się nie powiodła). Nie znając dokładnie warunków, w jakich przeprowadzone były oba doświadczenia, trudno ocenić w pełni wiarygodność osiągniętych rezultatów. Biorąc jednak pod uwagę fakt, iż relacja pochodzi od nauczyciela, celowe wydaje się ich odnotowanie. Od siebie możemy dodać, że podobne eksperymenty, przeprowadzone przez nas w kilka miesięcy później z udziałem kamery, nie powiodły się.

Robert Monroe: „...dochodzę do wniosku, że większość systemów energii istnieje na zewnątrz ramy czasu i przestrzeni, i że materia fizyczna jest osobliwością, okazem laboratoryjnym”.

Więcej światła

Cztery dorosłe osoby nie mogły utrzymać obracającego się fotela, na którym siedziała dziewczynka. Doktor Eustachiusz Gadula w swoim raporcie napisał: „Trzykrotnie obserwowaliśmy niewątpliwie paranormalne przemieszczanie się przedmiotów w gabinecie lekarskim, gdzie przebywała badana”.

W maju 1983 roku Joasia Gajewska zetknęła się po raz pierwszy z dr. Eustachiuszem Gadulą, który wówczas pełnił funkcję ordynatora Oddziału Paraplegii I Górniczego Centrum Rehabilitacji Leczniczej i Zawodowej w Tarnowskiej Górach. Ten pięćdziesięciokilkuletni lekarz, specjalista w zakresie chirurgii i rehabilitacji, znany jest ze swojego otwartego stosunku do nowych zjawisk oraz prądów w medycynie, nie wykluczając niektórych form tzw. terapii niekonwencjonalnej. Dr Gadula należał m. in. do prekursorów akupunktury w Polsce, podjął również — acz nie bez zastrzeżeń, którym dawał wyraz w wielu publicznych dyskusjach i wystąpieniach — współpracę z bioenergoterapeutami. Jak twierdził, i zdania nie zmienił do dziś, takie postępowanie podyktowała mu jedna z naczelnych zasad deontologicznych zawodu lekarskiego: „primum non nocere” — po pierwsze nie szkodzić. Dr Gadula uznał po prostu, że jeśli w przypadku określonych schorzeń, zwłaszcza o podłożu nerwicowym, bioenergoterapia może okazać się pomocna w przywróceniu zdrowia pacjentowi, nie ma powodu, by pomoc taką odrzucać.

Uczestnicząc systematycznie w sympozjach organizowanych przez towarzystwa, kluby i organizacje psychotroniczne, jak również śledząc literaturę zagraniczną z tej dziedziny, dr Gadula postanowił osobiście przekonać się, czy i w jakim zakresie możliwe będzie zbadanie fenomenu trzynastoletniej Joasi Gajewskiej dostępnymi metodami naukowymi przy zastosowaniu najnowocześniejszych osiągnięć techniki medycznej, zwłaszcza zaś aparatury pomiarowej. Realizację tego przedsięwzięcia ułatwił fakt, iż śląski lekarz stosunkowo szybko potrafił pozyskać sympatię dziewczynki, która wskutek niemiłych często doświadczeń, jakie stały się jej udziałem po ujawnieniu fenomenu, była bardzo nieufna. Dotyczyło to w szczególności sytuacji, gdy nabierała przekonania, że człowiek, z którym rozmawia, nie wierzy jej i traktuje jak oszustkę, co nie należało wówczas do rzadkości.

Już pierwsze wizyty w domu państwa Gajewskich przekonały dr. Gadulę, że zjawiska zachodzące w otoczeniu nastolatki są autentyczne. Między innymi w stosunkowo krótkim czasie był on świadkiem zadziwiających efektów akustycznych, które wystąpiły w obecności Joasi. Ogniskując się początkowo wokół dziewczynki, stopniowo przemieszczały się obejmując całe pomieszczenie. Przypominały odgłosy wyładowań wysokonapięciowych, a niektóre przywoływały na myśl „drapanie pazurami” oraz „mlaskanie”. Efekty te dr Gadula utrwalił na taśmie magnetofonowej. Kiedy wkrótce potem prezentował je jednemu ze swoich przyjaciół, doktorowi fizyki, usłyszał: „Słuchaj, ja ci wierzę, ale zdajesz sobie sprawę, że to nie jest żaden dowód. Takie odgłosy można bez trudu spreparować”.

— Słusznie — odparł na to dr Gadula. — Spróbujmy więc przeprowadzić badania dziecka w warunkach laboratoryjnych, które niezależnie od wyników pozwolą wykluczyć mistyfikację.

Zorganizowanie zespołu naukowego, zdolnego do zajęcia się analizą zjawiska, nie było rzeczą łatwą i, nim uformował się on w ostatecznym kształcie, upłynęło kilka tygodni. Niektórzy specjaliści uważali propozycję śląskiego lekarza za niepoważną, inni musieli z pracy w zespole zrezygnować, ponieważ Joasia Gajewska nie chciała z nimi współpracować. Warto dodać, że upór dziewczynki w tego typu sytuacjach, o czym mogliśmy się niejednokrotnie przekonać, stanowi tak istotny element jej psychiki oraz osobowości, że wyklucza często przeprowadzenie doświadczenia. Między innymi z tego właśnie powodu wycofano z grupy badaczy jednego z psychiatrów, bowiem sposób prowadzenia przez niego rozmowy powodował kompletne „blokowanie się” Joasi, która uporczywie odmawiała odpowiedzi na zadawane pytania.

Dodatkową trudność sprawiało to, że badania musiały być zorganizowane i sfinansowane przez samych zainteresowanych, gdyż, jak już wspomnieliśmy wcześniej, fenomeny nie są u nas przewidziane w planach placówek naukowych, a tym samym na ich analizę brakuje funduszy. Ostatecznie — dzięki osobistym kontaktom dr. Gaduli i jego współpracowników kłopoty zostały pokonane, a badania metaloznawcze i krystalograficzne przedmiotów odkształconych w sposób paranormalny przez dziewczynkę włączono oficjalnie do programu wyspecjalizowanego instytutu.

Program badań podzielono na cztery bloki, przy czym wyniki otrzymane w ramach każdego z nich miały być ocenione łącznie. Kompleksem badań medycznych kierował dr Gadula, który również przewodniczył całemu zespołowi. Badaniami biofizycznymi zajął się dr Andrzej Franek z Katedry i Zakładu Biofizyki Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrze-Rokitnicy, a psychologicznymi — dr Mirosław Harciarek

z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Śląskiego (obecnie adiunkt w Instytucie Psychologii Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach). Wreszcie pieczę nad blokiem badań metaloznawczych sprawowała prof. Klara Cieślak — dyrektor Instytutu Metaloznawstwa i Spawalnictwa Politechniki Śląskiej w Gliwicach.

Prace zespołu trwały kilka miesięcy (z wyjątkiem badań metaloznawczych, które znacznie przeciągnęły się w czasie i do dziś nie udało nam się uzyskać ich ostatecznych wyników). Efektem tego przedsięwzięcia był sporządzony przez dr. Eustachiusza Gadulę 27 października 1983 roku raport złożony w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej.

Spróbujmy w niezbędnym skrócie przekazać najistotniejsze rezultaty wielomiesięcznych badań. Przede wszystkim należy podkreślić, że liczne eksperymenty oraz doświadczenia, jakie przeprowadzono z dziewczynką, **udowodniły ponad wszelką wątpliwość**, iż fenomen związany z jej osobą jest **autentyczny**. Świadczyły o tym nie tylko próbki metali, odkształcane przez Joasię Gajewską bez użycia siły fizycznej w Instytucie Metaloznawstwa i Spawalnictwa Politechniki Śląskiej w Gliwicach, a więc w warunkach w pełni kontrolowanych (część tych eksperymentów została utrwalona na magnetowidzie), lecz przede wszystkim kilkakrotne **bezpośrednie** obserwacje osób, prowadzących badania, które były naocznymi świadkami przemieszczania się w sposób paranormalny różnych przedmiotów. Oznaczało to definitywne rozstrzygnięcie wątpliwości odnoszących się do **realności** samego fenomenu. Otwarte pozostało natomiast pytanie, jakie są jego mechanizmy oraz przyczyny.

Przełomową pod tym względem datą okazał się 5 lipca 1983 roku. Joasia przebywała wówczas na Oddziale Paraplegii I Górniczego Centrum Rehabilitacji Leczniczej i Zawodowej w Reptach Śląskich, gdzie przechodziła serię zaprogramowanych wcześniej badań medycznych oraz eksperymentów biofizycznych. Z jednej strony chodziło o wyrwanie dziewczynki ze środowiska domowego, mimo wszystko nie stwarzającego warunków do obiektywnych obserwacji, z drugiej zaś doprowadzenie do sytuacji, w której ewentualnie udałoby się sprowokować zjawiska kinetyczne w sposób sztuczny poprzez naświetlanie pomieszczenia promieniami ultrafioletowymi.

Próba ta w pełni się powiodła.

Oddajmy w tym miejscu głos najbardziej miarodajnemu obserwatorowi, dr. Andrzejowi Frankowi z Katedry i Zakładu Biofizyki Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrze-Rokitnicy. Jego wypowiedź odtwarzamy na podstawie zapisu taśmy magnetofonowej z 15 grudnia 1983 roku, kiedy to dr Franek w naszej obecności (i dodajmy, nie bez oporów, których przełamanie nastąpiło dopiero po namowach ze strony autorów tej książki) zdecydował się udzielić wywiadu ekipie japońskiej „Fuji Television”. Cytujemy tu jedynie najistotniejsze — z interesującego nas punktu widzenia — fragmenty relacji.

— Od czego zaczęliście panowie swoje badania?

— Przede wszystkim postanowiliśmy zebrać jak najwięcej danych o zjawisku. Musieliśmy się tu oprzeć na relacjach świadków, którzy je obserwowali. Wśród nich były także osoby spoza rodziny. Zapoznaliśmy się również z dostępną literaturą na ten temat. Następnie przystąpiliśmy do wstępnych eksperymentów, które — przy przyjęciu założenia, że zjawisko jest realne — mogły dać ciekawe rezultaty natury biofizycznej.

Chciałbym przy tej okazji zwrócić uwagę na pewien istotny problem metodologiczny. Ponieważ zjawisko było nieznane nauce, nie mieściło się w żadnych programach badawczych. Efekty kinetyczne występowały z trudną do ustalenia częstotliwością, zaś ich obserwatorzy byli zazwyczaj przestraszeni tym, co zobaczyli. Emocje zaś, jak wiadomo, nie sprzyjają precyzji relacji. Wszystko to oddaje skalę trudności, przed jakimi stanęliśmy.

(...)

W pierwszej fazie — w maju oraz czerwcu 1983 roku (ograniczamy się tu wyłącznie do zapisu dotyczącego bloku badań biofizycznych — przyp. A.O. i M.R.) staraliśmy się ustalić wpływ dziecka na pola: grawitacyjne, magnetyczne, elektrostatyczne, elektryczne i elektromagnetyczne. Obserwowaliśmy także odkształcenie przez Joasię w sposób paranormalny różnych przedmiotów (...) W tej fazie podjęliśmy również próby sprowokowania w sposób sztuczny zjawisk kinetycznych za pomocą oddziaływania pewnych pól elektromagnetycznych oraz odpowiednio zjonizowanego powietrza. Jest to o tyle ważne, że wspomniane efekty nie były kontrolowane przez dziewczynkę i występowały w sposób nieoczekiwany zarówno dla niej, jak i dla otoczenia. Chcieliśmy przekonać się, czy istnieje możliwość ich świadomego wywołania.

— Czy zamysł ten powiódł się?

— Tak, powiódł się, zaś realność zjawiska samoczynnego przemieszczania się przedmiotów (...) nie budzi żadnych wątpliwości, gdyż byliśmy tego bezpośrednimi obserwatorami.

— Co panowie widzieli na własne oczy?

— Podczas kilkakrotnych pobytów Joasi Gajewskiej w szpitalu byłem dwukrotnie świadkiem

paranormalnego przemieszczania się przedmiotów. Pierwszy raz zjawisko wystąpiło 5 lipca 1983 roku. Stało się to mniej więcej po trzydziestu minutach od chwili podjęcia przez nas próby jego sprowokowania poprzez naświetlanie pomieszczenia promieniami ultrafioletowymi. Wystąpiły wówczas bardzo interesujące efekty akustyczne. W największym przybliżeniu i uproszczeniu można by je przyrównać do wyładowań wysokonapięciowych. W przypadku Joasi mają one jednak wyraźnie specyficzny charakter. Pojawia się również efekt dźwiękowy, podobny do drapania pazurami oraz mlaskania.

Zjawiska te poprzedziły samoczynne przemieszczania się przedmiotów. Pierwszym z nich był duży, ważący kilka kilogramów radiomagnetofon, który został przez nas wcześniej zakleszczony między fotelem a wersalką. Magnetofon ten „wyrzuciło” na środek pokoju. Następnie obserwowaliśmy przemieszczanie się, i to o kilka metrów, mikrofonu z zestawu stereofonicznego. Leżąca nie opodal latarka została wprawiona samoczynnie w ruch i po pokonaniu kilkudziesięciu centymetrów uderzyła doktora Gadulę w rękę. Natomiast piłeczka pingpongowa, która pozostała w gabinecie po poprzednich ćwiczeniach, przeleciała około dwóch metrów i trafiła mnie w ramię.

Wkrótce potem spoczywający w odległym kącie pokoju trampek uniósł się z podłogi i po przeleceniu kilku metrów uderzył mnie w okolice klatki piersiowej. Natomiast zwinięty koc, który leżał na leżance, poszybował w kierunku doktora Gaduli i przykrył go.

Interesujące były także obserwacje oddziaływań wegetatywnych towarzyszących wszystkim tym efektom. Podczas ich pojawienia się stwierdziłem m. in. zjawisko stawania włosów dęba. Równocześnie czułem wyraźne ciarki przechodzące od czoła wzdłuż kręgosłupa ku nogom. Wyglądało to tak, jak gdyby nastąpiła w tym momencie bardzo silna elektryzacja powietrza.

Tej samej nocy byliśmy wreszcie świadkami przemieszczania się fotela, na którym siedziała dziewczynka. Mimo że nie miała ona żadnej możliwości oddziaływania na mebel (siedziała na nim ze skrzyżowanymi nogami, a następnie, zgodnie z naszym poleceniem, w ogóle go opuściła, co wykluczało jakąkolwiek mistyfikację), fotel skręcał się o duży kąt i ze znacznym momentem obrotowym. O wielkości sił mechanicznych, które musiały w tym momencie działać, świadczy fakt, że dwóm, a wkrótce potem trzem dorosłym osobom nie udało się fotela utrzymać (dr Gadula twierdzi, że były to cztery osoby: on, dr Franek oraz dwie pielęgniarki — przyp. aut.)

— Jakiego rzędu mogły być te siły?

— Nie dysponujemy danymi, które pozwoliłyby udzielić precyzyjnej odpowiedzi, niemniej szacujemy je jako bardzo duże.

— Czy powtarzaliście później panowie tego typu eksperymenty? Chodzi o próby sprowokowania zjawiska w sposób sztuczny.

— Owszem, próby takie podejmowaliśmy jeszcze kilkakrotnie, na ogół z pozytywnym skutkiem. Pragnę jednak podkreślić, że nie chcieliśmy nadużywać tej metody ze względu na dziewczynkę, która po zastosowaniu sztucznej stymulacji w postaci naświetlania pomieszczenia promieniami ultrafioletowymi czuje się źle i uskarża na silne bóle głowy. Cała sprawa ma więc poważny aspekt etyczny. Nie możemy tracić go z pola widzenia.

— Czy zespołowi udało się zarejestrować samoczynne przemieszczanie się przedmiotów na taśmie filmowej?

— Jak dotychczas nie. Przyczyną są określone bariery techniczne. Potrzebny byłby tu zwłaszcza sprzęt czuły na podczerwień. Mamy natomiast prawo przypuszczać, że ponieważ wielokrotnie, i to w gronie kilku osób, byliśmy świadkami wspomnianych efektów, ich obiektywna rejestracja w postaci zapisu filmowego jest możliwa.

— Co generalnie wynika z przeprowadzonych przez pana badań biofizycznych?

— Na szczegóły jest jeszcze za wcześnie. Wyniki wszystkich badań muszą zostać ocenione łącznie po ich całkowitym zakończeniu. W tej chwili mogę powiedzieć jedynie, że na obecnym etapie widzimy pewne interesujące współzależności pomiędzy poszczególnymi rodzajami pól: elektromagnetycznym i elektrostatycznym, oraz że współzależności takie nie występują u człowieka reagującego normalnie. Swoje koncepcje na ten temat pragnęlibyśmy przedstawić w czasopiśmie naukowym.

— Czy oznacza to, że zbliżacie się panowie do rozwiązania zagadki?

— Nad fenomenami psychokinetycznymi prowadzi się badania w wielu laboratoriach świata. Wszyscy oczekują przy tym jednoznacznej interpretacji, a to jest problem najtrudniejszy (...) Proponowałbym położyć nacisk na coś innego. Ludwik Hirszfeld, odkrywca grup krwi, a jednocześnie jeden z „ojców” polskiej immunologii, powiedział kiedyś swoim studentom, że jeżeli mamy do czynienia z bardzo trudnym problemem naukowym, najważniejsze jest właściwe postawienie pytania i dopiero potem zbliżanie się krok po kroku do udzielenia na nie odpowiedzi. Bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdyby po kilku miesiącach pracy, jaką wykonaliśmy, udało nam się sformułować właściwe pytanie.

— Czy uważa pan, że na podstawie znanych praw fizyki uda się wyjaśnić badane zjawisko?

— Problem jest bardziej natury filozoficznej niż fizycznej. Sądzę, że tak jak Einstein i jego współpracownicy spodziewali się, iż istnieje pewna „wspólnota” wszystkich potencjalnych pól, być może badane przez nas zjawiska doprowadzą do odkrycia nowych, ciekawych prawidłowości w całej fizyce. (Koniec nagrania).

Wypowiedź dr. Andrzeja Franka warto wesprzeć kilkoma uzupełniającymi informacjami. W trakcie badań i eksperymentów, prowadzonych z Joasią w ramach bloku biofizycznego, oddziaływała ona m. in. na igły magnetyczne, obwody scalone oraz fale radiowe różnej częstotliwości. Inne doświadczenia polegały na próbach rozładowywania (poprzez dotyk ręki) elektroskopów i kondensatorów. Większość tych eksperymentów dała rezultat negatywny, co oznacza tylko tyle, że nie pozwoliły one na uchwycenie jakichś wyraźnych, powtarzalnych fenomenów fizycznych (choć zdarzały się tu również i zaskakujące rezultaty, jak np. rozładowanie przez Joasię elektroskopu). Sformułowany w wypowiedzi dr. Franka wniosek o istnieniu w przypadku dziewczynki „interesujących współzależności pomiędzy poszczególnymi rodzajami pól: elektromagnetycznym i elektrostatycznym”, które nie występują u człowieka reagującego normalnie, stanowi swoistą syntezę wielomiesięcznych, żmudnych badań. Godna podkreślenia jest przy tym uczciwość, jaką wykazał śląski biofizyk, referując wyniki swoich naocznych obserwacji. Ów czynnik podkreślamy nie bez powodu. Nie jest bowiem żadną tajemnicą, iż Andrzej Franek, akceptując propozycję dr. Eustachiusza Gaduli wejścia w skład zespołu i pokierowania blokiem badań biofizycznych, nie krył swojego sceptycyzmu co do **realności** zjawiska (jak przyzna później w rozmowie z nami, był przekonany, iż w grę wchodzi mistyfikacja). Spowodowało to nawet pewne perturbacje, gdyż Joasia Gajewska, jak gdyby wyczuwając rezerwę ze strony dr. Franka, blokowała się psychicznie podczas doświadczeń, wskutek czego współpraca między naukowcem a dziewczynką początkowo układała się nie najlepiej, by nie powiedzieć: źle. Zachęcające rezultaty niektórych zaprogramowanych przez dr. Franka eksperymentów, przede wszystkim zaś naoczne obserwacje zjawisk, w które jako fizyk — miał prawo wątpić, pozwoliły na przełamanie impasu oraz sformułowanie konkluzji nader odległych od tego, co podpowiadała intuicja i nabyta w procesie kształcenia rutynowa wiedza.

Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli współczesnej polskiej medycyny, prof. Julian Aleksandrowicz, w rozmowie z nami, którą odbyliśmy w grudniu 1985 roku, w jego krakowskim mieszkaniu, powiedział m. in., że między naukowcem i uczonym istnieje zasadnicza różnica. Na miano uczonego, zdaniem profesora, zasługuje jedynie ten, kto jest człowiekiem odważnym i kto nie zważając na reakcję środowiska, profesjonalne układy oraz schematy rutynowej wiedzy, potrafi je przełamywać i pokonywać w imię badawczej prawdy. Refleksja to, jak sądzimy, niebanalna i po stokroć warta zapamiętania.

O badaniach psychologicznych, którymi kierował dr. Mirosław Harciarek z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Śląskiego, mówimy w innym miejscu (patrz rozdział „W kręgu hipotez”). Doszliśmy bowiem do wniosku, że zarówno rezultaty tych doświadczeń i eksperymentów, jak i związane z nimi przemyślenia dr. Mirosława Harciarka są tak znaczące, iż najlepiej będzie, jeśli przedstawimy je w formie obszernego, autoryzowanego wywiadu. Obecnie natomiast pragniemy omówić najciekawsze rezultaty badań, przeprowadzonych w ramach bloku medycznego pod kierunkiem dr. Eustachiusza Gaduli. Ze względu na ich bardzo szeroki zakres, a zarazem wielowątkowość, konieczna okazała się pomoc wielu specjalistów. Jest to w pełni zrozumiałe, jeśli zważyć, że na zaprogramowany cykl złożyły się m. in. badania psychiatryczne, internistyczne, neurologiczne, chirurgiczne, a także cała seria badań specjalistycznych, takich jak elektrokardiografia, elektroencefalografia, tomografia komputerowa mózgu, termografia, wreszcie badanie dna oka.

Ze względu na obowiązek respektowania tajemnicy lekarskiej siłą rzeczy możemy przekazać jedynie niektóre spostrzeżenia oraz wnioski, stanowiące rezultat wszystkich tych przedsięwzięć. Najistotniejszy z nich brzmi: z punktu widzenia medycyny Joasia Gajewska jest osobą ogólnie zdrową. Piszemy „ogólnie”, gdyż nie ma chyba człowieka, który nie uskarżałby się na jakieś dolegliwości. W przypadku Joasi taką przypadłością były np. i są nadal nękające ją stosunkowo często przeziębienia. Nie stwierdzono natomiast — i to właśnie mieliśmy na myśli — niczego, co pozwoliłoby na sformułowanie tezy o wyraźnych anomaliach, mających wpływ na funkcjonowanie organizmu dziewczynki oraz jej stan zdrowia.

Najlepszą tego ilustrację stanowią wyniki badań elektroencefalograficznych. Mieściły się one w normie, jakkolwiek, zdaniem lekarzy, encefalogram Joasi wykazuje pewne „charakterystyczne, specyficzne cechy”.

Szczególnie interesujący okazał się przebieg badań termograficznych. Wykonane w ich trakcie zdjęcia ujawniły obecność w niektórych partiach ciała dziewczynki (zwłaszcza w okolicach palców stóp, rąk oraz głowy, a także nieco powyżej splotu słonecznego) zagadkowych „plam termicznych”. Ich przyczyny nie

udało się bezspornie ustalić, niewykluczone jednak, że mogą to być swego rodzaju ogniska silnie skondensowanej energii, której towarzyszy podwyższona temperatura, zarejestrowana przez aparaturę oraz zdjęcia.

Z temperaturą są zresztą problemy do dziś. Bywają np. dni, kiedy słupek rtęci na termometrze włożonym pod pachę Joasi przekracza 41 stopni, by po pewnym czasie opaść do 35,8 stopnia, a więc znacznie poniżej normy. Do takiej sytuacji doszło np. w dniach 10—11 kwietnia 1986 roku, kiedy do dziewczynki wezwano pogotowie (lekarze jednak niczego uchwytne wówczas nie stwierdzili). Dla odmiany prof. Lech J. Radwanowski, który był świadkiem podobnego zjawiska w maju 1983 roku, w celu zarejestrowania jego parametrów posłużył się specjalnym próbnikiem do tzw. błyskawicznego pomiaru temperatury. Stało się to w momencie, gdy słupek rtęci na termometrze kąpielowym (na zwykłym zabrakło skali) sięgnął 43 stopni. Natomiast wskazania próbniaka świadczyły, iż temperatura ciała dziewczynki wynosi ok. 37 stopni.

Spostrzeżenie o braku korelacji między odczytem termometru a wynikającym z bezpośredniego dotyku ciała potwierdza pośrednio dr E. Gadula (jak utrzymuje, będąc lekarzem może się pomylić w szacunku temperatury pacjenta o 2 lub 3 dziesiąte stopnia; nie więcej). On również jest przekonany, że faktyczna temperatura ciała Joasi w krytycznym momencie jest z reguły normalna lub tylko nieco podwyższona. Oznaczałoby to, że dziewczynka oddziałuje na słupek rtęci. W jaki jednak sposób? Niestety, dotąd nie udało się tego ustalić.

Niespodzianek jest więcej. Podczas badań przeprowadzono np. wielokrotny pomiar ładunków elektrostatycznych na powierzchni ciała Joasi. Okazały się one bardzo wysokie, co jeszcze nie stanowiłoby samo w sobie rewelacji, jako że żyjemy w środowisku, gdzie raz po raz „zbieramy” z otoczenia ładunki, które, nim się rozładują (znany chyba każdemu z autopsji efekt „kopnięcia”) mogą osiągać znaczne wartości. Problem polega na tym, że w przypadku dziewczynki są one **nieziemialne**, czyli nie ulegają „rozładowaniu” po dotknięciu do metalowych przedmiotów w rodzaju kaloryfera itp.

Analogicznym pomiarom poddano grupę kontrolną. Ładunki tych osób okazały się zdecydowanie niższe lub bliskie zeru. Wyjątek stanowiła pewna pielęgniarka, która miała ładunki wyższe niż Joasia, również nieziemialne.

Po ujawnieniu przez nas tej informacji w jednym z artykułów otrzymaliśmy list od mgr. Grzegorza Zapalskiego — pracownika naukowego Instytutu Badań Jądrowych w Krakowie, z którym już wcześniej nawiązaliśmy kontakt. Wyraził on sceptycyzm co do związku między statycznymi ładunkami ujawnionymi na powierzchni ciała Joasi a efektami kinetycznymi zachodzącymi w jej otoczeniu (gwoździ ścisłości musimy zaznaczyć, że nie dopatrywaliśmy się takiego związku, odnotowując jedynie fakt jako taki). Zdaniem autora korespondencji jest to całkiem uboczny efekt, do którego nie należy przywiązywać znaczenia. „Wystarczy — napisał mgr Zapalski — że dziewczynka nosi sweterek z anilany, bluzeczkę z wełny lub buty na gumie ewentualnie z plastiku, a już to — samo przez się — spowoduje, że będzie się łądować do napięć statycznych rzędu kilkudziesięciu tysięcy woltów i strzelać iskrami po parę centymetrów. Podobnie zresztą może wyglądać — to nadal cytuję z listu — problem odchylenia igły magnetycznej kompasu (nawet przez szybkę) przy zbliżeniu do niej naładowanego elektrostatycznie palca. Działają tu w rzeczywistości znane od ponad stu lat siły coulombowskie, »odpowiedzialne« za przyciąganie i odpychanie elektrostatyczne”.

Jest to rozumowanie, z którym trudno się nie zgodzić, z jednym wszakże zastrzeżeniem. Jak już wspominaliśmy, wkrótce po pierwszych doświadczeniach, które zrodziły podejrzenie, iż na powierzchni ciała Joasi gromadzą się nadmiernie wysokie ładunki elektrostatyczne, szczególną uwagę zwrócono na to, by dziewczynka nie nosiła ubrań z anilany, wełny oraz innych łatwo elektryzujących się materiałów (odpowiednie zalecenia dotyczyły również obuwia). Pomimo to mierzone później ładunki nie wykazywały praktycznie różnic w porównaniu z poprzednimi i — powtórzmy raz jeszcze wyraźnie — nie dawały się uziemić. A może, to tylko nasz domysł, ich generowanie przez żywy organizm w przypadku Joasi jest szybsze niż odpływ podczas uziemienia?

Ale to raczej sprawa fizyki niż medycyny (notabene — czy aby na pewno?). Natomiast za objaw ściśle już medyczny należy uznać to, co dr Eustachiusz Gadula określa mianem „bardzo dziwnej aktywności mięśniowej”. Polega ona na okresowym pojawianiu się u dziewczynki (zarówno we śnie, jak i np. podczas odpoczynku w pozycji leżącej) silnych i występujących z dużą częstotliwością drgań czy raczej skurczów mięśni, które powodują swoiste mikrowibracje. Dochodzi do nich zazwyczaj, gdy Joasię boli głowa lub uskarża się ona na złe samopoczucie. Ta nietypowa aktywność mięśniowa nasila się niekiedy do tego stopnia, że powoduje efekty kinetyczne.

Taka właśnie sytuacja zdarzyła się podczas pobytu nastolatki w Centrum Rehabilitacyjnym w Reptach Śląskich. Pełniące nocny dyżur dwie pielęgniarki zwróciły uwagę na dziwne odgłosy dochodzące z gabinetu lekarskiego, gdzie spała Joasia (ulożono ją tam, by nie blokować miejsc przeznaczonych dla pacjentów).

Zaniepokojone wezwały natychmiast telefonicznie ordynatora, dr. Gadulę, który wspólnie z Ewą Gajewską był w chwilę potem świadkiem zjawiska jako żywo przeczącego wszelkim kanonom fizyki.' Oto bowiem w miarę narastających wibracji i drgań wersalka z siedzącymi na niej osobami (dziewczynką, jej matką oraz lekarzem) uniosła się w pewnym momencie kilka centymetrów nad podłogę, a następnie z łoskotem opadła.

Podczas kilkakrotnych pobytów Joasi w szpitalu w Reptach zachodziły również inne zdumiewające zjawiska. Widziało je zbyt wiele osób, by ich obserwacje można było przypisać li tylko wzrokowym omamom. Na jeden z tych incydentów pragniemy zwrócić szczególną uwagę.

Jesienią 1983 roku Joasia zaczęła narzekać na ból w okolicach ślepej kiszki. Badania lekarskie pozwoliły stwierdzić, że w grę wchodzi „kolejne zaostrzenie w przebiegu przewlekłego zapalenia wyrostka robaczkowego”, który w dodatku, jak się okazało, był nieprawidłowo położony. W tej sytuacji zapadła decyzja o jego wycięciu.

Opiekujący się dziewczynką dr Gadula postanowił, że operację przeprowadzi osobiście po uprzednim uzyskaniu zgody przełożonych (była ona konieczna, gdyż na oddział paraplegii nie przyjmowano z zasady pacjentów z tzw. ostrymi schorzeniami, to znaczy wymagającymi interwencji chirurgicznej). Oczywiście chodziło nie tylko o to, że właśnie dr Gadula znał najlepiej organizm Joasi. Trzeba było po prostu liczyć się z możliwością wystąpienia „niespodzianek”, bynajmniej nie medycznych.

— Proszę sobie wyobrazić — powie pół żartem, pół serio w rozmowie z nami śląski lekarz — co by się stało, gdyby nagle podczas operacji chirurgowi zaczęły „uciekać” narzędzia? To może się wydawać śmieszne, ale ja nie mogłem ani na chwilę zapomnieć, że byłem wcześniej świadkiem bardzo różnych efektów kinetycznych i to manifestujących się w najmniej oczekiwanych momentach. Musieliśmy więc powziąć w tym przypadku szczególne środki ostrożności.

Ponieważ do samoczynnego ruchu przedmiotów dochodziło często podczas snu dziewczynki, dr Gadula zdecydował się nie stosować w trakcie operacji znieczulenia ogólnego, lecz jedynie miejscowe.

— Asia — opowiadał — zniosła zabieg bardzo dobrze i już w siedem godzin później spacerowała po korytarzu. Rozmawiała z innymi pacjentami, żartowała, śmiała się. I właśnie wtedy, jak mi doniesiono, wydarzyło się coś, czego, przeprowadzając operację, obawiałem się najbardziej. Było to następnego dnia po zabiegu. Z gabinetu lekarskiego, gdzie umieściłem dziewczynkę (w tym momencie mocno spała), wyleciała przez otwarte drzwi „ósemka”. To jest przyrząd rehabilitacyjny stosowany przez nas do podnoszenia nogi; ot, taki haczyk z grubego drutu. Jego lot był przy tym bardzo dziwny: przedmiot odbił się od drzwi sali naprzeciw, a następnie — jak twierdzili obserwatorzy — a było ich sześciu! — falistym ruchem poleciał w zupełnie inną stronę.

Jak potem ustaliliśmy, jedna ze starszych wiekiem pacjentek, będąca świadkiem zrelacjonowanego wydarzenia, długo nie mogła po nim przyjść do siebie. To, co zobaczyła, uważała za niezbity dowód czarów.

Po operacji rana goiła się bardzo dobrze. Aby osiągnąć lepszy efekt kosmetyczny dr Gadula zdjął szwy o jeden dzień wcześniej, niż czyni się to normalnie. W tamtym momencie rana była całkowicie zagojona. Po kilku godzinach jednak doszło do ponownego rozejścia się skóry i częściowo tkanki podskórnej. Wyglądało to jakby rozsadziła je jakaś wewnętrzna energia...

Kiedy dzieci bawią się w odgadywanie miejsc, gdzie uprzednio zostały schowane jakieś przedmioty, pomagają poszukującemu tradycyjnym: „zimno, ciepło, gorąco”. Wokół Joasi Gajewskiej z Sosnowca gorąco jest przez cały czas. Natomiast z punktu widzenia naukowej analizy zjawiska zespół kierowany przez dr. Gadulę pracował w atmosferze badawczego chłodu, bez którego trudno wyobrazić sobie osiągnięcie jakiegokolwiek sensownego i wiarygodnego rezultatu.

Rezultat ten — w jego globalnym wymiarze — ma swoje białe plamy; przynajmniej, jeśli chodzi o reporterski zapis. Taką właśnie białą plamę stanowią wyniki badań metaloznawczych, przeprowadzonych w Instytucie Metaloznawstwa i Spawalnictwa Politechniki Śląskiej w Gliwicach pod kierunkiem prof. Klary Cieślak.

Piszemy o tym nie bez zadumy, ponieważ wspomniane badania rokowały pod pewnymi względami największe nadzieje. Wśród wielu zjawisk, składających się na fenomen sosnowieckiej nastolatki, odkształcenie bez użycia siły fizycznej łyżeczek, sztućców oraz różnych próbek metali było czynnikiem najbardziej uchwytym. Uchwytym w tym sensie, że pozostawiającym po sobie konkretne, materialne ślady oddziaływania paranormalnego, z drugiej zaś stanowiącym jedyny element **samosterowania** zjawiskiem, to jest jego świadomego wywoływania wraz z towarzyszącymi mu skutkami. Można powiedzieć, że w porównaniu z szybującymi z ogromną szybkością przedmiotami, które potrafią czynić wokół spustoszenie, wygięcie łyżeczki od herbaty poprzez pocieranie jej dwoma palcami wydaje się sprawą mało znaczącą, by nie rzec: banalną. Tym, którzy hołdują takiemu pogładowi, doradzamy jednak, aby sami się przekonali, w którym miejscu kończą się granice banału (wyginanie łyżeczek poprzez ich pocieranie w

przypadku sceptyków będzie miało z pewnością jeden pozytywny skutek: wzmocni palce i pozwoli na osiągnięcie większej sprawności manualnej, a to również się liczy).

Goszcząc wielokrotnie w Sosnowcu byliśmy często świadkami odkształcania przez Joasię w sposób paranormalny różnego rodzaju sztuczków w warunkach wykluczających mistyfikację. Niektóre z tych przedmiotów otrzymaliśmy na pamiątkę. Jest wśród nich np. zwinięty w śliczny kabłąk gruby kabel, wykorzystywany w łączności. Są również fantazyjnie zwinięte w trąbkę łyżeczki, co bardziej przychodzi na myśl metaloplastykę niż eksperymenty psychotroniczne. Tyle że metaloplastyk, aby osiągnąć pożądany efekt, poddaje obrabiany materiał działaniu wysokich temperatur, Joasia zaś wykonuje swoje dzieło dwoma palcami jednej ręki.

Eksperyment ten — powiedzmy uczciwie — nie zawsze i nie w każdym przypadku się udaje. Przez długi czas np. Joasi nie wychodziło wyginanie sztuczków w obecności kamery. Wyglądało na to, że taśma filmowa ją peszy, dekoncentruje. Obecnie ta swoista blokada psychiczna (bo chyba ona wchodziła w grę) została przełamana, co oczywiście nie oznacza, że dziewczynka za każdym razem potrafi sprostać postawionemu przed nią zadaniu.

Również w obecności większego grona osób (np. ze środowiska naukowego), oczekujących od Joasi natychmiastowego efektu (czy raczej odwrotnie: szczerze w niego wątpiących) odkształcenie metalu przebiega znacznie wolniej, a niekiedy kończy się niepowodzeniem. Piszemy: niekiedy, bowiem jest niezaprzeczalnym faktem, że nawet w tak niesprzyjających — z punktu widzenia psychiki — warunkach Joasia Gajewska potrafiła wygiąć wiele próbek metali. Dotyczy to zwłaszcza doświadczeń, jakie prowadzono z nią w Instytucie Metaloznawstwa i Spawalnictwa Politechniki Śląskiej w Gliwicach, jak również eksperymentu, któremu została poddana w 1984 roku w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie (o czym szerzej w rozdziale „Bez niedomówień”).

Interesujące w tym kontekście byłoby ustalenie (co, niestety, nie wydaje się do końca możliwe), w jakim stopniu na blokady psychiczne Joasi wpływa podejście badacza do obserwowanego zjawiska. Posłużymy się tu następującym przykładem.

Kiedy zespół dr. Gaduli rozpoczął swoją pracę, jeden z naukowców, z którym konsultowano założenia projektowanych eksperymentów, wyraził zdecydowany sceptycyzm co do możliwości wyginania przez dziewczynkę sztuczków w opisany sposób. Powiedział krótko: „Nie uwierzę w to, dopóki sam nie zobaczę”.

Wobec tego zaproszono sceptyka do udziału w eksperymencie. Z trudem, bo z trudem, jednak Joasia łyżeczkę wygięła. Wówczas wspomniany profesor fizyki skorygował przyjęte wcześniej przez siebie kryterium wiary i niewiary, oznajmiając, że uwierzy w zjawisko, jeśli dziewczynka wygnie mu na oczekaniu nie jedną, lecz dziesięć łyżeczek. Istnieje zarazem znaczne prawdopodobieństwo, że gdyby sztuka ta jej się powiodła, obserwator zażądałby odkształcenia w jego obecności stu próbek.

Z kolei podczas jednej z wizyt w Czeladzi mieliśmy do czynienia z następującą sytuacją: poprosiliśmy Joasię — w obecności dwóch przedstawicieli nauki — o wygięcie łyżeczki, która stanowiła naszą własność (sztucze, będące przedmiotem eksperymentów, przywozimy zazwyczaj sami, gdyż większość znajdujących się w domu państwa Gajewskich jest od dawna odkształcona). Joasia, która ciągłymi „zabawami” z metalem wydawała się być już nieco znużona, zainteresowała się, czy łyżeczka pójdzie do badań, czy też ma ją zgiąć „na pamiątkę”. Zapytaliśmy, jakie to ma znaczenie. Otrzymaliśmy odpowiedź, że, owszem, ma, ponieważ wyginanie dla celów naukowych już ją serdecznie znudziło, natomiast nas lubi, a to co innego. Po czym na oczach wszystkich odkształciła metal w ciągu paru minut.

To, co na pozór może się wydawać kapryсами kilkunastoletniej panny, stanie się bardziej zrozumiałe, jeśli zważyć, że dla celów badań prowadzonych od czerwca 1983 roku w instytucie Metaloznawstwa w Gliwicach Joasia Gajewska wygięła kilkadziesiąt próbek metali, łyżeczek, widelców, noży, sztabek, kabli i innych tego typu akcesoriów. Nauka, która spośród licznych instrumentów poznania najbardziej upodobała sobie statystykę oraz prawo wielkich liczb, ciągle wołała o jeszcze, i, chcąc nie chcąc, trzeba ją było zaspokoić. Inna rzecz, że Joasia polubiła panią profesor Cieślak i sympatia ta trwa do dziś, mimo że wyniki żmudnej, paroletniej pracy, jakiej sosnowiecka nastolatka przysporzyła metaloznawcom, są obecnie wielką zagadką.

Do takiej konkluzji, być może błędnej, upoważnia nas uważna analiza materiałów, którymi dysponujemy. Nie z naszej winy są one fragmentaryczne. Rysują się wokół nich również liczne znaki zapytania oraz wątpliwości.

Z prof. Klarą Cieślak rozmawialiśmy po raz pierwszy w grudniu 1983 roku podczas naszej bytności na Politechnice Gliwickiej. Wówczas to obejrzelśmy również serię próbek metali oraz sztuczków odkształconych przez dziewczynkę. Starannie ponumerowane i opisane były (lub miały być w przyszłości) przedmiotem precyzyjnych badań metaloznawczych. Przewidywano, że zostaną one zakończone

prawdopodobnie jesienią 1984 roku.

Z otrzymanych przez nas wówczas informacji (rozmawialiśmy m. in. na ten temat również z pracownikami naukowymi Instytutu dr. dr. Elżbietą i Wojciechem Ozgowiczami) wynikało, że zaprogramowane na szeroką skalę badania przeprowadzane były metodą porównawczą, obejmując także materiały odkształcone przez inne osoby przy użyciu siły fizycznej. Opierały się one na kilku poziomach zejść w głąb struktury materii — poczynając od poziomu metaloznawczego poprzez struktury kryształów, a na wiązaniach atomowych kończąc. Zaznaczając, że dla osiągnięcia kompletnych i jednoznacznych wyników potrzebna jest bardzo czuła aparatura, m. in. mikroskop elektronowy i rentgenowski, powiedziano nam, że dotychczasowe rezultaty badań są bardzo interesujące, gdyż zdają się wskazywać na istotne różnice, jakie zachodzą w strukturze próbek metali giętych w sposób rutynowy, a więc przy użyciu siły fizycznej, oraz tych, które dziewczynka odkształcała w sposób paranormalny. W ostatnim przypadku miało dojść nie tylko do deformacji wiązań atomów, lecz również specyficznych zmian na poziomie struktur krystalograficznych.

Pamiętając o planowanym terminie zakończenia badań oraz mając na uwadze, iż ich integralną część stanowiła przygotowana przez jednego ze studentów politechniki praca magisterska, kontaktowaliśmy się później kilkakrotnie z instytutem, prosząc o udostępnienie finalnych wyników. Za każdym razem otrzymywaliśmy odpowiedź, że badania są ciągle w toku.

U schyłku 1985 roku od jednego z pracowników naukowych, którzy prowadzili eksperymenty z Joasią Gajewską w ramach nowego, interdyscyplinarnego zespołu, działającego pod auspicjami Instytutu Matki i Dziecka (o czym szerzej w rozdziale „Bez niedomówień”), dowiedzieliśmy się, że badania metaloznawcze są w zasadzie ukończone, a ich wyniki okazały się negatywne w tym sensie, że próbki metalu odkształcone przez Joasię miały ostatecznie nie wykazywać żadnych różnic w porównaniu z próbkami porównawczymi, wyginanymi przez inne osoby przy użyciu siły fizycznej. Podobną informację przekazano państwu Gajewskim.

Nie mogąc uzyskać oficjalnego potwierdzenia tej wiadomości, w końcu grudnia 1985 roku skierowaliśmy na ręce prof. Klary Cieślak list, w którym — powołując się na przygotowywaną książkę — prosiliśmy o udostępnienie nam końcowych wyników badań niezależnie od tego, czy w ostatecznym rozrachunku są one korzystne z punktu widzenia przybliżenia wiedzy o zjawisku, o którym piszemy. Uważaliśmy bowiem, iż nawet, jeśli odpowiedź w tej mierze okaże się rozczarowująca (brak różnic, o jakich była mowa), nie ma powodu, by fakt ten ukrywać, zwłaszcza że — sam przez się — o niczym on jeszcze nie świadczy. Odkształcanie przez Joasię próbek metalu w sposób paranormalny jest bowiem faktem i w opisanej sytuacji można by mówić co najwyżej o niezalezieniu uchwytanych — na gruncie określonej gałęzi nauki i wiedzy, jaką jest metaloznawstwo — elementów pozwalających wyjaśnić mechanizm zjawiska oraz jego skutki.

Ponieważ na naszą korespondencję nie otrzymaliśmy odpowiedzi, w przededniu kolejnej wizyty w Czeladzi, 12 marca 1986 roku zatelefonowaliśmy do prof. Klary Cieślak, prosząc o wywiad. Okazało się to niemożliwe, a z przekazanych informacji wynikało jedynie, że po pierwsze trudno mówić o ostatecznych wynikach badań, gdyż student, piszący pracę magisterską, został powołany do wojska i zabrał ze sobą wszystkie materiały (sic!), po drugie zaś nie można wykluczyć, iż użyte w dotychczasowych eksperymentach próbki metalu, z wyjątkiem jednej, pochodzącej jeszcze sprzed wojny łyżki, zostały źle dobrane. Nie uwzględniono w nich bowiem zanieczyszczeń występujących podczas produkcji w procesie obróbki metalu, co dawałoby dodatkowe odkształcenia i inną strukturę tłoczną, a tym samym mogło mieć wpływ na uzyskane rezultaty.

Niestety, nie udało nam się wyjaśnić przyczyn rozbieżności między informacjami, jakie otrzymaliśmy w grudniu 1983 roku (wyraźne różnice i zmiany w strukturze krystalograficznej metalu) a konkluzjami przekazanymi po upływie dwu i pół roku. Nie powiodła się również próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, czy zabieranie przez studenta — w związku z powołaniem do służby wojskowej — całego materiału badawczego jest na co dzień praktykowane. Po prostu nie możemy powiedzieć na ten temat niczego ponad to, co napisaliśmy.

Nie jest przy tym — akcentujemy wyraźnie — naszym celem ani zamiarem sprawianie komukolwiek przykrości. Prof. Klara Cieślak, należąca do najwybitniejszych w kraju metaloznawców, legitymuje się poważnym dorobkiem naukowym oraz cieszy wśród znawców przedmiotu dużym autorytetem. Tym bardziej więc zależało nam na pełnym i rzetelnym — bez względu na ostateczny rezultat — poznaniu wyników prac prowadzonych pod jej kierunkiem. Nie jest naszą winą, iż zamysł ten się nie powiódł.

W późniejszym okresie podjęliśmy jeszcze jedną próbę, mającą na celu uzyskanie kompetentnej opinii

w interesującej nas sprawie. Dysponując próbkami metalu odkształconymi przez Joasię Gajewską, zwróciliśmy się do innego wybitnego naukowca, dyrektora Instytutu Materiałoznawstwa i Technologii Metali Politechniki Łódzkiej prof. Zygmunta Hasia, który, jak dowiedzieliśmy się z prasy codziennej, przeprowadził podobny eksperyment (tj. polegający na wyginaniu łyżeczek bez użycia siły fizycznej) z dziewięcioletnią Agnieszką Stopczyk z Łodzi. W wypowiedzi dla dziennika „Express Ilustrowany” (nr 57/85) prof. Haś stwierdził m. in: „Na podstawie tego, co widziałem, a także innych doniesień można powiedzieć, że nie jest to żadne nadprzyrodzone zjawisko (...) Próbę jego interpretacji można podjąć nawet bez przeprowadzenia eksperymentów i badań, choć są one konieczne. Mechanizm odkształcania się metali, z których wykonane są łyżeczki, jest znany. Odkształcenie następuje na skutek tzw. poślizgu i bliźniakowania. Obecnie nikt nie kwestionuje występowania u istot żywych biopola, które w sprzyjających warunkach może uruchamiać dyslokacje odpowiedzialne za poślizg w materiale”. I dalej: „Można wysnuć przypuszczenie, że zjawisko odkształcania następuje na skutek rezonansu wywołanego drganiami biopla, a dzieje się to w przypadku, gdy ich częstotliwość jest równa lub bliska częstotliwości drgań własnych sieci atomowej metalu (...) W moim przekonaniu problemem tym należy się zająć nie tylko z chęci zaspokojenia ambicji poznawczych, ale z uwagi na ewentualne możliwości poszerzenia horyzontów nauki”.

Pragnąc poszerzyć horyzonty nauki — proszę nie traktować tego stwierdzenia ironicznie — skontaktowaliśmy się z prof. Hasiem, uzgadniając datę spotkania w dogodnym dla naszego rozmówcy terminie. Niestety, mimo że do spotkania tego przygotowaliśmy się szczególnie starannie, kompletując m. in. wszystkie odkształcone próbki metalu oraz inne materiały, jakimi dysponowaliśmy, łódzki naukowiec nie przybył na nie i nigdy nie wyjaśnił, dlaczego zrezygnował ze współpracy z nami. Tym samym historia metaloznawczych „przygód” Joasi Gajewskiej — od strony ich reporterskiego zapisu — definitywnie ugrzęzła w ślepym zaułku.

Na zakończenie tej sekwencji warto podać pewną informację uzupełniającą. Otóż według danych przekazanych przez prezesa japońskiego Towarzystwa Badań nad Postrzeganiem Pozazmysłowym, dr. Toshiya Nakaoka (który w 1974 roku gościł w Warszawie), laboratoryjne badania metalograficzne sztućców i próbek metali, wyginanych w sposób paranormalny przez japońskich ekstrasensów, przede wszystkim zaś najbardziej znanego z nich, kilkunastoletniego Juna Sekiguchi, przyniosły niezwykle interesujące rezultaty. Okazało się bowiem, że układ włókien metalu w miejscu odkształcenia przedmiotu tą metodą był zupełnie inny niż w sytuacji, gdy łyżka została zgięta przy użyciu działającej na nią bezpośrednio siły fizycznej. Podobno w pierwszym przypadku struktura włókien wykazywała cechy równoległości, podczas gdy w drugim została zakłócona: włókna wyglądały jak popękane lub układały się faliście. W badaniach stalowych łyżeczek zanotowano również tzw. efekt grzbietowy, którego — jak twierdzili japońscy specjaliści — nie można uzyskać, wyginając metal poprzez działanie nań określonej siły mechanicznej. Konkluzja ekspertów z laboratorium metalograficznego w Chibashi brzmiała: „Łyżeczki zostały wygięte za pomocą jakiejś nieznanej dotychczas siły”. W świetle cytowanej opinii cały problem wraca poniekąd do punktu wyjścia.

Uwieńczeniem cyklu kompleksowych badań, przeprowadzonych w okresie od maja do października 1983 roku przez zespół pod kierownictwem dr. Eustachiusza Gaduli było obszerne pismo skierowane 27 października tego roku do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Jakkolwiek ów dokument, podpisany w imieniu grupy badawczej przez dr. E. Gadulę, zawiera pewne powtórzenia w stosunku do tego, o czym dotychczas pisaliśmy, ze względu na jego merytoryczne znaczenie oraz operowanie istotnymi, jak się wydaje, syntezami, dotyczącymi zgromadzonych w toku badań materiałów, zdecydowaliśmy się go przekazać z nieznacznymi tylko skrótami. Oto on:

Tarnowskie Góry, dnia 27 X 1983 r.

Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej, Warszawa

Zwracam się z uprzejmą prośbą o rozważenie celowości objęcia resortowym programem kompleksowych badań fenomenu Joanny Gajewskiej z Sosnowca.

W kwietniu 1983 r. śląskie, a następnie ogólnopolskie środki masowego przekazu podały wiadomość, że w Sosnowcu u trzynastoletniej dziewczynki Joanny Gajewskiej wystąpiły paranormalne właściwości, przejawiające się dziwnym zachowaniem przedmiotów w najbliższym otoczeniu dziewczynki. Według relacji Joasi, jej rodziców, dalszej rodziny oraz sąsiadów od 4 kwietnia br. w bliskim otoczeniu dziewczynki zaczęły się samoistnie i gwałtownie poruszać najrozmaitsze przedmioty. W ciągu kilku dni doszło do poważnych zniszczeń w lokalu, w którym zamieszkiwała dziewczynka wraz z rodzicami. Stłuczeniu uległa większość przedmiotów szklanych, w tym wiele szyb, zarówno okiennych, jak i stanowiących wyposażenie niektórych mebli, oraz część przedmiotów gospodarstwa domowego. Zanotowano uszkodzenia mebli i ścian mieszkania. Prerażeni rodzice szukali pomocy u władz lokalnych i służby zdrowia. W okresie nasilonych

zjawisk telekinetycznych u dziewczynki obserwowano pogorszenie samopoczucia, podwyższoną ciepłotę ciała, bóle głowy i wybitne rozdrażnienie.

Początkowe próby poszukiwania jakiegokolwiek pomocy okazały się nieskuteczne. Wszędzie spotykano się z niedowierzaniem lub wręcz z kpiną. Wielokrotnie wzywani lekarze nie stwierdzili w stanie zdrowia dziecka istotnych odchyleń, natomiast wielu z nich było skłonnych dopatrywać się w zachowaniu rodziny Gajewskich cech zbiorowej hysterii. Dopiero interwencja przedstawicieli środków masowego przekazu u władz lokalnych spowodowała, że prezydent Sosnowca zlecił obserwację tych zjawisk funkcjonariuszom Milicji Obywatelskiej i sporządzenie protokołu milicyjnego.

Ponieważ w wypowiedziach pierwszych obserwatorów wspomnianych zjawisk (...), częściowo zorientowanych w problemie, przewijało się przypuszczenie, że na ich wystąpienie może mieć wpływ zarówno szczególnie niekorzystna w sensie radiestezyjnym lokalizacja mieszkania, jak i paranormalne właściwości samej dziewczynki, po kilku tygodniach rodzice dziewczynki otrzymali nowe mieszkanie. Jednakże pomimo zmiany lokalu obserwowane wcześniej zjawiska w sposób nieregularny pojawiały się w dalszym ciągu.

Zarówno Joasia, jak i jej rodzice, znajdowali się w stanie skrajnego wyczerpania nerwowego, którego przyczynami m. in. były:

- a) obawa rodziców o stan zdrowia dziecka,
- b) strach spowodowany zjawiskami, które nie tylko były niezrozumiałe, ale stanowiły poważne zagrożenie rodziny,
- c) znaczne straty materialne, bez większych szans na ich rekompensatę ze strony PZU,
- d) przykre, nierzadko agresywne reakcje ze strony sąsiadów i dalszego otoczenia.

W tej sytuacji na początku maja zwrócono się do mnie z pytaniem, czy jako człowiek zajmujący się metodami medycyny niekonwencjonalnej i interesujący się zjawiskami paranormalnymi nie chciałbym zająć się dziewczynką. Po kilkudniowym namyśle i zapewnieniu sobie współpracy z Zakładem Biofizyki Śląskiej Akademii Medycznej i Instytutem Psychologii Uniwersytetu Śląskiego wyraziłem na to zgodę.

Zaplanowaliśmy badania w trzech blokach:

1. Medycznym (wywiady, badania fizykalne, liczne konsultacje oraz niezbędne, nieinwazyjne badania instrumentalne).
2. Psychologicznym (ocena stanu psychicznego zarówno dziewczynki, jak i jej rodziców oraz próby poprawy tego stanu).
3. Biofizycznym (wykonanie szeregu eksperymentów biofizycznych, które ułatwiłyby przybliżenie natury obserwowanych zjawisk. (...))

Po kilku tygodniach powiodła się próba wyginania przez dziewczynkę w sposób paranormalny przedmiotów, głównie metalowych sztućców. Zjawisko to często potrafiła ona wywołać świadomie. W związku z ujawnieniem się tej nowej właściwości nawiązaliśmy kontakt z Instytutem Metaloznawstwa Politechniki Gliwickiej, w której zaplanowano zakrojone szeroko badania, głównie metaloznawcze, przedmiotów poddawanych oddziaływaniom dziewczynki.

Przeprowadzone w bloku medycznym badania wykluczyły większą patologię i obawy co do poważniejszego zagrożenia życia i zdrowia zainteresowanej.

Badania psychologiczne wykazały wzmogłą pobudliwość nerwową Joasi, a szczególnie jej matki, ale nie wykazały cech typowych dla tzw. dużej psychiatrii. W tym czasie pod wpływem oddziaływań psychologicznych członków zespołu badającego stan psychiczny matki uległ nieznacznemu, zaś dziewczynki wybitnej poprawie. Joasia, zagrożona wczesną wiosną pozostaniem na drugi rok w tej samej klasie, bez większych trudności uzyskała w końcu roku szkolnego promocję do klasy siódmej.

Po uzyskaniu przeze mnie zgody dyrektora Górniczego Centrum Rehabilitacji Leczniczej i Zawodowej w Tarnowskich Górach, doktora Bogusława Matwina, dziewczynka wraz z matką dwukrotnie przebywała na obserwacji w naszym zakładzie. Pierwszy z tych pobytów miał miejsce w połowie maja 1983 r. Podczas trzydniowej, wstępnej obserwacji Joasia Gajewska poddana została kilku badaniom konsultacyjnym, badaniu EEG oraz doświadczeniom biofizycznym. W okresie tym — w obecności członków zespołu badającego — wygięła ona w sposób paranormalny sześć łyżeczek do herbaty, a siódma podczas próby wyginania uległa złamaniu, którego dźwięk udało się nagrać na taśmie magnetofonowej.

W lipcu br. w trakcie trzytygodniowego pobytu w Reptach poza systematyczną obserwacją dziewczynki wykonano m. in. tomografię komputerową, badanie termograficzne oraz badania i zdjęcia dna oka. W tym czasie wielokrotnie słyszeliśmy na taśmie magnetofonowej dziwne efekty akustyczne, zwykle poprzedzające zjawiska telekinetyczne.

Trzykrotnie obserwowaliśmy niewątpliwie paranormalne przemieszczanie się przedmiotów w gabinecie lekarskim, w którym w trakcie pobytu w Centrum przebywała Joasia i jej matka. Większość zjawisk

telekinetycznych zachodziła w ciemności lub przy świetle o niewielkim natężeniu. Tylko raz, podczas pobytu dziewczynki w naszym Zakładzie, dwóm członkom zespołu udało się zaobserwować lot przedmiotu. Pragnę podkreślić, że świadkami tych zjawisk poza członkami zespołu badającego były m. in. dwie dyżurujące w oddziale pielęgniarki oraz dwóch lekarzy dyżurnych z innych oddziałów.

Po raz ostatni byłem świadkiem kolejnych zjawisk telekinetycznych zachodzących w mieszkaniu rodziny Gajewskich przed trzema tygodniami. Tym razem wystąpiły one przy pełnym świetle elektrycznym. Mimo że oświetlenie pozwalało na pełną kontrolę wzrokową i stałą obserwację dziewczynki, ani razu nie udało mi się dostrzec przedmiotu w locie ze względu na błyskawiczny przebieg zjawiska. Tego wieczoru miałem możliwość obserwacji paranormalnej zmiany położenia kilkunastu przedmiotów, w tym również ostrych, metalowych. (...).

Zjawiska telekinetyczne w mieszkaniu rodziny Gajewskich zachodzą nadal, powodując dalsze zniszczenia zarówno wyposażenia, jak i samego lokalu. Wielokrotne próby uzyskania odszkodowania z PZU pozostają nieskuteczne, ponieważ brak jest podstaw prawnych do jego wypłaty. Przepisy prawne przewidują możliwości odszkodowań za straty, spowodowane działaniem czynników paranormalnych. (...). Powoduje to uzasadnione rozgoryczenie poszkodowanej rodziny, tym bardziej, że nic nie wskazuje na to, aby występowanie wspomnianych zjawisk miało się zakończyć w najbliższym czasie.

Informacje podane przez środki masowego przekazu, jak i komunikat Polskiego Towarzystwa Biocenotycznego, ogłoszony na Międzynarodowej Konferencji Psychotroników w Bratysławie, spowodowały, że od wielu miesięcy istnieje silna presja krajowych i zagranicznych przedstawicieli mass mediów, aby fenomen Joasi Gajewskiej przedstawiać w sensacyjnej formie. Są to działania obliczone na tanią sensację i zysk zainteresowanych ludzi oraz instytucji. (...) Przed trzema miesiącami do rodziców Joasi Gajewskiej zgłosili się m. in. przedstawiciele dwóch firm polonijnych, proponując zarobkowe obwożenie dziewczynki po świecie. Kilka zachodnich ekip telewizyjnych niecierpliwie oczekuje na pozwolenie rozpoczęcia nagrań.

Od chwili przejęcia sprawy przez nasz zespół uzyskaliśmy zgodę rodziców dziewczynki na odmowę wywiadów i nagrań dla środków masowego przekazu do czasu zakończenia wstępnych badań i ogłoszenia komunikatu PAP. Po wnikliwej analizie wszystkich okoliczności doszliśmy jednak do wniosku, że taki komunikat rodzinie Gajewskich, choćby tylko w aspekcie odszkodowań z PZU, niewiele pomoże, natomiast po jego ukazaniu się nastąpi nowe obciążenie zarówno rodziny, jak i członków zespołu badającego przez przedstawicieli środków masowego przekazu.

Widzimy potrzebę dalszych badań dziewczynki za pomocą unikalnej aparatury, a także powstania nie budzącej wątpliwości dokumentacji wizualnej zjawisk telekinetycznych (...) głównie zaś stworzenie rodzinie Gajewskich możliwości normalnej egzystencji. Spełnienie wszystkich tych warunków przerasta możliwości naszego zespołu i Dyrekcji CRLiZ »Repty«, w związku z czym proponujemy rozważenie, czy problem nie kwalifikowałby się jako **temat badań resortowych** Ministerstwa Zdrowia. Mamy poważne podstawy do przypuszczeń, że w przypadku odrzucenia przez resort tego wniosku rodzice dziewczynki wyrażą zgodę na stałą współpracę z którymś z kontrahentów zagranicznych, co oznaczałoby niewątpliwą stratę zarówno dla polskiej medycyny, jak i całej polskiej nauki”.

Podpisał: ordynator Oddziału Paraplegii I Górniczego Centrum Rehabilitacji Leczniczej i Zawodowej „Repty” specjalista chirurgii i rehabilitacji lek. med. Eustachiusz Gadula.

O tym, jak potoczyły się losy złożonego w Ministerstwie Zdrowia wniosku, opowiemy w jednym z najbliższych rozdziałów. Najpierw jednak chcemy zrelacjonować dwa wydarzenia, które nastąpiły na przełomie lat 1983/1984 i których wagi — z punktu widzenia pełnej wiedzy o rozwoju fenomenu Joasi Gajewskiej — nie sposób nie docenić.

Prof. Justus von Liebig: „*Sekret wszystkich odkrywców polega na tym, że nie uznają oni rzeczy niemożliwych*”.

Chłodne oko kamery

Pierwsze efekty akustyczne pojawiły się około osiemnastej, „uruchamiając” natychmiast kamerę oraz taśmę magnetofonową. Joasia zaczęła nagle „strzelać”. Siedząc na podłodze nie poruszała rękami ani nogami. Pomimo to, najpierw w odstępach kilkunasto-, a później kilkusekundowych, słyszeliśmy wyraźne, „suche” trzaski, przypominające wyładowania elektryczne.

12 grudnia 1983 roku przyleciała do Polski ekipa największego, ósmego kanału japońskiej telewizji „Fuji Television” z zamiarem nakręcenia specjalnego programu o fenomenie psychokinetycznym Joasi Gajewskiej, a przy okazji również o innych godnych uwagi zjawiskach z dziedziny psychotroniki w Polsce. Przedsięwzięcie to wiązało się z uruchomieniem przez „Fuji Television” nowego, emitowanego raz w tygodniu programu dokumentalnego, który, według zamysłu jego autorów, miał prezentować na podstawie materiałów z całego świata zjawiska paranormalne wraz z próbą ich naukowej interpretacji. Na czele ekipy stanął szef cyklu programów popularnonaukowych „Fuji Television” Toshio Uruta.

Przyjazd Japończyków poprzedzony został długotrwałymi negocjacjami. Jak bowiem wspomniał w swoim raporcie dr E. Gaduła, stosownie do uzgodnień między zespołem prowadzącym badania z Joasią Gajewską a jej rodzicami, kontakty z dziennikarzami w formie wywiadów, rozmów, relacji itp. zostały zawieszane do czasu podjęcia przez Ministerstwo Zdrowia decyzji dotyczących dalszego toku postępowania w sprawie naukowego wyjaśnienia fenomenu. W tym okresie byliśmy jedynymi reporterami, którzy współpracowali z dr. Eustachiuszem Gadulą i jego grupą, śledząc na bieżąco rozwój wydarzeń, a jednocześnie w pełni respektując — w dobrze pojętym interesie prowadzonych badań oraz samej dziewczynki — embargo publikacyjne. Z naszego punktu widzenia nie miało ono zresztą większego znaczenia, ponieważ celem, jaki sobie założyliśmy, było przede wszystkim zebranie dokumentacji do książki. Z tego też powodu nie przyjęliśmy ofert kilku czasopism zagranicznych, dotyczących napisania artykułu na temat fenomenu oraz prowadzonych badań. Wzięliśmy również na swoje barki ciężar powstrzymania natrętnych dziennikarzy z innych krajów, którzy bezustannie szturmowali redakcyjne telefony, prosząc o pośrednictwo w kontakcie z rodziną Gajewskich. Kilku z nich — sobie tylko znanym sposobem — zdołało nawet zdobyć nasz prywatny numer telefonu, mimo iż jest zastrzeżony.

Rozmowy te bywały niekiedy dla nas nader kłopotliwe, jak np. w przypadku reportera pewnej francuskiej popołudniówki, działającego metodą faktów dokonanych. Człowiek ów któregoś dnia po prostu wyładował w Warszawie i zatelefonował do nas z lotniska, zaklinając na wszystko, by mu dopomóc w dotarciu do dziewczynki, gdyż, jak twierdził, w przeciwnym razie kierownictwo redakcji wyleje go z pracy.

W tym miejscu konieczne wydaje się wyjaśnienie, dlaczego pierwsze „uderzenie” zagranicznych kolegów po piórze spadało najczęściej na nas. Był to okres, gdy wraz z niewielką grupą dziennikarzy oraz naukowców przygotowywaliśmy się do uruchomienia nowego miesięcznika „Nieznany Świat”, który — w myśl opracowanej przez nas koncepcji redakcyjnej — miał w sposób poważny podejmować problemy fenomenów ze sfery psychotroniki wraz z próbą ich naukowej interpretacji. Inicjatywa ta uzyskiwała akceptację Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch” i w 1984 roku została zapisana w planie wydawniczym. Dotkliwy brak papieru oraz długotrwały poligraficzny kryzys, który z czasem przeobraził się w krach (do czego doszły również pewne opory psychologiczne decydentów) uniemożliwił ostatecznie realizację całego przedsięwzięcia, przynajmniej w najbliższych latach. Jedyne, co udało się nam osiągnąć, to wydanie próbnego (tzw. zerowego) numeru „Nieznanego Świata”, którego pojedyncze egzemplarze krążą do dziś w antykwariatach oraz na giełdach bibliofilskich. Została w nim m. in. krótko zasygnalizowana sprawa fenomenu sosnowieckiego.

W rezultacie — przypomnijmy, że mówimy tu o jesieni 1983 roku — otrzymywaliśmy mnóstwo listów i telefonów, dotyczących również przygotowanej książki o Joasi Gajewskiej. Toteż gdy w „Fuji Television” zapadła decyzja o nakręceniu programu poświęconego sosnowieckiemu fenomenowi, korespondent radia japońskiego w Polsce, Teruo Matsumoto, zadzwonił właśnie do nas.

Wyrażenie zgody przez zespół badawczy oraz rodziców Joasi na współpracę z ekipą japońską stanowiło odstępstwo od przyjętej uprzednio generalnej zasady blokady informacji. Zdecydowały o tym dwa czynniki. Po pierwsze ekipa „Fuji Television” — w przeciwieństwie do wielu innych — legitymowała się dobrym przygotowaniem fachowym, jeśli chodzi o dziennikarską znajomość zagadnienia (jej członkowie zajmowali się już wcześniej filmową dokumentacją różnych zjawisk z pogranicza psychotroniki, mając za sobą liczne podróże od Meksyku po Filipiny). Gwarantowało to poważne, pozbawione emocji podejście do

tematu. Najważniejszy okazał się jednak drugi argument. Kontakt z dziennikarzami „Fuji Television” poza wymianą doświadczeń i informacji (nakręcone uprzednio programy na temat różnego rodzaju fenomenów parapsychicznych) stwarzał niepowtarzalną szansę wykorzystania w celach dokumentacyjnych sprzętu, jakim dysponowała ekipa, a o którym śląski zespół badawczy mógł jedynie marzyć. Chodziło w szczególności o supernowoczesną kamerę oraz aparaturę magnetowidową, którą goście zgodzili się na pewien czas zainstalować w mieszkaniu państwa Gajewskich, licząc na to, że metoda permanentnego podglądu umożliwi im rejestrację efektów kinetycznych na kasecie. Była to oferta ogromnie kusząca, zwłaszcza w zestawieniu z obietnicą Japończyków, że jeśli zapis taki się powiedzie, kaseca po jej skopiowaniu zostanie przekazana polskim badaczom.

Oprócz wspomnianego już Toshio Uruty w skład ekipy „Fuji Television” weszli: znany w Japonii pisarz, autor wielu poczytnych książek, a zarazem telewizyjnych reportaży Takashi Tachibana, kierownik produkcji Yohji Itagaki, operator Yoshihiro Itoh oraz inżynier dźwięku Yoichi Hirai. Wszyscy oni, o czym mieliśmy okazję się przekonać, reprezentowali najwyższy profesjonalny poziom. Niestety, pech sprawił, że rezultaty ich pracy były o wiele mniej znaczące, niż się spodziewaliśmy.

Przyczynę tego stanowił fakt, iż tygodniowy pobyt filmowców japońskich w Polsce zbiegł się z okresem niedyspozycji Joasi. Już wcześniej skarżyła się ona na złe samopoczucie oraz rozmaite dolegliwości (nie zapominajmy, że dziewczynka zaledwie przed miesiącem przeszła operację w szpitalu w Reptach). Miała również wyraźne trudności z koncentracją. W efekcie większość eksperymentów oraz doświadczeń, przeprowadzonych pod okiem kamery, nie udała się. Było to o tyle deprymujące, że niektóre z tych doświadczeń uprzednio kończyły się sukcesem. Co gorsze, parokrotnie dochodziło do sytuacji, kiedy Joasia, siedząc przed kamerą, nie mogła np. zgiąć łyżeczki, natomiast po przerwaniu zdjęć na oczach całej ekipy oraz innych osób radziła sobie z tym doskonale.

Goście z Japonii — z ich mentalnością wywodzącą się z określonego kręgu kulturowego, w którym od najmłodszych lat niepoślednią rolę odgrywają takie cechy, jak doprowadzony nierzadko do perfekcji trening autogenny, umiejętność panowania nad sobą oraz samodyscyplina — byli tym ogromnie rozczarowani. Przyznając, że doświadczenia przed kamerą, zwłaszcza z udziałem dzieci, często się nie udają (eksperymenty z wyginaniem łyżeczek przez wyselekcjonowaną grupę dziewcząt i chłopców kręcono również w Japonii), mieli do Joasi pretensję nie tyle o niezadowalające rezultaty, ile właśnie o elementarny brak koncentracji. Japończycy uważali nie bez racji, że gdyby trzynastolatka spróbowała nad sobą popracować, to trudności, z jakimi się boryka, zostałyby przełamane. Co więcej, jak twierdzili, mogłoby się wówczas okazać, że istnieje szansa osiągnięcia takiego stanu, który umożliwiłby, przynajmniej w pewnym stopniu, samosterowanie zjawiskami psychokinetycznymi, zachodzącymi w otoczeniu dziewczynki.

Niestety, trzeba to powiedzieć otwarcie, Joasia prezentuje bardzo określony i chciałoby się rzec, wyprofilowany typ osobowości, który niepomniernie utrudnia lub zgoła uniemożliwia wdrożenie do takiego trybu życia, jaki preferują jej rówieśnicy z Dalekiego Wschodu. Dotyczy to zwłaszcza wspomnianych kłopotów z koncentracją, co jest widoczne np. bardzo wyraźnie w szkole, zaś dodatkowy czynnik zakłócający w tym względzie stanowi zdecydowanie ponadprzeciętna nerwowość matki.

Japońscy goście nie żalowali taśmy filmowej. Oprócz materiału nakręconego w mieszkaniu przeprowadzili liczne wywiady z naocznymi świadkami zjawisk psychokinetycznych, zachodzących w obecności dziewczynki; odwiedzili także Zakład Biofizyki Akademii Medycznej w Zabrze-Rokitnicy i Ośrodek Dokumentacji Politechniki Gliwickiej, w którym obejrzeliby na magnetowidzie liczący w sumie sześć godzin filmowy zapis prowadzonych z Joasią doświadczeń metaloznawczych, medycznych i biofizycznych. Mimo iż jakość obrazu nie należała, niestety, do najlepszych (winę za to ponosiła zabytkowa aparatura, którą goście z Tokio oglądali z niekłamanym zdumieniem, częściowo zaś jej niewłaściwa obsługa), był to w sumie bardzo interesujący materiał poglądowy.

Z punktu widzenia doświadczeń, zebranych podczas pobytu ekipy „Fuji Television” na Śląsku, na uwagę zasługuje kilka spraw. Zaczniemy od najważniejszej: próby rejestracji na kasecie magnetowidowej efektów kinetycznych. Zakończyła się ona sukcesem tylko w jednym przypadku. Był to jednak sukces połowiczny, albowiem nie wzięliśmy wcześniej pod uwagę istotnego czynnika: ogromnej szybkości, z jaką poruszają się wprawione samoczynnie w ruch przedmioty. Szybkość ta jest nieporównywalna z prędkością, jaką otrzymuje analogiczny przedmiot rzucony ręką. Mieliśmy okazję przekonać się o tym 13 grudnia 1983 roku, a właściwie dopiero nazajutrz.

13 grudnia, który przypadł we wtorek, upłynął niemal w całości na kręceniu w mieszkaniu w Czeladzi wstępnego materiału filmowego (m. in. pierwsze zaimprovizowane przed kamerą doświadczenia z wyginaniem łyżeczek częściowo udana próba z poruszaniem piłeczek pingpongowych, pływających po powierzchni wody, oddziaływanie na osłonięty płomień świecy). We wszystkich tych eksperymentach oprócz nas uczestniczył również dr Eustachiusz Gadula, który udzielał dziennikarzom z Japonii obszernych i

szczegółowych wyjaśnień.

Przed opuszczeniem mieszkania przez ekipę, późnym wieczorem zainstalowaliśmy w nim kamerę wraz z podłączonym do niej magnetowidem. Aparatura miała pracować non stop aż do wyjazdu Japończyków z Polski, a nawet, jak później uzgodniliśmy, tydzień dłużej. Wyłączano ją jedynie na czas nieobecności Joasi w domu, a więc praktycznie wtedy, gdy przebywała w szkole.

Pomijając już fakt, iż całe przedsięwzięcie było bardzo kłopotliwe dla domowników (cóż to za przyjemność być obserwowanym od świtu do nocy), podstawowy problem sprowadzał się do właściwego usytuowania kamery. W jej polu widzenia z natury rzeczy nie mogło się znaleźć całe mieszkanie. Chodziło również o takie jej umocowanie, które — w przypadku gdyby sama stała się obiektem „inwazji” kinetycznej — zabezpieczałoby sprzęt przed zniszczeniem.

Pierwszą sprawę rozwiązaliśmy w ten sposób, że kamera została umieszczona w przedpokoju, obejmując swoim zasięgiem sypialnię Joasi oraz kuchnię. Podejmując taką decyzję oparliśmy się na dotychczasowych doświadczeniach, z których wynikało, że efekty kinetyczne koncentrowały się zazwyczaj właśnie w przedpokoju oraz w pomieszczeniu, gdzie spała dziewczynka. Natomiast bezpieczeństwo sprzętu (co tu dużo mówić, bardzo kosztownego) miało zapewnić wyjątkowo solidne przytwierdzenie kamery do ściany, tudzież „zakleszczenie” aparatury magnetowidowej między meblami (i znowu z perspektywy czasu trudno oprzeć się refleksji, że — wobec sił fizycznych, z jakimi mieliśmy do czynienia — były to środki ostrożności mało skuteczne, by nie rzec: naiwne, co pokazała zresztą niedaleka przyszłość).

Z mieszkania państwa Gajewskich wyjechaliśmy ostatecznie około godziny 21.50, udając się samochodem do hotelu. Pozostał tam natomiast na noc dr Gadula, który ze względu na późną porę postanowił nie ryzykować już jazdy do swego domu w Tarnowskich Górach (tego wieczoru wystąpiła bardzo silna mgła, ograniczająca widoczność do kilku metrów).

Jak wynikało z relacji dr. Gaduli, przekazanej nam wczesnym rankiem następnego dnia, pierwsze efekty kinetyczne wystąpiły o godzinie 22.45, a więc mniej więcej w godzinę po opuszczeniu przez nas mieszkania i — ze zmiennym nasileniem — trwały do 23.08. Doszło do nich jeszcze przed położeniem się domowników spać.

Jako pierwszy poszybował błyszczyk do warg, w chwilę potem pudełeczko po kremie (znajdujące się w tym momencie w łazience), a na końcu zgięty przed paru dniami przez dziewczynkę nóż do oprawiania ryb. Trajektoria przemieszczania się tego ostatniego przedmiotu była sprzeczna z jakimkolwiek znanymi prawami fizyki. Odtwarzając później przebieg wydarzeń ustaliliśmy, że nóż — po jego sfilmowaniu — został położony na szafce w przedpokoju, obok drzwi wejściowych do mieszkania. W momencie, gdy doszło do manifestacji kinetycznej, w jego pobliżu nie było nikogo. Pomimo to, wprawiony w ruch nieznaną siłą, poszybował do kuchni (co oznaczało wykonanie przez przedmiot skrętu w powietrzu o przynajmniej 70 stopni), tam odbił się od ściany nad zlewozmywakiem i, ponownie zmieniając pod bardzo ostrym kątem kierunek lotu, zawrócił do przedpokoju, upadając na podłogę w okolicach drzwi do łazienki. Ponieważ na jego trasie, a ściślej mówiąc, pewnym jej odcinku operował obiektyw kamery, pojawiła się szansa, że być może zdołała ona uchwycić fragment przelotu (pozostałe przedmioty przemieściły się poza jej zasięgiem, zaś w pokoju Joasi, na którym koncentrowało się pole widzenia kamery, w nocy z 13 na 14 grudnia 1983 roku nic się nie działo).

Wstępne przejrzanie kasety magnetowidowej z zapisanym na niej obrazem nie dało żadnego efektu. Wyglądało na to, że nasze nadzieje są płonne. Dopiero za trzecim razem Yoshihiro Itoh (co znaczy oko operatora z wieloletnim doświadczeniem) zwrócił uwagę na dziwny, bardzo szybko przemieszczający się błysk widoczny na monitorze. W pierwszym momencie go przeoczyliśmy. Pobieżna ocena czasu, jaki upłynął od momentu włączenia kamery i rozpoczęcia zapisu magnetowidowego, wskazywała, że rejestracja nastąpiła mniej więcej parę minut po dwudziestej trzeciej.

Po zaciemnieniu pokoju, co ułatwiło obserwację na monitorze, oraz stopniowym cofaniu i zwalnianiu klatek, udało się wreszcie zatrzymać obraz w najbardziej nas interesującym momencie. Przekonaliśmy się wówczas, że na efekt, który zwrócił uwagę operatora, składają się w rzeczywistości dwa krótkie, następujące po sobie błyski. Przypominały one pulsującą kreskę, która pojawiła się nagle na nieruchomym przedtem obrazie, później zaś przesunęła w prawo zmieniając barwę.

Czy nie mieliśmy przypadkiem do czynienia ze skażą na taśmie? Jakkolwiek Yoshihiro Itoh uważał to za mało prawdopodobne, wątpliwość taką mogła jednoznacznie rozstrzygnąć ekspertyza laboratoryjna, ta zaś była możliwa dopiero po powrocie ekipy do Japonii. Przyjmując jednak, iż w grę wchodził istotnie lecący nóż, po przybliżonym wykreśleniu trajektorii jego lotu doszliśmy do przekonania, że w miejscu, w którym przedmiot odbił się od ściany, powinien pozostać jakiś ślad. Po krótkich poszukiwaniach znaleźliśmy go. Było to niewielkie, płytkie wgłębienie w murze, znajdujące się kilkanaście centymetrów nad zlewozmywakiem. Wyglądało tak, jak gdyby powstało wskutek uderzenia ostrym przedmiotem.

W kilka tygodni później otrzymaliśmy z Japonii ważną wiadomość. Wynikało z niej, że ekspertyza laboratoryjna **wykluczyła** skazę na taśmie z zapisem magnetowidowym. Zarejestrowany efekt był zatem obrazem jakiegoś błyskawicznie przemieszczającego się przedmiotu. Piszemy „jakiegoś”, ponieważ szybkość obiektu okazała się tak olbrzymia, że mimo wielokrotnych powiększeń nie udało się go zidentyfikować. Korespondowało to dość ściśle z licznymi relacjami świadków efektów kinetycznych, zachodzących w obecności Joasi, którzy najczęściej nie widzieli samego lotu przedmiotu, lecz dopiero jego upadek lub uderzenie o przeszkodę (tylko czasami mówiono o zamazanym kształcie lub obserwowanej w powietrzu, w ułamku sekundy, smudze).

Przed wyjazdem ekipy „Fuji Television” umówiliśmy się, że jeśli ekspertyza laboratoryjna wykluczy skazę na taśmie, wówczas, znając szybkość przesuwania klatek, warto będzie pokusić się — po odpowiednich przeliczeniach — o określenie przybliżonej przynajmniej prędkości, z jaką poruszał się przedmiot. Niestety, nie otrzymaliśmy takiej informacji. Jak się wydaje, na podstawie szczupłych i niepewnych danych specjaliści nie byli po prostu w stanie wywiązać się z tego zadania. Jedno natomiast jest pewne, że mimo niemożności identyfikacji zaobserwowanego przedmiotu na ekranie magnetowidu, nie mógł on w żaden sposób zostać przez kogoś rzucony. Nie uzyskałby bowiem wówczas tak ogromnej, wręcz fantastycznej prędkości; prędkości, która sprawiła, że wizualny zapis fragmentu przelotu przybrał postać dwóch następujących po sobie błysków.

Nie bezowocna okazała się również nasza, trwająca kilka godzin, wizyta w Szkole Podstawowej nr 1 w Sosnowcu. Wprawdzie zaimprovizowane tam doświadczenia, polegające na próbie zgaszenia przez Joasię żaróweczki podłączonej do baterijki oraz odchylenia w kolbie wypełnionej wodą strużki nadmanganianu potasu, nie powiodły się (podobnie było ze zgięciem łyżeczki, która w chwilę po wyłączeniu kamery pod wpływem pocierania przez Joasię na oczach wszystkich uległa odkształceniu), jednak udał się, i to znakomicie, inny z zaprogramowanych wcześniej eksperymentów, a mianowicie test telepatyczny.

Przeprowadziliśmy go w dwóch etapach, przy czym oba zostały sfilmowane. Pierwszy z nich (eksperyment odbywał się w pustej sali, aby ułatwić Joasi niezbędną koncentrację, a jednocześnie uniemożliwić ewentualną koleżeńską pomoc ze strony rówieśników) polegał na wybieraniu przez dziewczynkę figur geometrycznych, przekazywanych drogą telepatyczną. Nadawcą był jeden z uczniów, Wojciech Szewczyk, którego wytypowaliśmy do tej roli w ostatniej chwili. Na 12 nadanych figur Joasia odgadła bezbłędnie 10.

W drugiej fazie testu — w celu jego utrudnienia — arkusz z wyrysowanymi na nim figurami geometrycznymi został przez nas zastąpiony oddzielnymi kartkami, zaś w roli nadawcy zgodziła się wystąpić tym razem wychowawczyni Joasi, Janina Ostrowska. Również wynik tego doświadczenia okazał się pozytywny. Na osiem nadanych przez nauczycielkę figur (trójkąt, prostokąt, kwadrat, romb oraz inne) Joasia odczytała prawidłowo siedem. W obu więc przypadkach przekroczało to znacznie prawdopodobieństwo uzyskania przypadkowego rezultatu.

Przed opuszczeniem szkoły zapytaliśmy klasę, kto z obecnych w niej uczniów pragnąłby mieć podobne właściwości jak Joasia. Zapanowało milczenie. Chłopcy i dziewczęta niepewnie po sobie spoglądali, nikt jednak nie zdobył się na odpowiedź twierdzącą. Wobec tego sformułowaliśmy pytanie inaczej: czy jest ktoś, kto zdecydowanie nie chciałby, żeby niezwykle zjawiska, zachodzące w obecności koleżanki, stały się jego osobistym udziałem. Odpowiedzią była ponownie cisza.

Podczas pobytu ekipy „Fuji Television” w Czeladzi i Sosnowcu nastąpiło jeszcze jedno ważne wydarzenie. W trakcie kręcenia kolejnych zdjęć z Joasią, staliśmy się świadkami efektów akustycznych, o których mówili uprzednio dr Andrzej Franek i dr Eustachiusz Gadula.

Było to 18 grudnia wieczorem. Poprzedniego dnia Takashi Tachibana, który musiał wcześniej niż cała ekipa wracać do Japonii, zdecydował się na spędzenie w mieszkaniu państwa Gajewskich nocy (było to już po „przygodzie” z nożem i rejestracją na taśmie magnetowidowej tajemniczych błysków, zbieżnych w czasie z wystąpieniem zrelacjonowanych przez domowników oraz dr. Gadulę efektów kinetycznych). Tachibana nie mógł sobie darować, że tamtego wieczoru wyjechaliśmy do hotelu przed dwudziestą drugą. Koniecznie chciał zobaczyć niezwykle zjawisko na własne oczy. Niestety, szczęście mu nie dopisało. Natomiast, jak potem stwierdził, nim ostatecznie ułożył się do snu, usłyszał dziwny dźwięk (domownicy już wówczas spali). Tak dziwny, że nie mógł go bliżej określić ani zinterpretować. Utrzymał jednak, że jego źródłem z całą pewnością nie była Joasia ani jej rodzice.

Takashi Tachibana doświadczył ponadto efektu stawania włosów dęba, bynajmniej nie ze strachu, lecz wskuteki zdumiewającej elektryzacji powietrza, która okresowo daje o sobie znać w obecności Joasi Gajewskiej. Można powiedzieć, że zjawisko to jest czysto subiektywne, gdyż nie zostało, jak dotąd, zmierzone za pomocą bardziej wiarygodnych instrumentów niż czyjeś osobiste odczucie. Faktem jednak

pozostaje, że kiedy podczas kręcenia zdjęć poprosiliśmy w pewnym momencie Joasię, by spróbowała przesunąć rękę w pobliże głowy jednego z gości (wybór padł właśnie na Tachibane), po niespełna dwóch minutach jego włosy zesztyniały i uniosły się w górę. Obserwacja ta, niezależnie od jej humorystycznego aspektu, pozwoliła stwierdzić, że odczucia odczuciami, a jednak w otoczeniu Joasi najwyraźniej zachodzą określone zjawiska fizyczne. Tachibana po tym eksperymencie długo i nieufnie gładził swoją czuprynę i był całą sprawą mocno pointrygowany, gdyż, jak stwierdził, nie jest podatny na elektryzację i nigdy coś podobnego mu się nie przydarzyło.

Wróćmy jednak do efektów akustycznych. Wystąpiły one około godziny osiemnastej, uruchamiając natychmiast kamerę oraz taśmę magnetofonową. Był to moment pewnego zmęczenia, jakiemu się mimowolnie poddaliśmy po kilku wcześniejszych nieudanych eksperymentach. I oto Joasia zaczęła nagle „strzelać”. Wyglądało to tak, że dziewczynka siedziała na podłodze, nie poruszając rękami ani nogami. Mimo to najpierw w odstępach kilkunasto-, a później kilkusekundowych słyszeliśmy wyraźne, „suche” trzaski, przypominające wyładowania elektryczne. Zrazu ogniskowały się w okolicach jej stóp, a następnie jak gdyby przemieściły gdzieś w powietrzu w jej bezpośrednim sąsiedztwie.

Pamiętając, iż — jak wynikało z relacji dr. Gaduli i dr. Franka — częstokroć, choć nie zawsze, poprzedzały one zjawiska kinetyczne, czekaliśmy w napięciu, co będzie dalej. W miarę upływu czasu efekty akustyczne stały się jednak coraz rzadsze, by wreszcie całkowicie zaniknąć.

W chwilę potem zaś nastąpiło coś, co nosiło ponad wszelką wątpliwość cechy określonego, wymiernego zjawiska fizycznego. Mianowicie po zamienieniu się z Joasią miejscami (usiadła ona ponownie przed kamerą) współautor książki doznał gwałtownego zawrotu głowy, dającego się porównać z nagłym ściśnięciem skroni kleszczami, przy czym energia, która to spowodowała, po chwili zaczęła spływać w dół ku nogom. O sugestii nie mogło być mowy; odczucie należało bowiem do aż nadto realnych, zmuszając do interwencji dr. Gadulę. Jednocześnie na silny ból głowy zaczęło się uskarżać dwóch członków japońskiej ekipy.

Nie była to jedyna tego typu przygoda. Niemal od początku bytności dziennikarzy „Fuji Television” w Czeladzi inżynier dźwięku Yoichi Hirai, do którego obowiązków należała m. in. kontrola całego sprzętu technicznego (nie musimy przy tym dodawać, iż był to sprzęt najwyższej klasy, o jakim nasi filmowcy mogą tylko marzyć), z niepokojem konstatował, iż w pracy urządzeń występują dziwne anomalie.

Zaczął się od lampy przystosowanej do napięcia 350 woltów. Aby podłączyć ją do 220-woltowych kontaktów, należało posłużyć się transformatorem. Mimo to podczas kręcenia zdjęć z udziałem Joasi w mieszkaniu Gajewskich nie udało się „wydusić” z transformatora więcej niż 314—315 woltów. W innych miejscach (w szkole, na politechnice, podczas nagrywania wywiadów ze świadkami zjawisk kinetycznych) problem taki nie występował. Yoichi Hirai (z wykształcenia elektronik) był tym bardzo podenerwowany. Wielokrotnie sprawdzał całe urządzenie, nie znajdując w nim jakichkolwiek śladów uszkodzenia. Znacznego okresowego spadku napięcia nie potrafił w sposób logiczny wytłumaczyć.

Jeden z fizyków, z którym konsultowaliśmy później tę sprawę, wyraził pogląd, że nie należy przywiązywać do niej zbyt dużej uwagi. Jego zdaniem, zważywszy na występujące permanentnie w naszej niedoinwestowanej energetyce odchylenia od nominalnego napięcia 220 woltów (zarówno w górę, jak i w dół), zaobserwowane zjawisko było normalne. Powołał się przy tym na fakt, że w starych osiedlach mieszkaniowych, a zwłaszcza na wsi, napięcie w sieci wahać się może od 240 woltów (w nocy, nad ranem) do 160 (w zimowe wieczory). Przyczyną są za małe transformatory lokalne, przetwarzające napięcie z 15 kilowoltów do 220 woltów, oraz zbyt cienkie przewody, które napięcie to rozpraszają. W tej sytuacji spadki napięcia w granicach od kilku do kilkunastu woltów mogą wynikać z podłączonej do sieci w bliskim sąsiedztwie pralki, odkurzacza czy też np. pieca elektrycznego. O paranormalnym zjawisku — twierdził nasz rozmówca — można by mówić dopiero wówczas, gdyby wspomniane wahania oscylowały wokół podwójnej wartości napięcia w sieci (w górę lub w dół) i pod warunkiem, że sieć byłaby prawidłowo eksploatowana.

Rozumowanie to jest słuszne, ale tylko pozornie, ponieważ nie tłumaczy, dlaczego wspomniane wahania występowały wyłącznie w mieszkaniu państwa Gajewskich, natomiast nie dawały o sobie znać w innych pomieszczeniach. Owa wątpliwość wydaje się tym bardziej warta podkreślenia, że takie zjawiska, jak nagłe psucie się w obecności nastolatki aparatury zasilanej elektrycznie (radia, magnetofony), zdarzały się już wcześniej, podobnie jak wyładowanie baterii w zegarku elektronicznym. Przypomnijmy też awarię aparatu do EKG w trakcie badania dziewczynki w kwietniu 1983 roku. Dodajmy wreszcie, że — jakby i tego było mało — w końcowej fazie kręcenia zdjęć do programu o Joasi zaczął szwankować przywieziony przez Japończyków duży radiowy mikrofon. Również i w tym przypadku nie udało się ustalić przyczyny jego defektu.

W zamian za udostępnienie ekipie „Fuji Television” materiału filmowego z zapisem wcześniejszych eksperymentów (chodziło zwłaszcza o doświadczenia biofizyczne dr. Andrzeja Franka oraz odształcanie

przez dziewczynkę sztuków w obecności pracowników naukowych Instytutu Metaloznawstwa i Spawalnictwa Politechniki Śląskiej) dziennikarze japońscy przed powrotem do Tokio zgodzili się pozostawić na tydzień w mieszkaniu państwa Gajewskich kamerę wraz z aparaturą magnetowidową oraz znacznym zapasem kaset. Niestety jej pracę zakłóciło niespodziewane wydarzenie.

27 grudnia 1983 roku o szóstej rano, w cztery dni po odlocie Japończyków, w mieszkaniu państwa Gajewskich rozpętało się piekło. Jak wynikało z relacji domowników, nagle, w ułamku sekundy, zaczęły z ogromną szybkością przemieszczać się różne przedmioty — od lekkich poczynając, a na ciężkich kończąc. Między innymi stojąca w dużym pokoju lampa uniosła się do góry i spadając uderzyła Joasię w twarz. Początkowe podejrzenie pęknięcia przegrody nosowej na szczęście się nie potwierdziło, jednak dziewczynka została mocno poturbowana i pokaleczona lecącymi w jej kierunku odłamkami szkła. Wszystkich tych wydarzeń nie udało się utrwalić na taśmie, ponieważ podczas trwającego kilka minut „trzęsienia ziemi” magnetowid spadł z szafki na ziemię, wrywając sznur z kontaktu (kamera — dzięki przytwierdzeniu jej do ściany — ocalała). Przekazując telefonicznie tę wiadomość korespondentowi radia japońskiego w Polsce Teruo Matsumoto (dzięki znajomości naszego języka przez cały czas pobytu ekipy telewizyjnej w Sosnowcu spełniał rolę tłumacza) matka dziewczynki była bliska hysterii. Obawiała się, że będzie musiała z mężem pokryć koszty naprawy cennej aparatury. Jak się na szczęście okazało, uszkodzenia nie były poważne, ale rodzice Joasi zgodnie uznali, iż dalsze pozostawienie sprzętu w mieszkaniu oznacza dla nich zbyt duże ryzyko, za które nie mogą brać odpowiedzialności. Aparatura została więc zdemontowana i poprzez Warszawę wróciła do Tokio.

Program z udziałem Joasi Gajewskiej oraz innych ekstransensów (byli wśród nich m. in. japońscy psychokinezy Masuaki Kiyota i Hiroto Yamasta, o właściwościach których piszemy szerzej w rozdziale „Spokój, przede wszystkim spokój”) emitowano w Tokio 3 lutego 1984 roku. Według informacji przekazanych nam z Japonii obejrzało go około 40 milionów widzów.

Dr Edgar Mitchell: *„Uważani, że parapsychologia jest tylko narzędziem (...), narzędziem mającym na celu wykazanie, że dominujący obecnie paradygmat naukowy jest błędny. Jest ona również narzędziem służącym otwarciu nowych perspektyw dla gatunku ludzkiego”.*

Pokój 309

„Gdy, wychodząc, ponownie zamykaliśmy za sobą drzwi, nastąpił kolejny huk... Natychmiast wpadliśmy do pokoju. Joasia siedziała na łóżku dokładnie w tym samym miejscu; nie zdążyła nawet zmienić pozycji. Szybko ustaliliśmy, że rozprysła się zawieszona pod sufitem żarówka razem z osłaniającym ją kloszem. Została zniszczona w takim stopniu, iż nieznaną siłą wyrwała z oprawki nawet metalową, gwintowaną nakrętkę”.

Jedną z najlepiej udokumentowanych, a zarazem najbardziej zdumiewających sekwencji reporterskiego zapisu, dotyczącego fenomenu psychokinetycznego Joasi Gajewskiej, są wydarzenia, do jakich doszło na przełomie stycznia i lutego 1985 roku w Akademickim Centrum Rehabilitacji im. dr. S. Jasińskiego w Zakopanem. Ich wiarygodność wydaje się niemożliwa do podważenia zarówno ze względu na relacje wyjątkowo licznych w tym przypadku świadków, jak i szczególnie rodzaj śladów materialnych, które po sobie pozostawiły.

Joasia Gajewska przebywała w ACR na zaproszenie dr. Gaduli, który z początkiem 1985 roku zmienił pracę i objął funkcję dyrektora, a zarazem naczelnego lekarza sanatorium studenckiego na Ciągłowiec. Sprawując nadal opiekę medyczną nad dziewczynką, (która, podobnie jak rodzice, darzyła go największym zaufaniem i mimo dzielącej ich odległości nie chciała słyszeć o zmianie lekarza), zaproponował, by Joasia spędziła ferie w kierowanej przez niego placówce.

Na krótko przed wyjazdem Joasi Gajewskiej do Zakopanego w katowickim „Wieczorze” z 23 stycznia 1985 roku ukazała się publikacja zatytułowana „Jedenastoletnia Agnieszka łamie wzrokiem sztucę”. Wynikało z niej, że w Sosnowcu mieszka inna, młodsza o cztery lata od Joasi Gajewskiej dziewczynka, Agnieszka Górka (w tekście nazwiska nie podano), która posiada równie zdumiewające umiejętności. M. in. w obecności reporterów gazety zgięła ona — poprzez pocieranie — dwie łyżeczki z nierdzewnej stali. Rodzice Agnieszki utrzymywali, że ich córka potrafi ponadto a) łamać wzrokiem widelce, b) zginać łebki gwoździ, c) zatrzymywać siłą woli kołyszący się na nitce srebrny kolczyk, d) przyciągać do siebie oczami lub odpychać pływające po powierzchni wody zabawki. Właściwości te miały ujawnić się po obejrzeniu przez Agnieszkę telewizyjnego programu rozrywkowego pod nazwą „Jarmark”, w którym uczestniczyła m.in. Joasia Gajewska.

Kiedy Joannę zaproszono do wzięcia udziału w „Jarmarku”, podobnie jak dr Gadula, zdecydowanie odradzaliśmy jej rodzicom przyjęcie tej oferty. Po pierwsze, nie budziła zaufania już sama — nomen-omen jarmarczna formuła programu, polegająca na epatowaniu widzów niezbyt wyszukаныmi sensacjami z kraju i ze świata. Po drugie zaś obcując od dłuższego czasu z Joasią i obserwując jej dotychczasowe, na ogół nieudane spotkania z kamerą, mogliśmy przypuszczać, że z całej tej sprawy nic dobrego nie wyniknie. Ponieważ jednak dziewczynka miała wielką ochotę pojechać do Warszawy (nigdy nie widziała, jak wygląda studio telewizyjne), rodzice ostatecznie wyrazili na to zgodę.

Niestety, nasze obawy w pełni się potwierdziły. Joasia, której zadanie polegało m. in. na wygięciu łyżeczki w przerwie między występami szalejących parodystów, ludzi-gum (szczególny rodzaj gimnastyki) oraz zespołów rockowych, była od początku zdekoncentrowana i oszołomiona panującym wokół niej nieustannym ruchem, który, zdaje się, w zamyśle twórców programu stanowił cel sam w sobie. W rezultacie cała sprawa zakończyła się fiaskiem, którego gorzkiej wymowy nie zdołała osłodzić wspólna kolacja, jaką wkrótce po nagraniu zjedliśmy u nas w domu. Oliwy do ognia dołał apel jednego z liderów „Jarmarku”. Zachęcił on mianowicie telewidzów, by popróbowali na własną rękę zginać łyżeczki i powiadomili telewizję o wyniku eksperymentów. Na listy z bulwersującymi doniesieniami oczywiście nie trzeba było długo czekać. Można przy tym bez większego ryzyka założyć, że większość z nich stanowiła rezultat li tylko urojeń nadawców, ich dobrego samopoczucia lub — jeszcze częściej — chęci zabyśnięcia za wszelką cenę przed szeroką publicznością.

Wygłoszonych tu sarkastycznych uwag nie kierujemy pod adresem jedenastoletniej Agnieszki z Katowic, gdyż bohaterki mini-reportażu w „Wieczorze” nigdy nie widzieliśmy na oczy i nie mamy żadnych danych ku temu, by wypowiadać się na temat jej rzeczywistych lub tylko wyobrażonych umiejętności. Jest natomiast faktem, że po ukazaniu się rzeczony publikacji zdenerwowanie Joasi spowodowane niepowodzeniem, jakim zakończył się jej telewizyjny występ, niepomiarowo wzrosło. Wyczuliśmy je w rozmowie telefonicznej, poprzedzającej wyjazd piętnastolatki (tak, tak, to nie pomyłka; czas nieubłagany biegnie) do Zakopanego. Joasia była poirytowana; pytała nas, co sądzimy o historii opisaną w gazecie.

Następnie zaś powiedziała coś, czego dokładnie nie zanotowaliśmy, a szkoda, gdyż w świetle późniejszych faktów nabrało to nieoczekiwanego znaczenia. Wypowiedź ta brzmiała mniej więcej tak: „No, dobrze, w takim razie ja też pokażę, co potrafię”.

Joasia — nie ulegało wątpliwości — była zazdrosna o „rywalkę”, a zwłaszcza o reklamę, którą jej zrobiono, a jej zdenerwowanie dało o sobie znać w dwójnasób, albowiem po niefortunnym występie w studio na Woronicza pojawiły się głosy, że, nawet jeśli dziewczynka miała przedtem jakieś „niezwykłe właściwości”, obecnie widocznie one zanikły. Swoistą pointę do „czarnej serii” dopisał jeden z członków rady naukowej przy ministrze zdrowia, który omawiając w wywiadzie radiowym działalność (raczej należałoby powiedzieć jej brak, bo taka była smutna rzeczywistość) resortowej komisji ds. niekonwencjonalnych metod leczenia, zapowiedział, że zainteresuje się ona również „tą dziewczynką ze Śląska, której wydaje się, że coś koło niej lata” (cytat dosłowny). I jakkolwiek związek między badaniem efektywności niekonwencjonalnych metod leczenia a zjawiskami psychokinetycznymi, zachodzącymi w obecności sosnowieckiej nastolatki, wydawał się nader luźny (być może stanowiło to swoisty, choć, chciałoby się rzec, wielce osobliwy aneks do raportu złożonego przez dr. Gadulę w ministerstwie przed kilkunastoma miesiącami), słowa poszły w eter, zagęszczając dodatkowo i tak już napiętą atmosferę.

Joasia przyjechała do Akademickiego Centrum Rehabilitacji w Zakopanem 26 stycznia 1985 roku. Dr Gadula oddał do jej dyspozycji pokój nr 309 na trzecim piętrze. Drzwi do niego (podwójne) wychodziły na korytarz, zaś naprzeciw nich — to szczególnie bardzo ważny — znajdowała się ogólnodostępna łazienka z prysznicem.

Pokój nr 309, podobnie jak inne, był wyposażony w podstawowy sprzęt, na który oprócz mebli składała się m. in. umywalka wraz z zawieszoną nad nią półką i lustrem oraz stojąca na stoliku nocna lampka. Inne drobne przedmioty — zgodnie z poleceniem dr. Gaduli — z pomieszczenia usunięto.

30 stycznia 1985 roku przed południem pensjonariuszy sanatorium oraz jego personel zaalarmował odgłos detonacji na trzecim piętrze. Jej źródłem był pokój zajmowany przez Joasię. Efekt dźwiękowy — zdaniem obserwatorów — trwał nie dłużej niż kilka sekund. Przybyłym w chwilę potem na miejsce zdarzenia lekarzom, pielęgniarce oraz studentom ukazał się następujący widok:

Pomieszczenie wyglądało tak, jakby przeszedł przez nie huragan. Na podłodze leżała doszczętnie potłuczona umywalka, która osadzona była wcześniej na dwóch metalowych podporach. Jedna z nich również została wyrwana ze ściany, druga zaś poważnie nadwerżona. Zniszczeniu uległ przewód kanalizacyjny, łączący tzw. kolanko z rurą odprowadzającą ścieki. Złamany i dziwnie przewężony kran sprawiał wrażenie, jakby znęcano się nad nim za pomocą ciężkiego, kilkukilogramowego młotka.

Komuś, kto podejrzewałby, że dziewczynka, będąc sama w pokoju celowo go zdemolowała (a z pewnością tacy się znajdują), należy zadać tylko jedno pytanie: jakiej trzeba siły i jakich narzędzi, by doprowadzić do opisanych zniszczeń w kilka czy też kilkanaście sekund. Interesujące w tym kontekście byłoby zwłaszcza podpowiedzenie sposobu wyrwania ze ściany podtrzymującej umywalkę podpory. Niewykluczone, że uporałby się z nią któryś z kulturystów, prezentujących swoje mięśnie w telewizyjnym „Jarmarku” (choć też nie w tak krótkim czasie), na pewno natomiast nie była tego w stanie uczynić piętnastoletnia uczennica.

Zapamiętajmy tę datę: 30 stycznia 1985 roku. Oznacza ona największą i zarazem najbardziej gwałtowną manifestację kinetyczną podczas pobytu Joasi w ACR. Największą, ale nie pierwszą. Dwa dni wcześniej, 28 stycznia 1985 roku, wydarzyło się bowiem coś, co graniczy ze science fiction. Jeśli jednak uznać relacje świadków w tej mierze za wiarygodne (brak zaś podstaw, by wiarygodności takiej im odmówić), oznacza to definitywne podważenie uznanych praw fizyki.

Dotąd — przyznajemy — o tego typu faktach nie pisaliśmy, mimo że przekazy o nich mieliśmy zarejestrowane na taśmie magnetofonowej. Uważaliśmy je wszelako za niemożliwe do przyjęcia. Incydent w Akademickim Centrum Rehabilitacji w Zakopanem spowodował, że nie można dłużej pomijać całej sprawy milczeniem. Chodzi o przenikanie przedmiotów przez materialne przeszkody.

Rodzice Joasi Gajewskiej w rozmowach z nami oraz członkami zespołu badawczego opowiadali o tego rodzaju faktach niejednokrotnie. Podobnie jak naukowcy, nie dawaliśmy wspomnianym relacjom wiary, przypisując poczynione obserwacje błędom w postrzeganiu lub upatrując ich źródeł w stanie silnego pobudzenia emocjonalnego świadków. Wydarzenia w ACR przekonaniem tym poważnie zachwiało.

Naocznymi świadkami tego, co się stało 28 stycznia, były: przełożona pielęgniarek Krystyna Kolak oraz salowa Maria Wojtaś-Opiela. Obie są długoletnimi pracownicami sanatorium i nigdy przedtem nie interesowały się zjawiskami psychotronicznymi.

Przebieg incydentu wyglądał następująco: około godziny dziesiątej Krystyna Kolak udała się do pokoju 309, chcąc uzgodnić z Joasią Gajewską, czy dziewczynka wybierze się na narty. Będąc już pod drzwiami, zobaczyła w łazience naprzeciw Marię Wojtaś-Opielę i wydała salowej polecenie umycia wiszącego w

pomieszczeniu lustra.

Rozmawiające kobiety stały w korytarzu na wysokości zamkniętych w tym momencie podwójnych drzwi do pokoju 309. Natomiast drzwi łazienki, znajdujące się vis-à-vis, były otwarte.

Właśnie wtedy w pokoju Joasi Gajewskiej nastąpił huk, na który w chwilę potem nałożył się brzęk tłuczonego szkła. Przełożona natychmiast weszła do środka, chcąc zobaczyć, co się stało. W tym momencie dostrzegła wirujące w powietrzu odłamki szkła, które — jakby przyciągnięte niewidzialnym magnesem — nagle ułożyły się w smugę i poleciały w jej kierunku, obsypując od góry do dołu fartuch. Joasia siedziała na łóżku i, jak twierdzi pielęgniarka, zawołała do niej, że „lepiej teraz nie wchodzić”. Ostrzeżenie jednak przyszło za późno i wirujące szkło zdążyło „zaatakować” kobietę.

Ale nie to jest w całej tej historii najistotniejsze. Po wejściu do pokoju Krystyna Kolak skonstatowała, że podłoga została zasypana odłamkami lustrzanego szkła. Odruchowo spojrzała więc w stronę umywalki oraz półki, nad którą wisiało lustro. Okazało się, że jest ono na swoim miejscu. Natomiast niemal w tej samej chwili znajdująca się w łazience naprzeciw salowa Maria Wojtaś-Opiela stwierdziła, że lustro, które było tam jeszcze przed kilkoma sekundami i o którego umyciu rozmawiała z siostrą przełożoną, **znikło bez śladu**. Na podłodze nie było przy tym ani jednego odłamka szkła. Przedmiot po prostu „wyparował”, odnajdując się — w ułamkach sekund — doszczętnie potłuczony w pokoju 309, od którego drzwi pozostawały wówczas zamknięte. Aby przy tym rozwiać wszelkie wątpliwości, dodajmy, że lustra w pokojach pacjentów wmontowane były za pomocą listew w konsolyty nad umywalkami, natomiast lustra w łazienkach zainstalowano na grubych płytach paździerzowych, przymocowanych do ściany hakami. Wśród odłamków szkła, które zasypały podłogę w pokoju 309, leżała między innymi gruba płyta paździerzowa...

Wszystko to nie znajduje żadnego logicznego wytłumaczenia i przywodzi na myśl czystą fantazję, zaś klasycznego racjonalistę skłoni zapewne do sięgnięcia po zużyte już określenia w rodzaju: ciemnota, zabobon, guślarstwo. W porządku. Pragniemy jednak zauważyć, że w tym przypadku mamy do czynienia z konkretną obserwacją, którą można zdezawuować jedynie poprzez zarzucenie świadkom kłamstwa. Przyjmijmy przez chwilę, że dziewczynka niektóre fakty zmyśla. Jaki jednak interes w odgrywaniu mistyfikacji miałyby dwie dorosłe i życiowo doświadczone kobiety?

Rejestrujemy w tej książce tylko fakty, przy czym za fakt w naszym rozumieniu należy uznać zarówno obserwację bezpośrednią (tj. poczynioną przez autorów osobiście), zapisany w dokumentach wynik eksperymentu naukowego, jak i relację świadków. Oczywiście każdy z tych elementów charakteryzuje się różnym stopniem wiarygodności. Najmniejsza jest ona niewątpliwie w ostatnim przypadku, co wcale jeszcze nie znaczy: mała. Skalę wartościowania przekazu wyznacza bowiem zawsze konkretny człowiek: jego cechy osobowości, zdolność prawidłowego postrzegania i zapamiętywania zjawisk, wreszcie opinia, jaką cieszy się w miejscu pracy oraz środowisku, w którym żyje. Dopiero po dokonaniu takiej analizy można formułować określone wnioski. W opisanym przypadku przemawiają one zdecydowanie na rzecz prawdziwości relacji.

W rozdziale zatytułowanym „W kręgu hipotez” przekazujemy m. in. opinie zawierające próbę wyjaśnienia — w aspekcie fizycznym — zjawiska przemieszczania się przedmiotów przez przeszkody. Niektórzy fizycy teoretycznie uważają to za możliwe, mówiąc o efekcie tunelowo-kwantowym lub tzw. ślizganiu się atomów. Nie będąc fachowcami nie jesteśmy w stanie ocenić trafności rozumowania leżącego u podstaw cytowanych hipotez. Nie możemy jednak oprzeć się pokusie przytoczenia w tym miejscu wypowiedzi jednego z naukowców, specjalisty w zakresie elektroniki. Niestety, podobnie jak spora część naszych rozmówców ze środowiska naukowego, zastrzegł on sobie anonimowość, którą jesteśmy zobowiązani respektować.

Człowiek ów — świątły, o szerokich horyzontach myślowych — uważa, że liczba niezależnych relacji na temat efektów psychokinetycznych związanych z osobą sosnowieckiej nastolatki jest obecnie tak duża, iż, chcąc nie chcąc, **musimy przyjąć, że opisywane zjawiska stanowią realny fakt**. Dotyczy to również przemieszczeń przedmiotów przez przeszkody. Wyjaśnienie tego zjawiska — jak sądzi dr K. — jest być może mniej odległe od fantastyki, niż nam się to na pozór wydaje.

Materia — wypowiedź dr. K. przekazujemy w pewnym skrócie — składa się głównie z próżni. Oczywiście my tego nie dostrzegamy gołym okiem, jednak taka właśnie jest jej istota. Można tu się posłużyć następującym przykładem: gdyby w bryle o objętości metra sześciennego, zbudowanej z żelaza, które stanowi materiał bardzo lity, zlikwidować odległości między cząstkami (czyli, ujmując rzecz obrazowo, zniwelować próżnię, która się w niej znajduje), bryła ta zmniejszyłaby się do kilku milimetrów sześciennych. Pozwala to należycie wyobrazić sobie, czym są w rzeczywistości relacje między litą materią a próżnią w każdej substancji.

— Przenikanie przedmiotów przez przeszkody — powiedział dr K., zastrzegając, iż jest to jedynie spekulacja, nie potwierdzona doświadczeniem — może stanowić rezultat wzajemnego przemieszczania się jednych atomów względem innych w otaczającej je próżni. Z podobnym do pewnego stopnia zjawiskiem

zetknęli się fizycy np. w przypadku tzw. nadciekłości. Chodzi tu o pewną szczególną cechę, którą wykazują niektóre substancje w temperaturach bliskich zera bezwzględnego. Nadciekłość polega na przepływie cieczy praktycznie bez tarcia przez wąskie kapilary (cienkie rurki — przyp. A.O. i M.R.), szczeliny itp. Oznacza to, że taka ciecz, wprawiona w kapilarze w ruch, będzie pozostawała w tym ruchu przez dłuższy czas. Zanik tarcia w niskiej temperaturze trzeba uznać za zjawisko wybitnie zaskakujące. Można je przyrównać obrazowo do przesuwania się atomów po swoistych „łożyskach kulkowych”.

Oczywiście — dodał nasz rozmówca — zjawisko to znajduje swoje wyjaśnienie w bardzo skomplikowanych teoriach kwantowych. Zgodnie z niektórymi z nich w przypadku nadciekłości powstają po prostu specyficzne, subtelne wiązania między atomami, które powodują ich szczególnie uporządkowany ruch i przemieszczanie się warstw cieczy w stosunku do siebie bez tarcia. Dlatego więc mamy *a priori* zakładać, że nie jest to możliwe w innych sytuacjach, jak np. przenikania określonych przedmiotów przez przeszkody? Być może w takich przypadkach również — z niewyjaśnionych przyczyn — dochodzi do tego, że atomy jednego ciała „wybierają” sobie drogę w bezkolizyjny sposób między atomami drugiego.

Dr K. w rozmowie z nami odwołał się do jeszcze jednego plastycznego porównania. Zwrócił mianowicie uwagę, że jeśli obserwujemy z dalszej odległości las, widzimy go w postaci litej, zwartej całości. Przejście przez nią człowieka wydaje się nieprawdopodobieństwem. Wystarczy jednak zbliżyć się do linii lasu, by przekonać się, że między drzewami są odstępki umożliwiające swobodny ruch, zaś wybór drogi pozwala ominąć przeszkody. Podobnie rzecz może wyglądać z materią, która ciągle kryje w sobie — z naukowego punktu widzenia — wiele nie wyjaśnionych zagadek.

Wróćmy raz jeszcze do tego, co wydarzyło się 28 stycznia 1985 roku. Podczas zbierania materiału w zakopiańskim ACR zarejestrowaliśmy na taśmie magnetofonowej rozmowę z przełożoną pielęgniarek, Krystyną Kolak. Pragnęliśmy uzyskać od niej jak najwięcej informacji dotyczących wspomnianego incydentu, jak również innych wydarzeń związanych z pobytem Joasi Gajewskiej w sanatorium. Oto fragmenty tego zapisu.

— Czy zetknęła się pani wcześniej ze zjawiskami określanymi mianem paranormalnych?

— Nie, nigdy.

— W jaki sposób dowiedziała się pani o szczególnych właściwościach Joasi Gajewskiej i zjawiskach zachodzących w jej otoczeniu?

— To było w styczniu 1985 roku. Nastąpiła wówczas zmiana na stanowisku dyrektora sanatorium. Funkcję tę objął dr Eustachiusz Gadula. Kiedyś w rozmowie ze mną wspomniał, że opiekuje się dziewczynką, w której obecności samoczynnie przemieszczają się przedmioty. Oczywiście nie uwierzyłam w to, uznając relację doktora za czystą fantazję. Kiedy jednak doktor Gadula zapowiedział, że w uzgodnieniu z profesorem Magdaleną Hanicką z Krakowa dziewczynka przybędzie do nas w końcu stycznia na obserwację, postanowiłam zwrócić na nią szczególną uwagę i otoczyć osobistą opieką. Chciałam po prostu przekonać się, jaka jest prawda.

— Czy przypomina pani sobie pierwszy dzień pobytu Joasi Gajewskiej w sanatorium?

— Tak. Nie wydarzyło się wówczas nic szczególnego. Jeszcze przed przyjazdem dziewczynki obejrzelśmy z doktorem Gadulą przydzielony jej pokój na trzecim piętrze. Chodziło o to, by zgodnie z sugestią dyrektora, usunąć z niego wszelkie przedmioty, które mogłyby ewentualnie ulec zniszczeniu podczas zjawisk kinetycznych. Mając to na uwadze, wynieśliśmy stamtąd wszystkie naczynia, które nasi podopieczni otrzymują na czas pobytu w sanatorium, a lampkę nocną schowałam w szafie, zamykając zamek na klucz. Zestawiłam również na podłogę radioodbiornik oraz paprotkę w doniczce, choć doktor Gadula twierdził, że jest to niepotrzebne, gdyż dotąd nigdy nie zdarzyło się, żeby podczas wystąpienia efektów kinetycznych przemieszczały się również tego typu przedmioty. Wolałam je jednak na wszelki wypadek zabezpieczyć. Rozważałam także, czy nie zdjąć oprawionego w szkło oraz ramkę spisu inwentarza, ale ponieważ wiązało się to z odkręceniem śrub, którymi był przytwierdzony do ściany, zrezygnowałam z tego zamysłu.

— Co było dalej?

— Jak już zaznaczyłam, pierwszego dnia nie wydarzyło się nic istotnego. Natomiast nazajutrz, to jest 27 stycznia, zatelefonował do mnie wieczorem doktor Gadula. Było wówczas około dwudziestej drugiej. Powiedział, że jeśli przyjdę na oddział, będę miała okazję usłyszeć, jak Joasia „strzela”. Sugerował, że zjawisko to często poprzedza efekty kinetyczne. Chętnie się na jego propozycję zgodziłam, zwłaszcza że mieszkam tuż obok sanatorium, w bloku przeznaczonym dla personelu.

— Czy tamtego wieczoru stało się coś szczególnego?

— Tak. Dziewczynka — jak przekonałam się — rzeczywiście „strzelała”. To były takie suche trzaski, bardzo wyraźnie słyszalne. Siedzieliśmy wtedy w gabinecie dyrektora Gaduli, a potem przeniesiłam się do

pokoju 309, gdzie dołączyła do nas jeszcze jedna pielęgniarka. W pewnym momencie zauważyliśmy leżącą na ziemi oprawkę od żarówki, a w chwilę później jakieś drobiny szkła. Zaczęliśmy się zastanawiać, skąd się to wzięło. Żarówka pod sufitem normalnie się paliła, a lampkę nocną, jak już mówiłam, zamknęłam wcześniej w szafie. Kiedy otworzyłam następnie tę szafę za pomocą klucza, który miałam w kieszeni, stwierdziliśmy, że w lampce brakuje żarówki razem z oprawką.

— Czy jest pani pewna, że żarówka przedtem tam była?

— Oczywiście, sama to sprawdzałam.

— Czy incydentowi temu towarzyszył jakiś efekt dźwiękowy?

— Niczego takiego sobie nie przypominam.

— Co jeszcze wydarzyło się w nocy z 27 na 28 stycznia?

— Może się to wydać śmieszne, ale do pokoju 309 przemieścił się wówczas między innymi metalowy pręt z szafki na korytarzu. Znaleźliśmy go tam rano. Spadł również ze ściany spis inwentarza. Wcześniej chciałam go zdjąć, ale ostatecznie nie zdecydowałam się na to. Stwierdziliśmy, że stanowiące jego osłonę szkło potłukło się, a ramka, w którą oprawiono formularz, była rozerwana na kilka części.

— Czy szafa na korytarzu, z której miał przemieścić się pręt, była zamknięta na klucz?

— Tak.

— Jest pani tego pewna?

— Najzupełniej.

— Przejdźmy do incydentu z lustrem w dniu 28 stycznia. Czy próbowała go pani sobie wytłumaczyć w inny sposób niż w kategoriach zjawiska paranormalnego?

— Nie ma innego wytłumaczenia. Jest faktem, że na moment przed detonacją w pokoju 309 lustro w umywalni było. Oglądałyśmy je razem z salową Marią Wojtaś-Opielą. Zresztą, w przeciwnym razie mówienie o jego umyciu nie miałyby sensu.

— Czy jest pani pewna, że w chwili, gdy nastąpił huk, drzwi od pokoju 309 były zamknięte?

— Stałyśmy obie u ich progu i stwierdzam z pełną odpowiedzialnością, że były zamknięte.

— Czy w krytycznym momencie widziała pani coś, co można by przyrównać w przybliżeniu do przelotu przedmiotu czy też zafalowania powietrza?

— Niczego takiego nie dostrzegłam. Wszystko zresztą rozegrało się w ułamkach sekund. Przypominam sobie tylko, że jeden z pacjentów, który w czasie eksplozji również przebywał na korytarzu, pokazywał nam później dziwny ślad na ręku. Wyglądało to tak, jakby skóra została przecięta czymś ostrym. Twierdził, że tego śladu przedtem nie było.

— Czy znane są pani inne przypadki przemieszczeń przedmiotów podczas pobytu Joasi Gajewskiej w ACR?

— Było ich wiele i nie wszystkie zanotowaliśmy. Między innymi do pokoju 309 przemieściło się lustro z IV piętra, klucz z zamkniętej szafki w dyżurce, szyba z okna na klatce schodowej, dwie lampki, stanowiące wyposażenie pokoi 307 i 312 (w pierwszym przypadku sam klosz), a także sztucce, kubki i szklanki. Większość tych przedmiotów uległa potłuczeniu.

— Powiedziała pani, że kiedy weszła do pokoju 309, zobaczyła wirujące w powietrzu szkło. Czy mogłaby pani dokładniej opisać to zjawisko?

— Szkło wirowało bardzo szybko pośrodku pokoju; chyba na wysokości pół metra. Jego odłamki poleciały w moją stronę natychmiast po otwarciu drzwi. Niektóre z nich jakby przylepiły się do fartucha. Strząsnęłam je rękawem.

— Mówiła pani o otoczeniu Joasi szczególnie pieczołowitą opieką. Na czym ta opieka polegała?

— Przede wszystkim staraliśmy się z dziewczynką spędzać maksymalnie dużo czasu. Chodziło nam o to, aby możliwie rzadko przebywała sama. Przy takiej liczbie pacjentów nie było to jednak w pełni możliwe.

— Jak ocenia pani Joasię na podstawie osobistych obserwacji i kontaktów w okresie dwóch tygodni?

— Uważam ją za dobrą i sympatyczną dziewczynę. Martwiła się, że mamy z nią tak dużo kłopotów. Dotyczyło to zwłaszcza ciągłego sprzątanego pokoju ze szkła i kawałków innych przedmiotów. Było jej z tego powodu przykro. Zauważyłam również, że po każdej takiej eksplozji Joasia przez kilka następnych godzin źle się czuła. Mało jadła, była jakby osłabiona, senna, apatyczna.

— Czy był jakiś incydent, który — oprócz wydarzenia z przemieszczaniem się lustra — szczególnie dobrze pani zapamiętała?

— Mniej więcej po upływie tygodnia od momentu przyjazdu Joasi Gajewskiej do ACR, zgłosiła się do mnie salowa Krystyna Stachera. Skarzyła się, że podczas sprzątanego pokoju 309 w obecności dziewczynki (było to po kolejnej detonacji) ugodził ją w głowę kubek z cukrem. Powiedziała, że więcej tam sprzątać nie będzie.

— Jest pani pielęgniarką z wieloletnią praktyką, osobą dojrzałą życiowo i intelektualnie. Co pani o tym

wszystkim sędzi?

— Mogę stwierdzić tylko tyle, że wszystko, o czym mówiłam, jest zgodne z prawdą, a zjawisk, których byliśmy świadkami, nie potrafię sobie wytłumaczyć. (Koniec zapisu).

Od siebie dodajmy, że relację Krystyny Kolak, dotyczącą przebiegu incydentu w dniu 28 stycznia 1985 roku, w pełni potwierdziła salowa Maria Wojtaś-Opiela. Ona również nie widziała momentu przemieszczania się lustra, słyszała natomiast odgłos detonacji, a w chwilę później skonstatowała, że lustro w łazience, które miała zamiar umyć, zniknęło i znalazło się stłuczone w pokoju 309.

W karcie pacjenta, którą założono Joasi w zakopiańskim sanatorium, w rubryce „Rozpoznanie — zalecenia lekarza” wpisano: „właściwości telekinetyczne”. Z innych adnotacji wynika, że ciepłota ciała pacjentki w momencie pomiaru temperatury (niestety nie podano jej dokładnej daty) utrzymywała się w normie (36,5 stopnia C). Tętno wynosiło 82 uderzenia na minutę, a ciśnienie 100/65. „Historię choroby” w karcie zastąpiła wystukana na maszynie notatka następującej treści: „... u pacjentki wystąpiły wielokrotnie objawy telekinetyczne. Obecni byli dyrektor Eustachiusz Gadula i przełożona Krystyna Kolak. Pacjentka w tym czasie skarżyła się na bóle głowy, temperatura pod pachami 39,9 i 39,8 stopnia C, w pachwinach 36,5 i 35 stopni C. Spadły i stłukły się: lustro z toaletki oraz łazienki, umywalka, trzy lampki nocne z pokoiów 307, 312 i 309, klosz od górnego światła, jarzeniówka, szyba z korytarza oraz przykrywki do pudełek gniazd przewodowych. Następnie wystąpiły właściwości telekinetyczne w obecności lekarza dyżurnego dr. Topora Mądrego i pielęgniarki Danuty Różewicz. Spadały i tłukły się kubki oraz talerze. Pacjentka miała skaleczoną rękę, krew była na kontakcie (dosłowny cytat z oryginału — przyp. A.O. i M.R.). Wyjechała w stanie zdrowia dobrym”.

Wróćmy na chwilę do pokoju 309. Wśród zniszczeń, które nastąpiły w dniu 30 stycznia 1985 roku, zwracała uwagę jedna z szyb (sanatoryjne okna składały się z dwóch szyb: zewnętrznej oraz wewnętrznej). Bliższe oględziny pozwoliły stwierdzić, że uszkodzeniu uległa szyba wewnętrzna, natomiast druga z nich ocalała. Nie byłoby to szczególnie dziwne, gdyby nie pewna okoliczność. Mianowicie pośrodku wewnętrznej szyby, mniej więcej na przecięciu jej przekątnych, znajdował się otwór (jeden ze świadków, opisując go, użył porównania: „jak gdyby po strzale z pistoletu”), którego średnica była mniejsza niż noża. Tymczasem nóż leżał pomiędzy framugami okiennymi!

Szyba — w momencie, gdy ją oglądano — nie miała żadnych widocznych śladów uszkodzeń, a zwłaszcza podłużnych pęknięć. Pojawiły się one dopiero następnego dnia w ułamku sekundy, gdy podeszła do niej — w obecności dziewczynki — przełożona pielęgniarek Krystyna Kolak. Pęknięcia rozeszły się wówczas promieniście od otworu na całej powierzchni szkła.

Nie był to koniec niewytłumaczalnych zjawisk, jakie znaczyły pobyt piętnastoletniej Joanny Gajewskiej w zakopiańskim ACR. Ich dalszy przebieg przekazujemy w ślad za relacją Waldemara Sułka, wówczas studenta III roku Wydziału Ekonomiki i Organizacji Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu. W sanatorium na Ciągłowiec przebywał od 10 stycznia do 5 lutego 1985 roku na podstawie skierowania otrzymanego z uczelnianej przychodni. Miał wtedy 24 lata.

— Co pan widział podczas pobytu w sanatorium?

— Kiedy 30 stycznia nastąpiły głośne wydarzenia, w wyniku których w pokoju 309 zniszczeniu uległa umywalka wraz z podtrzymującymi ją podporami, szyba oraz inne przedmioty, znalazłem się na miejscu w kilka minut potem. Cały pokój zasłany był odłamkami szkła. Niektóre z nich pokaleczyły dziewczynkę i pielęgniarka zabandażowała jej rękę. Wykonałem wówczas serię zdjęć.

— Mówi pan o skutkach, nam natomiast chodziłoby raczej o bezpośrednie obserwacje.

— Rozumiem. Chciałem po prostu powiedzieć, że widząc określone skutki mogłem wnioskować o przebiegu wydarzeń, które je poprzedziły. Ponieważ zjawiska te później kilkakrotnie jeszcze powtórzyły się, byliśmy już na nie w pewien sposób wyczuleni. I tak na przykład mogę stwierdzić, że ich występowaniu towarzyszył za każdym razem silny huk, hałas, który stanowił dla nas sygnał alarmowy, że coś się znowu dzieje. Między innymi jedna z naszych koleżanek, studentka psychologii, po wyrażeniu na to zgody przez doktora Gadulę, spędziła z Joasią noc w jej pokoju. Wprawdzie nie doszło wówczas do przemieszczeń przedmiotów, ale, jak mówiła, wystąpiły silne efekty akustyczne, których nie potrafiła zinterpretować.

— Powiedział pan, że zjawiska powtarzały się. Czy może pan je opisać?

— Kilkakrotnie różne przedmioty przemieszczały się przez materialne przeszkody. Były to kubki, talerze oraz mała lampka stołowa, która stała w innym pokoju na tym samym piętrze i nagle znalazła się w pokoju Joasi. Najciekawsza wydaje się historia ze słoikiem wypełnionym moczem dziewczynki, który przechowywano w laboratorium. Była do niego przyklepiona karteczka z nazwiskiem Joasi Gajewskiej. Słoik ten w niewytłumaczalny sposób zniknął z laboratorium, odnajdując się następnie — rozbity — w pokoju 309. Od personelu dowiedzieliśmy się, że było niemożliwe, aby Joasia od momentu, gdy pojemnik został zanieiony do laboratorium, mogła mieć do niego dostęp. Szczątki słoika z przyklepioną karteczką zabrałem

ze sobą na pamiątkę.

— Co sprawiło, że postanowił pan dokumentować wspomniane fakty w postaci notatek oraz zdjęć fotograficznych?

— Po tym, co wydarzyło się 30 stycznia, sprawa w sanatorium stała się bardzo głośna i była szeroko komentowana. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego, co trudno pojąć w kategoriach racjonalnych. A jednak był to niezaprzeczalny fakt.

— Czy pamięta pan, co wydarzyło się 4 lutego?

— Tak. Przebieg wypadków tamtego wieczoru, czy raczej należałoby powiedzieć nocy, przypominam sobie bardzo dokładnie, gdyż nasilenie efektów kinetycznych było wówczas chyba najbardziej intensywne podczas całego mojego pobytu w ACR. Mianowicie około dwudziestej trzeciej, schodząc z czwartego piętra, zobaczyłem grupę osób zgromadzonych pod pokojem Joasi Gajewskiej, do którego drzwi były otwarte. Wśród nich znajdowała się między innymi przełożona pielęgniarek. Joasia miała na sobie pidżamę. Z jej wyjaśnień wynikało, że wkrótce po tym, gdy położyła się spać, zaczęło „latać”. Efektem kilkusekundowego przelotu były walające się na podłodze odłamki ceramicznego naczynia, którego, jak ustaliliśmy, wcześniej w pomieszczeniu nie było.

Wychodząc z pokoju pozostawiliśmy w nim zapalone światło. Po upływie kilkunastu, a może kilkudziesięciu sekund, trudno mi to precyzyjnie określić, usłyszeliśmy dobiegającą stamtąd następną detonację. Natychmiast zawróciliśmy i wbiegliśmy do środka. Dziewczynka, tak jak poprzednio, siedziała na łóżku przykryta kołdrą. Po rozejrzeniu się wokół stwierdziliśmy rozprysnięcie się umieszczonej nad zlewem świetlówki. Chwilę rozmawialiśmy z Joasią, ale niczego nie potrafiła nam wyjaśnić.

Gdy, wychodząc, ponownie zamykaliśmy za sobą drzwi, nastąpił kolejny huk. Tym razem w grę wchodziły najwyżej sekundy, gdyż dosłownie staliśmy jeszcze w progu. Natychmiast wpadliśmy do pokoju. Joasia siedziała dokładnie w tym samym miejscu; nie zdążyła nawet zmienić pozycji. Szybko ustaliliśmy, że przyczyną hałasu, jaki usłyszeliśmy, było rozprysnięcie się zawieszanej pod sufitem żarówki razem z osłaniającym ją kloszem, wskutek czego pomieszczenie oświetlała w tym momencie jedynie lampa z korytarza.

Postanowiliśmy wkręcić nową żarówkę, jednak początkowo nikt nie miał na to odwagi. Po prostu baliśmy się nowych niespodzianek. Ostatecznie wzięłem to na siebie. Przy świetle latarki, przyniesionej przez pielęgniarkę, stwierdziłem, że poprzednia żarówka została zniszczona w takim stopniu, że nieznana siła wyrwała z oprawki nawet metalową, gwintowaną nakrętkę. Zupełnie nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Przecież wszyscy widzieliśmy na moment przed eksplozją, że żarówka paliła się, a więc była wkręcona prawidłowo, nie mówiąc już o tym, że osłaniał ją klosz. Nie mając pewności, co się stanie, jedną ręką przysłoniłem oczy, a drugą „na wycucie” wkręciłem nową żarówkę. Na szczęście nic się nie wydarzyło. Pamiętam, że w tym czasie wszedł do pokoju doktor Gadula. Wyglądał na zmartwionego przekazanymi mu informacjami. Poleciał przenieść dziewczynkę do pokoju na drugim piętrze obok gabinetu pielęgniarek. Dalsza część nocy upłynęła już spokojnie.

— Podczas swojego pobytu w sanatorium sporo rozmawiał pan z Joasią Gajewską. Co pan może o niej powiedzieć?

— Rzeczywiście często rozmawiałem z Joasią, która cieszyła się wśród nas, to znaczy studentów leczonych w ACR, dużą popularnością. Każdy chciał ją poznać i czegoś się dowiedzieć. Było to dla niej chyba trochę męczące, jednak na wszystkie pytania odpowiadała chętnie, sprawiając wrażenie dziewczyny pogodnej, pełnej humoru i jakby oswojonej ze swoją niecodzienną sytuacją. Często na przykład padało pod jej adresem pytanie: „Joasiu, co masz w planie na jutro, nie mogłabyś nas uprzedzić?” Na tego typu życzliwe zaczepki reagowała z reguły śmiechem, a taki sposób konwersacji, naszym zdaniem, rozładowywał napięcia oraz emocje, którym mimo woli wszyscy się poddaliśmy.

Oczywiście na początku Joasi trudno było zaaklimatyzować się w naszym środowisku, chociażby ze względu na różnicę wieku oraz doświadczeń życiowych, jednak bariera ta szybko została przełamana. Myślę, że dziewczynka czuła po prostu z naszej strony życzliwość i to ją jakoś podbudowywało psychicznie, bo nie muszę dodawać, że nie wszystkie osoby z personelu sanatorium były zachwycone jej „wyczynami”, a zwłaszcza spowodowanymi przez nie szkodami.

— Jest pan człowiekiem wykształconym; wkrótce zdobędzie pan dyplom inżyniera. Jak — z tego punktu widzenia — ocenia pan wydarzenia, w których miał pan możliwość uczestniczyć?

— Sam wielokrotnie się nad tym zastanawiałem. Były one dla mnie świadectwem istnienia zjawisk, których jeszcze nie potrafimy wyjaśnić, ale które są realne. Osobiście zetknąłem się z nimi po raz pierwszy i była to dla mnie fascynująca przygoda. Przede wszystkim nikt odtąd nie jest w stanie mnie przekonać, że stanowią one wyłącznie wytwór czyjejś fantazji. Uważam, że fenomen, z jakim się zetknąłem, powinien być przez naukowców poddany gruntownym badaniom, które umożliwiłyby sformułowanie na jego temat

poważnych, rzeczowych hipotez. Na podstawie tego, co wspólnie z kolegami mieliśmy okazję zaobserwować podczas pobytu w ACR, możemy stwierdzić z pełną odpowiedzialnością, że efekty kinetyczne zachodzące w obecności Joasi są faktem niepodważalnym. Okoliczności, w jakich do nich doszło, wykluczają po prostu możliwość mistyfikacji. A skoro tak jest, nauka musi zająć się tym problemem. (Koniec zapisu).

Ze swej strony — w formie aneksu do przytoczonych relacji — pragniemy przekazać jeszcze jedną informację. W korytarzach sanatoryjnych mniej więcej na wysokości 2,5 metra rozmieszczone są tzw. puszki z przewodami elektrycznymi. Podczas jednej z manifestacji kinetycznych w pokoju 309 dekle od puszek na III piętrze zostały powyrywane. Aby dokonać własnoręcznie takiej dewastacji, ten, komu przysłaby na to ochota, musiałby posłużyć się drabiną. Chyba, że przyjmiemy, iż sprawcą niezwykłego zamieszania w spokojnej i statecznej placówce leczniczej, jaką jest Akademickie Centrum Rehabilitacji w Zakopanem, był poczciwy, tatrzański halniak...

B. S. Halden: *„Prawda jest nie tylko dziwniejsza, niż sobie wyobrażacie. Ona jest dziwniejsza, niż możecie to sobie wyobrazić”*.

Bez niedomówień

W trakcie doświadczenia ze zginaniem łyżeczki przestał pracować monitor amerykańskiego elektrokardiografu, do którego Joanna Gajewska została podłączona za pomocą miernika oddechu. W tym samym momencie na innym monitorze, sprzężonym z czułym detektorem do wykrywania słabych pól fizycznych, pojawiły się dziwne drgania.

Wraz z upływem czasu wiemy o zjawisku coraz więcej, przynajmniej w jego zewnętrznym, uchwytnym wymiarze. Jednocześnie rodzą się nowe wątpliwości i pytania, na które brakuje odpowiedzi.

Niektóre z dylematów przypuszczalnie udałoby się wyjaśnić, ale nie pozwalają na to zasady deontologii badawczej. Człowiek, poddawany eksperymentom i doświadczeniom, nie może być traktowany jak martwy przedmiot. Ma prawo powiedzieć: tak lub nie, aktywnie uczestniczyć w podejmowaniu decyzji istotnych z punktu widzenia jego zdrowia, samopoczucia oraz psychiki. Co więcej; w niektórych przypadkach to właśnie jego głos musi okazać się decydujący.

W lipcu 1983 roku podczas doświadczeń prowadzonych z Joasią Gajewską w Reptach Śląskich udało się sprowokować efekty kinetyczne poprzez uprzednie długotrwałe naświetlanie pomieszczenia promieniami ultrafioletowymi. A więc kuszący imperatyw: spróbować jeszcze raz, wiele razy. Ale Joasia pod wpływem działania lampy kwarcowej czuła się bardzo źle. Miała zawroty głowy, mdłości; zdarzało się, że słabła. Podobnie więc jak jej rodzice, nie zgadzała się na udział w tego typu eksperymentach. Czy można mieć o to do niej pretensję?

Badania zespołu pod kierownictwem dr. E. Gaduli, jak się wydaje, w sposób trafny skojarzyły fizyczny, medyczny oraz psychologiczny aspekt fenomenu. Z ich konkluzji, choć nie została wypowiedziana do końca, można by wnosić, iż lekarze skłonni są upatrywać przyczyn zjawiska w bardzo silnych i nietypowych przemianach hormonalnych zachodzących w organizmie dziewczynki. Nie wykluczone — sugerował jeden z naukowców — że swoistym rozrusznikiem jest w tym przypadku okres pokwitania i że mamy tu do czynienia ze szczególnym oddziaływaniem na układ dokrewny. Słuszność takiej hipotezy pozwoliłyby zapewne potwierdzić specjalistyczne badania, określające poziom hormonów w organizmie. Ale to łączyłoby się z wielokrotnym pobieraniem krwi, na co rodzice Joasi nie chcieli wyrazić zgody, ponieważ dziewczynka źle znosi tego rodzaju próby.

W swoim czasie zarysowało się podejrzenie, że efekty kinetyczne mają jakiś związek z określonymi warunkami atmosferycznymi. Stosunkowo często występowały np. przy pochmurnej pogodzie, w szczególności na krótko przed burzą i wyładowaniami atmosferycznymi. Później jednak hipoteza ta upadła, gdyż wspomniane zjawiska manifestowały się — i manifestują nadal — bez względu na pogodę, temperaturę oraz ciśnienie. Czy ma natomiast na nie wpływ zwiększona jonizacja powietrza? Wypadki, do których doszło w Zakopanem, zdawałyby się wskazywać, że nie jest to czynnik bez znaczenia.

Joasia nie pamięta swoich snów, a w każdym razie niewiele mówi na ich temat. Od czasu do czasu skarży się na bóle nerek, ale badania morfologiczne nie wykazują niczego niepokojącego. Czy jest to zatem tylko subiektywne odczucie czy coś więcej? Czy martwica aseptyczna palca prawej nogi, która pojawiła się u dziewczynki przed kilku laty, wiąże się w jakiś sposób z dziwnymi plamami termicznymi, jakie stwierdzono w okolicach stóp?

Z Joasią przeprowadzono m. in. doświadczenie, polegające na przykładaniu do jej stóp błony polaroidu. Efekt emanacji przybrał na błonie postać dziwnych, różowych kłębków, szczególnie zagęszczonych pod nasadą palców oraz piętą. Przypadek to, czy kolejny sygnał świadczący o emitowaniu przez organizm jakiejś szczególnej energii; być może tej samej, która tuż po przeprowadzonej 16 listopada 1983 roku operacji wyrostka robaczkowego oraz zdjęciu szwów doprowadziła do ponownego i budzącego wówczas niepokój lekarzy rozejścia się skóry i częściowo tkanki podskórnej?

W pobliżu miejsca zamieszkania rodziny Gajewskich przebiega linia wysokiego napięcia. Z obserwacji wynika, że Joasia przechodząc pod nią czuje się źle, miewa zawroty głowy. Czy fakt ten nie podważa definitywnie twierdzenia niektórych ekspertów (vide doświadczenia biocenotyków), iż pole emitowane przez organizm nastolatki pozbawione jest cech pola elektrycznego lub elektromagnetycznego?

Pisaliśmy wielokrotnie, że przemieszczenia przedmiotów — skutek ich ogromnej szybkości — na ogół nie widać, zaś efekt kinetyczny dostrzegalny jest z reguły dopiero w chwili uderzenia obiektu o przeszkodę. Czym jednak wytłumaczyć fakt, iż np. w przypadku szklanki wypełnionej herbatą (incydenty obserwowane m. in. 12 maja 1983 roku, w marcu 1984 roku oraz 13 stycznia 1986 roku) płyn podczas lotu

nie wylewał się z naczynia?

Próbie interpretacji tego ostatniego zjawiska zawiera hipoteza sformułowana przez chemika i fizyka zarazem mgr. Gerarda Kubisa, z którym mieliśmy okazję rozmawiać. Twierdzi on, że dziewczynka działa na każdy atom z osobna, a jednocześnie na wszystkie cząsteczki materii naraz. Efekt takich oddziaływań musi więc być zupełnie odmienny niż w przypadku przyłożenia w jakimś punkcie siły mechanicznej. Mówiąc w największym skrócie, w opinii mgr. Gerarda Kubisa równomierne działanie na wszystkie atomy, z którym niewątpliwie mamy do czynienia, nie narusza struktury tworzącej całość (czyli określonego przedmiotu). Tym też właśnie można wytłumaczyć niewylewanie się płynu ze szklanki podczas jej przelotu. Zarazem daje to ogromne przyspieszenie, sięgające nawet 100 g. Gdyby było inaczej — a więc przy normalnym przyłożeniu siły w miejscu, gdzie do niego doszło — struktura przedmiotu załamałaby się.

Pytania i wątpliwości, wątpliwości i pytania. Jedyne, co w tej sytuacji pozostaje, to szukać. Czy jednak na znalezienie odpowiedzi wystarczy czasu? Skoro — jak twierdzą niektórzy — „sprawcą” efektów kinetycznych są prawdopodobnie gwałtowne przemiany hormonalne zachodzące w organizmie dziewczynki, trudno wykluczyć, że wraz z zakończeniem okresu dojrzewania niezwykle zjawiska znikną tak samo nagle, jak się pojawiły. A zatem...?

Pismo skierowane w październiku 1983 roku przez dr. E. Gadulę do Ministerstwa Zdrowia nie pozostało bez echa. Wprawdzie sformułowany w nim wniosek o objęcie fenomenu Joasi Gajewskiej resortowym programem badań pominięto milczeniem, jednak raport przekazano prof. Krystynie Bożkowej — dyrektorowi Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie wraz z zaleceniem wyrażenia o nim opinii. W efekcie tych decyzji powołany został interdyscyplinarny zespół naukowy, którego zadaniem było prowadzenie dalszych badań zjawiska. Na jego czele stanęła prof. dr hab. Magdalena Hanicka z Instytutu Matki i Dziecka — Oddział Terenowy w Krakowie, wybitny lekarz pediatra. W skład grupy weszli ponadto: prof. dr hab. Jerzy Haber z Instytutu Katalizy i Fizykochemii Powierzchni Polskiej Akademii Nauk — Oddział w Krakowie; prof. dr hab. Andrzej Hryniewicz z Instytutu Fizyki Jądrowej w Krakowie i zarazem Instytutu Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz mgr inż. Grzegorz Zapalski z krakowskiego Instytutu Badań Jądrowych.

10 lutego 1984 roku z udziałem wszystkich wymienionych osób w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego odbyła się pierwsza seria eksperymentów z udziałem Joasi Gajewskiej. Wieńczące ją wnioski zostały zawarte w raporcie podpisanym przez członków zespołu i skierowanym 18 lutego 1984 roku do dyrektora Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie, prof. Krystyny Bożkowej. Ze względu na wagę niektórych stwierdzeń, jakie tam padły, uważamy za celowe przytoczenie tego dokumentu w całości.

„W nawiązaniu do pisma Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej w sprawie oceny doniesień zawartych w liście dr. E. Gaduli, dotyczących zjawisk bioenergetycznych występujących u dziewczynki, Joasi Gajewskiej, komunikujemy, co następuje:

1) W dniu 10 lutego 1984 roku przeprowadzony został w Instytucie Fizyki UJ eksperyment, w którym badana dziewczynka doprowadziła kilkakrotnie przez pocieranie palcami prawej ręki do wygięcia łyżeczek z nierdzewnej stali. Natychmiast po wygięciu łyżeczki nie wykazywały podwyższonej temperatury. Niezależne próby **wykluczyły możliwość mistyfikacji** (podkr. A.O. i M.R.), polegającej na wygięciu przedmiotów pod wpływem nacisku.

W czasie całego eksperymentu prowadzono badanie fizykalne oraz monitorowanie częstości oddechu i tętna, jak również detekcję ewentualnych pól magnetycznych i pól mechanicznych. Zjawisku wyginania przedmiotu towarzyszyło znaczne przyspieszenie tętna do 140/min oraz przyspieszenie oddechów do 30—40/min. W ciągu całego trwania eksperymentu (3 godz.) obserwowano arytmie tętna i oddechu. Nie zaobserwowano wyraźnych zakłóceń pól magnetycznych.

2) Opisane wyniki eksperymentów wskazują, że **mamy do czynienia ze zjawiskiem oddziaływania organizmu żywego na otaczające go przedmioty, nie dającego się interpretować na gruncie znanych zjawisk fizycznych** (podkr. A.O. i M.R.). Wydaje się, że jest ono interesujące i powinno stać się przedmiotem specjalnych badań.

W związku z powyższym proponujemy uruchomienie interdyscyplinarnego tematu badań, w ramach którego przeprowadzone zostałyby doświadczenia, zmierzające w I etapie do fenomenologicznego opisu prawidłowości rządzących zjawiskiem, a w dalszych etapach — do wyjaśnienia jego mechanizmu. Temat ten mógłby być finansowany w ramach problemu węzłowego lub międzyresortowego, koordynowanego przez Instytut Matki i Dziecka.

Zaznaczamy, że warunkiem rozpoczęcia systematycznych badań musiałoby być uzyskanie pisemnego zobowiązania rodziny do współpracy z zespołem badawczym”.

Podpisali:

Prof. dr hab. Jerzy Haber — Instytut Katalizy i Fizykochemii Powierzchni PAN w Krakowie,

Prof. dr hab. med. Magdalena Hanicka — Instytut Matki i Dziecka—Oddział Terenowy w Krakowie,
Prof. dr hab. Andrzej Hryniewicz — Instytut Fizyki Jądrowej w Krakowie oraz Instytut Fizyki UJ,
Mgr inż. Grzegorz Zapalski — Instytut Fizyki Jądrowej w Krakowie”.

Wydaje się, że przytoczone pismo powinno przekonać nawet największych sceptyków o **realności** zjawiska przynajmniej w takim zakresie, w jakim mieli je możliwość obserwować uczestniczący w eksperymencie fizycy oraz lekarze (odkształcanie w sposób paranormalny metalu). Eksperyment, podczas którego — dodajmy — jak zwykle nie obyło się bez niespodzianek. Między innymi w trakcie doświadczenia ze zginaniem łyżeczek przestał pracować monitor amerykańskiego elektrokardiografu, do którego Joasia Gajewska została podłączona za pomocą miernika oddechu. Zauważmy, że nie był to pierwszy tego typu przypadek (przypomnijmy sobie jedno z pierwszych badań EKG w kwietniu 1983 roku). Najciekawsze jest jednak, że w tym samym momencie na innym monitorze, sprzężonym z czułym detektorem do wykrywania słabych pól fizycznych, który skonstruował uczestniczący w doświadczeniu mgr inż. Grzegorz Zapalski z IBJ, pojawiły się jakieś dziwne drgania.

— Nie potrafię ich bliżej określić — powiedział mgr inż. Grzegorz Zapalski — gdyż trwały zaledwie parę sekund, najwyżej dziesięć, po czym znikły, wskutek czego nie dysponowałem odpowiednim czasem, żeby je zarejestrować. Zresztą, posługiwaliśmy się w tym momencie oscyloskopem, a nie oscylografem, który taki zapis by umożliwił. Ponieważ, przystępując do eksperymentu, dysponowaliśmy zbyt małą liczbą danych, detektor ustawiłem na wycucie i nie zdążyłem go już dostroić do właściwej częstotliwości. Obserwowany na monitorze efekt oceniam jednak jako bardzo interesujący.

— Badając to, co nowe — powie dla odmiany prof. Magdalena Hanicka, osoba pełna ciepła i życzliwości dla innych, o ogromnych, godnych pozazdrosczenia horyzontach umysłowych — musimy odrzucić wewnętrzne uprzedzenia oraz blokady psychiczne, wynikające z rutynowej wiedzy, jaką wynosimy ze studiów czy też pracy zawodowej. Uważam, że takie podejście obowiązuje również, a może nawet przede wszystkim, właśnie w przypadku Joasi.

Korzystając z wizyty u pani profesor zapytaliśmy także o inne sprawy.

— Jak to było z tą awarią monitora podczas eksperymentu 10 lutego?

— No cóż, zepsuł się, co wydawało się o tyle dziwne, że nie był wprawdzie nowy, ale sprawny. Teraz trochę boję się korzystać z tego sprzętu przy następnych doświadczeniach. Jego wartość sięga wielu milionów złotych, a ponadto ma on służyć przede wszystkim chorym dzieciom.

— W swoim dokumencie, dotyczącym eksperymentu z 10 lutego 1984 roku, stwierdziliście państwo, że obserwowane przez was zjawisko jest realne i nie da się zinterpretować na podstawie znanych praw fizyki. Sformułowanie takiej konkluzji wymagało pewnej dozy odwagi...

— Uważam, że jest to przede wszystkim kwestia uczciwości. Długo zresztą przedtem dyskutowaliśmy. Ja, jako lekarz, znam się na fizyce niewiele; może w największym stopniu na katalizie i fizykochemii powierzchniowej. Dlatego wymiana poglądów, którą prowadzili między sobą fizycy wchodzący w skład zespołu, była dla mnie bardzo ciekawa, choć często niezrozumiała. Z mojego punktu widzenia za najistotniejsze uważałam przedyskutowanie problemu, czy ta dziewczynka jest „producentem”, swoistym generatorem energii, czy raczej jej transformatorem, a może po prostu tylko dobrym przewodnikiem (ewentualnie przetwarza ona jedną energię na inną). Wiele zdaje się przy tym wskazywać, że jest to jakiś nieznan rodzaj energii. Pamiętajmy, że energia elektryczna została również odkryta stosunkowo niedawno. Wydaje się więc bardzo prawdopodobne, że mogą istnieć energie jeszcze nie zidentyfikowane. Skoro zaś tak, trzeba definitywnie wyeliminować w tym przypadku możliwość działania energii już poznanych i opisanych. Należy też poszukać aparatury, która będzie potrafiła uchwycić w namacalny sposób zjawisko. Musi ją cechować ogromna czułość i niezawodność.

— Eksperymenty, o których mówimy — dodała prof. Hanicka — powinny odbywać się w specjalnie przystosowanych pomieszczeniach. Dlatego myślałam nawet o zakwaterowaniu Joasi u mnie w klinice i dowożeniu jej stamtąd do zakładu fizyki. Po tym jednak, co stało się w Zakopanem, zawahałam się. Z pewnych względów nie mogę sobie pozwolić na „cudologię”. Mam przecież na oddziale chore dzieci, a w moim pawilonie zimą „odeszły” szczytowe ściany budynku. W takiej sytuacji człowieka ogarnia strach, żeby mu się, nawet bez udziału Joasi, barak nie rozpadł.

— Użyła pani profesor słowa „cudologia”. Czy świadomie?

— Chciałabym zostać dobrze zrozumiana. Kładąc podpisy pod tym dokumentem potwierdziliśmy realność zjawiska. Ponieważ reprezentujemy podejście czysto naukowe, nie możemy zaprzeczać faktom. Ale człowiek jest tylko człowiekiem i mówiąc o „cudologii”, użyłam określenia płynącego gdzieś z głębi serca, tak jak my całe to zjawisko potocznie odbieramy.

— Jak pani profesor widzi perspektywę dalszych badań z Joasią?

— Sprawa nie jest prosta. Nie udało się nam włączyć tego problemu do programu badań resortowych,

bo właśnie kończy się pięciolatka i nie ma mowy o wciśnięciu do planu czegokolwiek nowego. Niewykluczone, że będzie to możliwe w późniejszym okresie, co jednak też nie załatwia do końca sprawy. W skład zespołu wchodzi wybitni fizycy, którzy często przebywają za granicą. Trudno więc zagwarantować ich jednoczesną obecność przy kolejnych eksperymentach. O konieczności zapewnienia odpowiednich warunków dla doświadczeń już mówiłam. Myślę na przykład, iż nie jest przypadkiem, że te zjawiska manifestowały się tak gwałtownie w Zakopanem, gdzie występuje bardzo specyficzna jonizacja powietrza. To daje wiele do myślenia. Należałoby również dokładnie inwentaryzować przedmioty znajdujące się w pomieszczeniu, w którym przebywa dziewczynka, oraz wydatnie ograniczyć ich liczbę, aby wyeliminować możliwość choćby mimowolnych omyłek w postrzeganiu. Zresztą te przedmioty trzeba nie tylko zinwentaryzować, lecz także zważyć. Doktor Gadula twierdzi na przykład, że jeden z kubków po przelocie był wyraźnie cięższy. Jest to jednak ocena wyłącznie subiektywna, gdyż przedmiot nie został wcześniej zważony. Niedawno dzwonił do mnie znany fizyk, docent Szczepański z Warszawy, który sugerował, by w okresie letnim ściągnąć Joasię ponownie do Zakopanego i tam w warunkach możliwie pełnej izolacji i po odpowiednich przygotowaniach ponowić doświadczenia. Najważniejsze jest, moim zdaniem, wytyczenie generalnego kierunku badawczego.

Zapytaliśmy także profesor Hanicką o jej osobisty pogląd na temat zjawisk parapsychicznych.

— Mam do tego — powiedziała pani profesor — stosunek ostrożny, ale otwarty. Bywa przecież nieraz tak, że człowiek coś czuje lub słyszy, a po pewnym czasie dowiaduje się, że sygnał ten znalazł potwierdzenie w postaci rzeczywistego wydarzenia. Postawa czysto kartezjańska w którymś momencie pchnęła do przodu mechanikę, jednak później, jak dowodzą obserwacje, przyhamowała naukę, stopując w niej pewne pożyteczne prądy, w tym również filozoficzne.

— Nasze ludzkie doświadczenia — kontynuowała prof. Magdalena Hanicka — składają się z doświadczeń progowych i podprogowych. Progowe oznaczają to, co człowiek widzi w określonym zakresie, w pewnej granicy wielkości. Jednocześnie jednak odbieramy i rejestrujemy podprogowo różne informacje, których w pełni sobie nie uświadamiamy. Dlatego na przykład, gdy lekarz z dużym doświadczeniem powie: „to dziecko mi się nie podoba”, takiego stwierdzenia nie wolno lekceważyć. Jest ono bardzo ważne, nawet jeśli nie potrafimy precyzyjnie określić, co nam się w pacjencie „nie podoba”. Bo pozornie nic nie widać, ale mimo to, niejako w tle, lekarza coś niepokoi. To może być mało uchwytna zmiana koloru skóry, jej wygląd czy zapach potu. Nawiasem mówiąc, o takim postrzeganiu decyduje praktyka życiowa; tego nie można nauczyć się na studiach medycznych. Dla mnie jest to jednak wystarczający argument, przemawiający za przyjęciem dziecka do szpitala.

— Badane przez nas zjawisko — stwierdziła na zakończenie pani profesor — trzeba maksymalnie zobiektywizować. Relacje osób trzecich, nawet jeśli są prawdziwe, nie mogą stanowić dostatecznej podstawy do naukowej weryfikacji fenomenu. Sytuacja wygląda zupełnie inaczej, gdy inicjujemy eksperyment spełniający wymogi naukowości. Chcielibyśmy na przykład z naszych przyszłych doświadczeń wyeliminować łyżeczki, zastępując je prętami o dokładnie znanych parametrach fizycznych. I jeśli po wygięciu przez Joasię kilkudziesięciu takich prętów ustalimy, iż odznaczają się określonymi, zmienionymi z punktu widzenia metalurgii cechami, będzie to już efekt uchwytny statystycznie, co z kolei umożliwi wyciągnięcie odpowiednich wniosków uogólniających.

Niestety, ponowna seria eksperymentów, które odbyły się 23 kwietnia 1984 roku (prof. Hanicka w nich nie uczestniczyła, gdyż dosłownie w przeddzień poważnie zachorowała i została przewieziona do szpitala), zakończyła się niepowodzeniem. Nie powiodły się tym razem ani próby z wyginaniem łyżeczek, ani inne doświadczenia biofizyczne, co niektórych naukowców jakby zniechęciło do organizowania kolejnych tego typu przedsięwzięć. W efekcie nastąpiła dłuższa przerwa w pracach zespołu, która trwa do dziś. Nie bez znaczenia jest również fakt, że wniosek o finansowanie badań fenomenu Joasi Gajewskiej w ramach tzw. problemu węzłowego lub międzyresortowego nie został uwzględniony. Wydaje się to okolicznością nader istotną, zważywszy, iż wspomniane badania — o czym była już mowa — muszą być prowadzone w odpowiednio przygotowanych warunkach laboratoryjnych.

— Żyjemy na co dzień — zauważył mgr inż. Grzegorz Zapalski — w wielkim śmietniku pól fizycznych. To są pola elektryczne, magnetyczne, elektromagnetyczne, miliony pól radiowych itp. One wszystkie nas przenikają, oddziałując na ludzki organizm i otoczenie, mimo iż tego nie czujemy. W przypadku Joasi Gajewskiej wszystkie te oddziaływania trzeba zredukować do minimum. Wyobrażam to sobie w taki sposób, że dziewczynkę należałoby umieścić na parę tygodni w jakimś domu oddalonym od miasta, zainstalować tam kamery oraz czuły detektor i dopiero wtedy prowadzić doświadczenia. W przeciwnym razie brakuje pewności, czy uzyskany wynik nie został zakłócony wpływem innych czynników.

Naukowiec z Instytutu Badań Jądrowych mówiąc o czułym detektorze, miał na myśli urządzenie,

umożliwiający wykrywanie pól grawitacyjnych. Pola te, jego zdaniem, stanowią klucz do zagadki. Zbudowanie takiego detektora jest jednak bardzo skomplikowane pod względem technicznym. O tym zresztą, że do wspomnianych badań potrzebny byłby wysokiej klasy sprzęt, którym nasi naukowcy najczęściej nie dysponują (chodzi m. in. o aparaturę umożliwiającą rejestrację słabych pól elektrycznych, elektrostatycznych oraz czystych pól magnetycznych), mówił nam już wcześniej dr Andrzej Franek z Zakładu Biofizyki Śląskiej Akademii Medycznej.

Trudności techniczne to jedno. A przecież ani na moment nie można zapominać również o istnieniu swoistych oporów psychicznych, które nie sprzyjają przełamaniu schematów myślowych badaczy.

Doktor filozofii Julian Ochorowicz powiedział kiedyś, że nic nie służy lepiej postępowi niż odkrycia sprzeczne z panującymi teoriami. Wydawałoby się, że tam, gdzie w grę wchodzi skomplikowane modele fizyczne i matematyczne, filozofia niewiele ma do powiedzenia. Na tle jednak burzliwego rozwoju nauk ścisłych i przyrodniczych, raz po raz weryfikujących paradygmaty długo uznawane za niewzruszalne, refleksja dr. Ochorowicza szczególnie zyskuje na wartości.

W kręgu hipotez

„...można by powiedzieć, że teoria kwarków jest znacznie mniej sensowna niż cała ta historia z przenikaniem przedmiotów przez przeszkody, bo kwarków nikt nigdy nie wykrył, a przenikanie, jeśli wierzyć relacjom świadków, było jednak obserwowane”.

W wypowiedziach na temat fenomenu Joasi Gajewskiej, zwłaszcza zaś w publikacjach prasowych, od początku przewijało się wiele mniej lub bardziej sensownych hipotez, próbujących ów fenomen objaśniać. Niektóre z nich już na pierwszy rzut oka są chybione; inne, aczkolwiek mają swoje słabe punkty, stanowią przykład interesujących i pobudzających do myślenia interpretacji. Dzięki pomocy dr. Eustachiusza Gaduli, jak również prowadzonemu przez nas własnemu archiwum, sporządziliśmy zestaw takich hipotez oraz interpretacji bez poddawania ich wartościowaniu. Jest to w istocie próba inwentaryzacji funkcjonujących w obiegu publicznym poglądów na zjawisko, które wywołuje liczne spory i kontrowersje.

Natomiast w drugiej części rozdziału oddajemy głos — w formie autoryzowanych wywiadów — czterem osobom, których koncepcje wraz ze wspierającą je argumentacją wydały nam się szczególnie interesujące, a tym samym godne szerszej prezentacji.

OD BIOGRAWITACJI DO ... FRUSTRACJI

Zdolności biograwitacyjne. Zwolennicy tej teorii twierdzą, że zjawiska, zachodzące wokół Joasi Gajewskiej, występują szczególnie często u dziewcząt w okresie dojrzewania. Mówi się tu m. in. o cząsteczkach biologicznych oraz wysyłaniu fal grawitacyjnych, tworzących pole grawitacyjne. Niektórzy autorzy uważają przy tym, że bezpośrednim „sprawcą” zjawisk psychokinetycznych jest „pole biograwitacyjne, emitowane przez wyspecjalizowane komórki mózgu”.

Najpełniej istotę tej koncepcji przekazał Adam Wojciechowski w „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 25/83):

„Tak jak Słońce przyciąga Ziemię, a Ziemia Księżyc, przyciągają się również wzajemnie cząsteczki biologiczne. Łączy je siła biograwitacji. Z sumy sił powstaje pole biograwitacyjne. Nie uwzględnialiśmy tego, bo — jak stwierdził wybitny fizyk radziecki Piotr Kapica — tylko przy dużych nagromadzeniach cząsteczek elementarnych zaczynają między nimi grać rolę siły przyciągania, które nazywamy siłami ciężenia. Charakter ciężenia nie jest uwzględniany przy opisywaniu kwantowego i elektrycznego wzajemnego oddziaływania atomów i przejawia się w przyrodzie tylko w dużych masach.

Ale skoro każda drgająca cząsteczka jest zdolna do wysyłania fal grawitacyjnych, te zaś mogą tworzyć pole grawitacyjne, to wywoływane przez wyspecjalizowane ośrodki mózgu pole biograwitacyjne może przenikać przez dowolne ekrany, niezależnie od odległości, wprawiać w ruch przedmioty, przekształcać się w różne energie, przyspieszać procesy sedymentacji roztworów koloidalnych, wzbudzać świecenie kryształów półprzewodnikowych, naświetlić błony filmowe na odległość itp.

Hipoteza o istnieniu pola biograwitacyjnego wytwarzanego przez żywe organizmy zmusza do rewizji dotychczasowych założeń fizyki kwantowej. Modele opisujące zachowanie się cząstek elementarnych miały zawsze charakter przybliżony, bynajmniej nie ostateczny ani doskonały.

Teoria nieoznaczoności ukazała ograniczoność naszego poznania. Rzeczywiste mogą być jedynie obserwowane przez nas pola i zależności, dzięki którym poznajemy świat, statystyczne zachowanie się jego podstawowych składników, cząstek. Badamy to, jak sami odbieramy, doświadczamy wydarzeń, a nie same wydarzenia. Jeśli to, czego dowiadujemy się o świecie, jest tylko funkcją naszego umysłu, a nie obiektywną prawdą, nasza wiedza pozostaje ograniczona”.

Energia biomagnetyczna. Hipoteza ta bazuje na analizie przypadków podobnych do przypadku Joasi Gajewskiej i szczegółowo opisanych w literaturze światowej. Należą do nich m. in. przemieszczanie się licznych sprzętów, w tym również ciężkich mebli, w miejscowości francuskiej Cideville w 1950 roku za sprawą dwóch chłopców; casus amerykański z 1959 roku (wprawiającym w ruch przedmioty okazał się dwunastoletni Jimmy Herrmann), czy wreszcie podobne głośnie wydarzenia, do jakich doszło w 1967 roku w kancelarii adwokackiej w Rosenheim w RFN.

Pole bioenergetyczne. Wedle tej z kolei teorii (powołującej się na uczone radzieckich) u dziewcząt w okresie dojrzewania ma dochodzić do uaktywnienia się sił bioenergetycznych. Wskutek zmian zachodzących w komórkach organizmu wytwarza się pole bioenergetyczne, przy czym źródłem energii jest rozrywanie się

chromosomów. Oddziaływanie takiego pola jest tym silniejsze, że powstaje w środowisku „mokrym”. Wspomniane energie po okresie dojrzewanja zazwyczaj zanikają.

Promieniowanie pola pierwotnego. Wszystkie znane pola — jak utrzymują niektórzy naukowcy — a więc elektryczne, magnetyczne, elektromagnetyczne, grawitacyjne i inne są pochodnymi pola pierwotnego. „Jego istnienia dowodzą m. in. nagłe zmiany częstotliwości pola elektromagnetycznego. Pole to nie jest jeszcze zdefiniowane, można jednak przyjąć, że decyduje o życiu” (cytat z wypowiedzi dr. fizyki Jerzego Sosnowskiego dla tygodnika „Polityka” nr 25 z 1983 r.).

Szczególne współzależności między różnymi rodzajami pól (zwłaszcza elektromagnetycznym i elektrostatycznym). Vide rozmowa z dr. Andrzejem Frankiem w rozdziale „Więcej światła”.

Rezonans grawitacyjny. Hipoteza zakładająca wytwarzanie przez żywy organizm rezonansu grawitacyjnego, likwidującego siły pola grawitacyjnego. Jego przyczyną mogą być: określone odżywianie (nadmiar pewnych pierwiastków w organizmie) lub „niewygluszałne dźwięki burzowe” (infradźwięki), czyli tzw. ośrodki wzbudzenia (być może nowe, sztuczne, do których człowiek nie przystosował się jeszcze lub „nawet ich nie przewiduje”).

Stan zbiorowej hipnozy (halucynacji). Chodzi o to, że osoby relacjonujące takie czy inne zjawiska są przekonane, iż je naprawdę widziały, podczas gdy w istocie uległy hipnozie lub halucynacji. Zagadką w takim przypadku pozostawałoby jednak, kto (lub co) ów stan hipnozy (lub halucynacji) miałby powodować oraz w jaki sposób powstały materialne ślady kinezy (jednym słowem: *idem per idem* — przyp. A.O. i M.R.).

Energia eteryczna. Teoria lansowana przez ezoteryków, w myśl której całej sprawy w ogóle nie ma sensu badać, ponieważ Joasia Gajewska jest po prostu fenomenalnym medium, mogącym nawiązywać, nawet bez udziału świadomości, kontakt ze światem astralnym.

Oszustwo, po prostu oszustwo. Koncepcja dopuszczalna, jak każda inna. Bez komentarza.

ZMIERZCH PARADYGMATÓW?

Rozmowa z prof. dr. hab. Arkadiuszem Góralem

Prof. dr hab. Arkadiusz Góral, wybitny specjalista w dziedzinie elektroniki ciała stałego. Urodzony w 1930 roku w Siedlcach, ukończył studia I stopnia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Szczecińskiej, a studia II stopnia w Wojskowej Akademii Technicznej. W latach 1961 i 1963 uzyskał kolejno stopień doktora nauk technicznych i doktora habilitowanego w Politechnice Warszawskiej, a w 1970 roku otrzymał tytuł profesora.

Jest współautorem Nagrody Państwowej w 1964 roku za opracowanie produkcji ferrytów. W latach 1955—1968 był kierownikiem Zakładu Podzespołów w Wojskowym Instytucie Łączności, a w latach 1965—1969 kierował równocześnie Zakładem Mikroelektroniki w Instytucie Tele- i Radiotechnicznym. W latach 1958—1964 prowadził wykłady z przedmiotów: materiałoznawstwo i podzespoły magnetyczne na Wydziale Elektroniki Politechniki Warszawskiej, zaś w cztery lata później został kierownikiem Katedry Technologii Elektronowej i Mikroelektroniki WAT.

Prof. Góral był inicjatorem, a w latach 1967—1972 również kierownikiem, krajowego programu rozwojowego mikroelektroniki hybrydowej. W latach 1969—1971 zorganizował Ośrodek Naukowo-Produkcyjny Mikroelektroniki Hybrydowej, pełniąc m. in. obowiązki jego dyrektora. W latach 1963—1972 prof. Góralowi powierzono ponadto funkcję przewodniczącego zespołu problemowego mikroelektroniki Głównej Komisji Elektroniki i Telekomunikacji Komitetu Nauki i Techniki. W tym samym czasie zajmował się problematyką niezawodności podzespołów i sprzętu elektronicznego w ramach działalności koordynacyjnej Polskiej Akademii Nauk.

Zakres zainteresowań naukowych prof. Górala obejmuje: problematykę technologii i miernictwa materiałów elektronicznych i podzespołów, teorię podzespołów magnetycznych nieliniowych, teorię przyrządów półprzewodnikowych i układów scalonych, a ostatnio elektromagnetyczną teorię elementarnych (polowych) stanów materii. Prof. Góral opublikował ponad 130 prac naukowych, m. in. w „Archiwum Elektroniki”, „Archiwum Automatyki i Telemekhaniki”, „Biuletynie Zagranicznym PAN”, „AIEE Transactions on Communications and Electronics”, „IEEE Transactions on Communications and Electronics”, „IEEE Transactions on Magnetics”, „Elektronic Engineering”, „Elektronie Letters”. Prace prof. Górala byty prezentowane na kilkunastu konferencjach międzynarodowych. Spośród pięciu książek, których prof. Góral jest autorem lub współautorem, jedna *Nonparametric Magnetic Amplifiers (Nieparametryczne wzmacniacze magnetyczne)* zawiera oryginalny dorobek autora w zakresie teorii nieliniowych obwodów magnetycznych. Natomiast książka *Technika warsztatowa w mikroelektronice*, której prof. Góral był współautorem i koordynatorem, przedstawia dorobek realizacyjny krajowego programu rozwojowego w

dziedzinie hybrydowej mikroelektroniki. Prof. Arkadiusz Góral jest również współzałożycielem i prezesem Polskiego Towarzystwa Synergetycznego.

*

— W swoim cyklu artykułów, publikowanych w latach 1982—1985 na łamach „Przeglądu Technicznego”, a przede wszystkim w przygotowanej do druku książce *Meandry fizyki*, która ukaże się nakładem Wydawnictwa MON, rzuca pan wyzwanie paradygmatom fizyki, wypowiadając im posłuszeństwo. Nawet ci, którzy deklarują się jako pana oponenci, przyznają, że teorie, z jakimi pan profesor występuje (na przykład dotyczące dwoistej natury elektronu), są bardzo ciekawe i płodne poznawczo z naukowego punktu widzenia. Nie wdając się tutaj w szczegółowe rozważania, chcielibyśmy zapytać: czy należy stąd wnosić, że model fizyki, oparty w dużej mierze na relatywistyce Einsteina, uważanej długo za niepodważalną, zaczyna obecnie nie wystarczać dla zrozumienia i wytłumaczenia zjawisk, którym fizyka musi stawić czoło?

— Sprawa nie jest taka prosta. Jeśli chodzi o interesujące nas zagadnienie, tj. anomalie grawitacji, już w 1921 roku Erwin Schrodinger (współtwórca mechaniki kwantowej) zwrócił uwagę na to, że w pewnych układach odniesienia energia i pęd pola grawitacyjnego w równaniach Einsteina-Hilberta zanikają poza obszarami źródła grawitacji.

— Jakie to ma znaczenie?

— Fundamentalne. Wszak to przecież Einstein mocno zaakcentował, że pole elektromagnetyczne jest tworem materialnym, któremu możemy przypisać masę, zaś pojęcie pędu pola wprowadził jeszcze Maxwell. Charakterystyczna jest przy tym odpowiedź Einsteina na zastrzeżenia wyrażone przez Schrodingera. Otóż Einstein oświadczył, że nie widzi przyczyn, dla których jego pole miałyby się zachowywać tak, jak pole elektromagnetyczne.

— Co na to współczesna nauka po przeszło sześćdziesięciu latach, które upłynęły od tej dyskusji?

— Do zasygnalizowanego tu problemu ustosunkował się w 1979 roku radziecki fizyk, profesor Łogunow ze współpracownikami. Napisał on dosłownie: „Jeśli w teorii (chodziło o ogólną teorię względności — przyp. A.O. i M.R.) dopuszcza się zerowanie energii i pędu pola, to znaczy, że oddziaływania na odległość przenoszą **siły duchowe**. Zatem tego rodzaju teoria **nie jest fizyczna**”. W tej samej pracy Łogunow zaproponował teorię, opartą na krzywoliniowej geometrii, w której energia i pęd pola nie zerują się w żadnym układzie odniesienia.

— Czy to wyjaśnia cały problem?

— Tak — w sensie „porządnej” geometrii czasoprzestrzeni, nie zawierającej wewnętrznych sprzeczności. Nawiasem mówiąc, Łogunow, Mieroszwił i ich współpracownicy w tym nie poprzestali. W styczniu 1986 roku ogłosili kolejną pracę, w której wykazali, że równość masy grawitacyjnej i bezwzględnej jest jedynie szczególnym przypadkiem w ogólnej teorii względności.

— ?????

— Zdziwienie państwa jest uzasadnione, skoro już dzieci uczą się w szkole, że obie te masy są sobie równe, co stanowi do dziś obowiązujący paradygmat. Profesor Łogunow wyraża jednak wątpliwości z innego powodu. Nie może on po prostu zrozumieć, że przez tyle lat nie zauważono nierówności tych mas właśnie z punktu widzenia ogólnej teorii względności.

— Bardzo przepraszamy, ale czy mógłby pan profesor wyjaśnić — mając na uwadze mniej obeznanych z fizyką czytelników — czym właściwie są obie masy: bezwładna i grawitacyjna?

— Dobrze, rozpoczniemy od bezwładnej. Masa bezwładna jest miarą energii, którą posiada ciało materialne. Stanowi ona po prostu inną reprezentację tej energii. Jeżeli masę pomnożymy przez stały współczynnik równy kwadratowi prędkości światła, to otrzymamy słynną formułę $E=mc^2$, przypisywaną powszechnie relatywistyce Einsteina.

— A jak jest naprawdę z tą formułą?

— Sam Einstein w pracy z 1947 roku wykazał (przy czym wywód ten powtórzył w książce *Out of my later years — Z moich ostatnich lat*), że formuła $E=mc^2$ wypływa wprost z teorii Maxwella i zasady zachowania pędu. Einstein nigdy nie przejmował się opiniami współczesnych mu fizyków zarówno wtedy, gdy okazywały się one negatywne, jak i wówczas, gdy były bałwochwalcze. Jest to jedna z dodatkowych miar wielkości tego twórcy fizyki.

— A co z masą grawitacyjną?

— Do masy grawitacyjnej proporcjonalna jest siła przyciągania grawitacyjnego. Powiedzmy: masa ziemi jest „M”, zaś nasza masa „m”. I jeśli pomnożymy teraz te dwie wielkości przez stałą grawitacji, a następnie podzielimy przez kwadrat odległości od środka Ziemi, otrzymamy siłę grawitacji.

— Ale to wykrył już Newton.

— Oczywiście, tyle że do ogólnej teorii względności włączono paradygmat równości obu mas (bezwładnej i grawitacyjnej). Okazuje się, że bez uzasadnienia.

— Jaki jest związek tego wszystkiego ze sprawą najbardziej nas interesującą, a mianowicie ze zjawiskami kinetycznymi, które występują w obecności Joanny Gajewskiej z Sosnowca?

— Zaraz do tego dojdziemy. Proszę mi jednak pozwolić na dokończenie wywodu. Otóż, skoro mówimy o masie grawitacyjnej, siłą rzeczy nasuwa się pewne podstawowe pytanie: jaka jest masa grawitacyjna cząstki elementarnej? Jako przykład rozważmy tu „ciężki” lepton, tzw. lepton tau (taun), wykryty w 1976 roku. Tauon ma energię 1785 MeV, a więc jest prawie dwa razy bardziej masywny niż proton (938 MeV), znane wszystkim dobrze jądro wodoru. Tauon żyje jednak nie dłużej niż 10 pikosekund (10 milionowych części sekundy). Jest to jak na cząstkę elementarną długi okres życia, ale w tym czasie pole grawitacyjne Ziemi może się nawet nie „dowiedzieć”, że wygenerowany w akceleratorze tauon w ogóle istnieje. Uważając określenia „dowiedzieć się” — posługujemy się oczywiście terminem umownym, gdyż pole grawitacyjne nie ma świadomości. Świadomość zastępuje tu określone oddziaływanie materialne. Trudno natomiast mówić o oddziaływaniu materialnym, skoro w czasie swojego „życia” tauon emituje np. promieniowanie elektromagnetyczne, które jest w stanie rozejść się na odległość rzędu milimetrów. Później tauon już nie istnieje, są tylko produkty jego rozpadu, o których do dziś nie wiadomo, ile ważą. Dzieje się tak na przykład w przypadku neutrino, które najprawdopodobniej ma masę spoczynkową równą zeru, a więc nie wnosi nic do grawitacji.

Podsumowując: dotąd brakuje teorii grawitacji na szczeblu „mikroświata”. Mówiąc bardziej precyzyjnie, nadal nie wiemy, jaki jest wewnętrzny mechanizm fizyczny oddziaływań grawitacyjnych.

— A fizyka kwantowa? Przecież zajmuje się ona głównie procesami zachodzącymi w mikroświecie...

— Proszę państwa! W fizyce kwantowej elektrony (również mion i tauon) nie mają żadnej wewnętrznej struktury. Stanowią one punkty o nieskończonej energii i nieskończonym ładunku. Obserwowalna masa i ładunek elektryczny wprowadzane są do teorii z zewnątrz i rozumie się je jako różnice dwu nieskończoności. Z punktu widzenia kwantowej elektrodynamiki jest więc obojętne, czy elektron ma masę taką, jaką się przyjmuje, czy też waży na przykład 10 ton!

— A próby teoretyczne tzw. wielkiej unifikacji, o których coraz głośniej?

— Program wielkiej unifikacji ma na celu ujednoczenie czy raczej jednolite sformalizowanie opisu czterech podstawowych oddziaływań zachodzących w przyrodzie: grawitacyjnych, elektromagnetycznych, słabych i silnych. Dwa pierwsze z nich są długodystansowe, a dwa ostatnie niezmiernie krótkodystansowe i ograniczają się do sąsiedztwa cząstek elementarnych. Pytam jednak: jaki jest sens unifikowania czegoś bez próby zrozumienia fizycznego mechanizmu oddziaływań? I w ogóle co unifikować wobec niesłychanej gmatwaniny pojęciowej, jaką raczy nas na co dzień współczesna fizyka?

— Czy dotyczy to również głównego przedmiotu naszej rozmowy?

— Tak, i to w pierwszym rzędzie. Podam kolejny przykład. Chodzi o lepton zwany mionem (dawniej — mezonem). Jest to cząstka dobrze już zbadana i praktycznie wykorzystywana na przykład w radiologii medycznej. Wiadomo, że jej spoczynkowy czas życia wynosi około 1,5 mikrosekundy. Mion rozpędzony do prędkości współmiernej z prędkością światła żyje znacznie dłużej i fakt ten podaje się jako jeden z doświadczalnych dowodów na tzw. dylatację czasu, wynikającą ze szczególnej teorii względności. Równocześnie jednak fizyka kwantowa uczy uporczywie, że nawet elektronu nie wolno traktować w mikroskali jako naładowanej kulki. Elektron jest z jednej strony punktowy (mion kwantowo również), a z drugiej — probabilistycznie rozmyty w chmurze prawdopodobieństwa, opisywanej przez słynną funkcję *psi*. Nawet z klasycznego punktu widzenia mion rozpędzony do prędkości bliskiej prędkości światła stanowi zupełnie inną jakość. Będzie to, i kwantowo i klasycznie, pakiet falowy o energii wielokrotnie przewyższającej energię spoczynkową mionu. Pakiet ten rozchodzi się i oddziałuje z innymi cząstkami jeszcze długo po „śmierci” mionu. Jest to fakt bezsporny, którego trudno nie uznać, ale jeszcze trudniej wykorzystywać go do uzasadnienia dylatacji czasu w układzie współrzędnych poruszającego się mionu — „kulki”. Fizycy nie wydają się tym przejmować i do dziś nie zadali sobie pytania (w sensie postawienia programu), jaki jest na przykład związek liczbowy pomiędzy ładunkiem elektronu i stałą Plancka. Profesor Martin Perl (kierownik zespołu badaczy, który wykrył tauon) pozostawia to pytanie do rozwiązania przyszłej generacji fizyków o bardziej jasnym umyśle (w oryginale angielskim dosłownie: „more bright brain physicists”).

— Od naszych rozmówców z kręgu pracowników naukowych Politechniki Warszawskiej dowiedzieliśmy się, że pan profesor zaproponował rozwiązanie tego problemu...

— Tak, osiem lat temu na drodze elektromagnetycznego schematu myślowego. Na świecie nie czyta się jednak „Biuletynu Zagranicznego PAN”, a nasi fizycy nazywają tego rodzaju próby paranauką. Uczynił to

kilka lat temu pewien znany fizyk-poeta.

— Postawmy wobec tego kropkę nad i: czy można wiązać grawitację z masą i energią?

— W warunkach ziemskich tak, ponieważ to, z czym mamy do czynienia, składa się z elektronów, protonów i neutronów, które są cząstkami stabilnymi. Wprawdzie neutron żyje około tysiąca sekund, czyli nie ma stabilności jako cząstka swobodna, ale w jądrze atomowym jest cząstką stabilną, dualną z protonem. W odniesieniu więc do warunków ziemskich oraz cząstek stabilnych masa inercyjna i grawitacyjna są rzeczywiście sobie równe. Nie wiemy już natomiast, jak jest we wszechświecie, bo nasza skala doświadczeń w tym względzie należy do bardzo ubogich.

— Fal grawitacyjnych nie udało się, jak dotąd, wykryć doświadczalnie...

— No, właśnie. One niejako wynikają z teorii Einsteina, jednak próby ich wykrycia dotychczas nie powiodły się. Nie wiemy nawet, czy te fale są poprzeczne czy podłużne. Skoro zaś nic o nich nie wiemy, bardzo trudno jest zaprogramować doświadczenia potwierdzające istnienie fal grawitacji. Wprawdzie ktoś nie tak dawno powiedział chytrze w telewizji, że niewykrycie fal grawitacyjnych stanowi w gruncie rzeczy potwierdzenie teorii Einsteina, ponieważ one są po prostu tak słabe, że ich nie można wykryć, ale posługując się tego typu rozumowaniem daleko nie zajdziemy.

— Jaką zatem należy obrać drogę?

— Zadajecie państwo pytanie, nad którym głowią się od lat najwięksi fizycy na świecie. Problemem grawitacji zajmował się już Maxwell, który w jednej ze swoich publikacji postawił hipotezę, że pole grawitacyjne kryje w sobie ogromną energię, większą niż wszystkie znane pola elektryczne czy magnetyczne. Jeśli chcielibyśmy wyjaśnić działanie grawitacyjne poprzez analizę tej energii, wyprowadzając ją w formie równania przez analogię do pola magnetycznego, doszlibyśmy prawdopodobnie do wniosków, które nie mieszczą się w naszym aktualnym zakresie pojęć. Dlatego właśnie Maxwell zatrzymał się w pół drogi. Powiedział: „Ja nią dalej iść nie mogę” (w oryginale angielskim dosłownie „I can not go this way”).

— Pomimo to w swojej teorii na temat dwoistej natury elektronu odwołuje się pan profesor właśnie do równań Maxwella.

— Tak, gdyż dorobek Maxwella jest niepodważalny. Przed sześciu laty wpadłem na pomysł, by posługując się wyłącznie danymi mojego własnego modelu, obliczyć teoretycznie stosunek masy protonu i neutronu. Otóż...

— Panie profesorze, ponieważ, jak widzimy, sposobi się pan do napisania na tablicy stosownego wzoru matematycznego, gorąco prosimy, by zechciał pan posłużyć się metodą opisu.

— Dobrze. Chodziło mi o znalezienie pewnego generalnego założenia dla całego modelu, które można by ująć tak: pole grawitacyjne „nie wie”, jaką energię mają poszczególne jego cząstki. Ono ma po prostu jakąś strukturę plus procesy, na które reaguje. Musi istnieć zatem coś, co to pole wytwarza. Założyłem, że czynnikiem, który wytwarza maxwellowskie pole elektromagnetyczne, jest wewnątrz mojej struktury oraz to, co nazywamy stopniem swobody rotacyjnej, a więc obroty. Natomiast pole grawitacyjne wiąże się z ruchem translacyjnym, dokonującym się wzdłuż promienia. W myśl tego założenia fale grawitacyjne byłyby więc podłużne, podobnie jak fale dźwiękowe rozchodzące się w powietrzu.

Rysuje się tu natomiast podstawowy problem, co przyjąć za miarę ładunku grawitacyjnego? Otóż — stosując analogię do ładunku elektrycznego czy magnetycznego — przyjąłem, iż **ładunek grawitacyjny związany jest ze strukturą subtelną cząstki** (nie zaś z samą masą, o której pole nic „nie wie”). Jako miarę ładunku grawitacyjnego zastosowałem przy tym całość z energii. Podkreślam: nie energię, a całość z energii, bo jeśli zakładamy, że ma tu promieniować strumień energii, to ładunek musi mieć wymiar wyższy, całkowity. Analogicznie wygląda rzecz z ładunkiem elektrycznym i prądem elektrycznym, który jest jego pochodną.

Oczywiście, przyjmuję tu, że energie te równoważą się. Mówiąc innymi słowami, strumień energii, dostarczany z uniwersalnego pola grawitacji, równoważy strumień energii, wypływający z naszej cząstki. Gdy istnieje równowaga — cząstka jest stabilna.

I teraz do czego zmierzam: **jeśli prawdą jest, że ładunek grawitacyjny gromadzi się w zewnętrznej otoczce cząstki, nazwanej przeze mnie subtelną, oznacza to, że istnieje możliwość oddziaływania na tę cząstkę i zmiany jej pola grawitacyjnego bez znacznego naruszenia energii tej cząstki**. Całe zjawisko bowiem — powtarzam — związane jest ze **strukturą** cząstki i wcale nie musimy zmieniać w sposób istotny jej energii. Na tej właśnie podstawie obliczyłem ładunek grawitacyjny dla protonu i elektronu, uzyskując wynik 1835,9, co jest bliskie doświadczalnemu stosunkowi mas: 1836,15.

Zarazem licząc się z tym, że osiągnięta w stopniu większym niż zadowalający zgodność teorii z doświadczeniem może być przypadkowa, w następnej kolejności sprawdziłem przydatność mojego schematu myślenia do obliczenia spektrum leptonów. Okazało się, że model funkcjonuje poprawnie, gdyż — przyjmując za punkt wyjścia fakt istnienia elektronu — obliczyłem masy kolejnych leptonów: mionu i tauonu.

— Przecież są one znane!

— Tak, jednakże nieznaną są masy kolejnych leptonów w spektrum, które również przewiduję. Konkretnie, następny lepton powinien mieć masę (energię) około 27 gigaelektronowoltów, a kolejny 430 GeV. Leptonów wyższych rzędów nie będę wymieniał, gdyż ich zawrotne energie niewiele już mówią czytelnikom.

— Innymi słowy, zdaniem pana profesora, przewidział pan to, co fizycy mogą w przyszłości wykryć...?

— Mogą, lecz nie wiadomo, czy tak się stanie. Nie ma zapotrzebowania na weryfikację doświadczalną wspomnianego modelu. Ono, owszem, istnieje w przypadku tzw. modelu standardowego, w który wierzy większość fizyków (tak się dosłownie na ten temat wyrażają). Badania z użyciem akceleratorów są biznesem niesłychanie kosztownym. Gdybym jednak dysponował własnymi funduszami, bez wahania przeznaczyłbym je na sfinansowanie takiego programu badawczego.

— A spodziewany wynik?

— Jestem przekonany, że spektrum leptonów jest nieograniczone. Wykrycie mojego leptonu supertau o energii 27 GeV zmusiłoby „kwarkologów” do rozmnożenia kwarków. Przestałaby obowiązywać symetria „sześć leptonów — sześć kwarków” na zasadzie analogii „sześć saganków i sześć psów”, ponieważ jedno i drugie mają uszy. Byłaby to pyszna zabawa.

— Z uporem wracamy do sprawy, która nas przywiodła do pana profesora: jakie to wszystko może mieć znaczenie dla objaśnienia fenomenu Joasi Gajewskiej z Sosnowca?

— Przypomnijmy raz jeszcze, że to, co nazywamy polem grawitacyjnym w warunkach ziemskich, czyli dostępnym naszej obserwacji, nie jest polem grawitacyjnym uniwersalnym, które panuje we wszechświecie. Jego energia stanowi zaledwie drobny ułamek tamtego pola, **zaburzenie**; swoistą **anomalię**, w której wszyscy tkwimy, chociaż jej na ogół nie odczuwamy. Bo ta energia jest znikoma, mniejsza od wszystkich znanych.

I jeśli w takim kontekście spojrzymy na fenomen, jakim jest funkcjonowanie żywego organizmu, rodzą się z miejsca setki pytań. Przecież my na dobrą sprawę nadal niewiele wiemy o strukturze fizycznej żywych organizmów. Fizyka, chemia i biofizyka nie potrafią się tu uporać z podstawowymi zagadnieniami. Nie są na przykład w stanie wyjaśnić nawet tak elementarnej w pewnym sensie sprawy, jak właściwości membran międzykomórkowych i przejść pomiędzy nimi. A przecież membrana międzykomórkowa, mająca wielkość mikronową — przy występujących w niej różnicach potencjałów rzędu miliwoltów — kumuluje pole elektryczne rzędu kilowoltów na metr!

Wydaje się więc bardzo prawdopodobne, a w każdym razie nie da się tego wykluczyć, że w wyniku pewnej konfiguracji pól, nawet elektromagnetycznych, można zaburzyć pole grawitacyjne w takim stopniu, iż spowoduje to określone zjawiska fizyczne, jak na przykład znacznie silniejsze niż zazwyczaj przyciąganie, odpychanie lub wręcz odpychanie zamiast przyciągania. I z tym właśnie przypuszczalnie mamy do czynienia w przypadku Joasi Gajewskiej.

— Zdaniem pana profesora w grę wchodzi więc lokalne zaburzenie pola grawitacyjnego?

— Powiedziałbym więcej: lokalne zaburzenie elementarnych oddziaływań, ponieważ energie pól, którymi operujemy, są znikome w porównaniu z innymi energiami, występującymi w przyrodzie i mogącymi spowodować lokalne zaburzenie pola grawitacyjnego.

— Czy uważa pan profesor, że generatorem zaburzeń elementarnych oddziaływań jest cały organizm dziewczynki?

— Podejrzewam, że główną rolę gra mimo wszystko mózg. W wyjaśnieniu zjawiska mogłaby być niewątpliwie pomocna neurofizjologia. Niestety, neurofizjolodzy nie kwapią się do współpracy na tym polu. Sam ją kiedyś proponowałem, ale ostatecznie wszystko skończyło się na dobrych chęciach. Istnieją wprawdzie neurofizjolodzy, którzy prywatnie interesują się wspomnianymi zagadnieniami, jednak oficjalnie się od nich odzegnują w obawie przed reakcją swoich przełożonych.

— Czy jest pan zdania, że hipoteza lokalnych zaburzeń elementarnych oddziaływań wyjaśnia zjawiska, występujące wokół dziewczynki?

— Bez wątplenia tak. Popatrzmy na te powyginane łyżeczki, które państwo przynieśliście. Siły, trzymające uprzednio metal „w kupie”, zostały lokalnie naruszone, a przecież w gruncie rzeczy są one siłami mizernymi. Tylko nam wydają się duże, bo bardzo trudno zgiąć łyżeczkę przez pocieranie, zaś ogromna większość ludzi w ogóle nie byłaby w stanie osiągnąć takiego efektu. W porównaniu z siłami występującymi w przyrodzie to jednak naprawdę „głupstwo”. Proszę pomyśleć: jeśli hipoteza mówiąca o skupianiu źródła pola grawitacji w subtelnej otoczce cząstki jest słuszna, a upieram się, że jest, oznacza to, że istnieje możliwość naruszenia równowagi tej otoczki, zmiany kierunku działania. W rezultacie na przykład oddziaływanie tego typu grawitacji na pole uniwersalne może spowodować, że zamiast przyciągania otrzymamy odpychanie. I to wydaje się oczywiste, choć nie potrafimy sobie wyobrazić mechanizmu tego

zjawiska. I tak jak Maxwell nie mógł sobie dać rady z ziemskim polem grawitacyjnym, my, żyjąc sto lat później, wiemy znacznie więcej od niego, ale nadal zbyt mało. Bo nie wiemy na przykład, jak ziemskie pole grawitacyjne „pogodzić” z polem — nazwijmy je tak czysto umownie — biograwitacyjnym. Jest to zaś ważne o tyle, że skoro przyjmujemy, iż mechanizm biograwitacji powoduje zaburzenia elementarne, musimy zgodzić się, że anormalny ruch przedmiotów zaburza również transmisję promieniowania elektromagnetycznego. Mówiąc inaczej, to, co widzimy i słyszymy, jest częściowo „złudzeniem”, to jest zaburzone widzenie i słyszenie. Bo w wyniku zaburzenia pola zakłóceniu uległo również funkcjonowanie naszych zmysłów, zdolność postrzegania. Po prostu w tym samym czasie zmieniły się właściwości zmysłów. Ponadto, co równie ważne, energia, z jaką zostaje samoczynnie wprawiony w ruch przedmiot, jest znacznie większa, niż nam się wydaje.

— Dlaczego?

— Ponieważ w krytycznym momencie dochodzi prawdopodobnie do wyzwolenia energii pola grawitacyjnego o wiele silniejszej od tej, którą dostarczyła sama dziewczynka. Jej działanie można przyrównać do spustu karabinu. Wystarczy lekkie naciśnięcie języka spustowego, a jakie mogą nastąpić straszliwe skutki! Podobnie wygląda rzecz z piorunem.

W ogóle podejrzewam, że można tu mówić jedynie o zachowaniu działania, a nie o energii. W teorii kwantowej, gdzie zgodnie z zasadą Heisenberga dopuszcza się naruszenie zachowania energii, to sprawa poniekąd elementarna. Jeśli więc Joasia Gajewska wytwarza jakieś działanie elementarne, zaburzenie oddziaływań fundamentalnych, to energia, która jest z tym związana i która w sposób gwałtowny się manifestuje, może być ogromna.

— Czy oznacza to, że nie istnieje żadna szansa samosterowania zjawiskiem?

— Dziewczynka nie może go kontrolować, gdyż w stanie wzbudzenia znajduje się nie tylko materia wokół niej, lecz również ona sama. Trudno więc, żeby tym wszystkim sterowała. Czy natomiast w przyszłości istnieje możliwość opanowania fenomenu? Sądzę, że gdyby neurofizjologia poważnie zajęła się całą sprawą, przypuszczalnie udałoby się doprowadzić do sytuacji, w której stany wzbudzenia wewnętrznego mogłyby być przynajmniej przewidywane, co — pośrednio — umożliwiłoby również kontrolę i innych zjawisk. Problem jest jednak bardzo trudny i na dobrą sprawę nie wiadomo, z której strony go ugryźć, jak zadziałać. Farmakologią? Określonymi polami? Tego nie wiemy.

— Przekazaliśmy panu profesorowi dokładny opis efektów akustycznych, których byliśmy świadkami i które często, choć nie zawsze, poprzedzają przemieszczanie się przedmiotów wokół Joasi Gajewskiej. Czym je wytłumaczyć?

— Jeśli przyjmujemy, że przemieszczanie się przedmiotów na przekór znanym prawom fizyki stanowi realny fakt, a w świetle tego, co państwo dokumentowaliście, zdaje się to nie budzić wątpliwości (liczne relacje świadków plus obserwacje tego typu efektów również w warunkach laboratoryjnych), wówczas muszą się także przemieszczać cząstki powietrza, czemu towarzyszy wzbudzenie fal akustycznych. Jest więc całkiem prawdopodobne, że zanim jeszcze pod wpływem wzbudzenia i oddziaływań, o jakim mówiliśmy, nastąpi ruch przedmiotów, zaczyna falować powietrze. Mogą wtedy występować trzaski, szelesty, szmery, szumy, świst itp., bo wszystko to ma takie samo fizyczne podłoże. Po prostu cały czas w grę wchodzi oddziaływanie na subtelną otoczkę cząstek elementarnych.

— Pomówmy wobec tego o innych obserwacjach obecnie już bardzo licznych: przenikania obiektów przez przeszkody. Długo broniliśmy się przed włączeniem ich do dokumentacji reporterskiej, w pewnym momencie jednak uznaliśmy, że przemilczenie tej sprawy nic nie da, gdyż wiele zdaje się wskazywać, iż zjawisko takie — dla nas niepojęte, z pogranicza fantazji — istotnie zachodzi.

— Proszę państwa, skoro przyjmujemy, że w przypadku tej dziewczynki mamy do czynienia z naruszeniem powszechnie znanych praw fizyki w warunkach ziemskiej grawitacji, to równie dobrze możemy przyjąć, że następuje także przenikanie przedmiotów przez przeszkody. Bo co to jest właściwie przenikanie? To jeden z możliwych efektów braku lub osłabienia normalnych oddziaływań. Podobnie uprawniona jest na przykład hipoteza, że równoległe z nami, w tej samej czasoprzestrzeni fizycznej, żyje, przypuśćmy, N istnień i gdy nie zachodzą między nimi żadne oddziaływania, będą one funkcjonowały „nie wiedząc” o sobie. Powiedziałbym więc: że założenie fizyczne **braku oddziaływań** jest bardzo ścisłe. Weźmy na przykład teorię kwarków. Kwarków nigdy nie wykryto, co nie przeszkodziło stworzeniu ich teorii. Oznacza to, że przyjęto koncepcję istnienia bytów hipotetycznych. Z tego punktu widzenia można by powiedzieć, że teoria kwarków jest znacznie mniej sensowna niż cała ta historia z przenikaniem, bo powtórzmy raz jeszcze, że kwarków nikt nigdy nie wykrył, a przenikanie, jeśli wierzyć relacjom świadków, było jednak obserwowane. W ogóle, skoro zakładamy, że Joasia Gajewska powoduje wyłączenie normalnych oddziaływań, to równie dobrze może je zaburzyć, gdyż oddziaływania te są między innymi siłami wewnętrznymi więzi międzyatomowych. Wówczas może wystąpić także przenikanie — bo i czemuż by nie?

— Jak twierdzą obserwatorzy, przedmioty po przemieszczeniu się przez przeszkody są zniszczone, pogięte, zdeformowane...

— To jasne. Skoro oddziałują na nie siły, naruszające wewnętrzne więzi atomowe, nic dziwnego, że wyglądają one tak, jak wyglądają. Trudno przypuścić, by dziewczynka była w stanie generować pola jednorodne, umożliwiające „gładkie” przenikanie.

— A zmiany temperatury? Świadcowie utrzymują, że gdy dotykali przedmiotów po przelocie, odczuwali wyraźnie ciepło, które szybko ustępowało.

— Wszystko zależy od mechanizmu lokalnej zmiany oddziaływań elementarnych. Jeśli podczas zaburzeń wyzwolona zostanie bardzo duża energia, przedmiot może się nawet stopić. Inna rzecz, że nie musi to nastąpić, gdyż generalnie mamy tu do czynienia z procesami nietermicznymi. Podstawową sprawą jest, podkreślam raz jeszcze, naruszenie więzi atomowych i osłabienie istniejącej struktury fizycznej.

— Jak pan profesor sądzi: czy fizyka w dającej się przewidzieć przyszłości poradzi sobie z wyjaśnieniem — na gruncie uznanej i powszechnie zaakceptowanej teorii — takich przypadków, jak fenomen sosnowiecki?

— Jestem tu skrajnym pesymistą. Fizyka, jak dotychczas, nie potrafiła uporać się z wewnętrznymi sprzecznościami w teoriach, akceptowanych przez większość fizyków. Relatywistyczną próżnię zaludnia się wymyślonymi przez ludzi tworam. Ostatnio kwarki są już „za duże” i niektórzy przymierzają się do jeszcze bardziej elementarnych cząstek, nazywając je na przykład „preonami” czy też „richonami”, bo jest to bardzo fajna matematyczna zabawa.

Niestety nietolerancyjność i autorytaryzm panujące od lat w fizyce nie mają sobie równych. Większość fizyków tworzy własny świat i nie przejmuje się nawet surowymi reprimendami, których nie szczędzili im i nie szczędzą najwięksi twórcy fizyki: Dirac (do dziś) i Heisenberg (do końca życia). Celuje w tym zwłaszcza nasza rodzima fizyka, ustawiając na przykład pośmiertnie „na dywanik” Heisenberga. Tak właśnie uczynił swego czasu na łamach „Postępów Fizyki” jeden z naszych luminarzy, mając za złe Heisenbergowi, że podważa sensowność modelu kwarków.

— Świadczyłyby to dobrze o naszych fizykach, że nie ulegają bezkrytycznie uznanym autorytetom.

— Świadczyłyby, gdyby nie fakt, że ten sam luminarz po prostu błędnie przetłumaczył wywody Heisenberga z jego *Was ist ein Elementarteilchen (Czym jest cząsteczka elementarna)*, a reprimendę miał już widać zawczasu przygotowaną.

Wracając zaś do postawionego przez państwa pytania, odpowiedziałbym na nie w ten sposób, iż trudno się oprzeć przeświadczeniu, że zmierzch paradygmatów w fizyce nie nastąpi przed zniesieniem celibatu kapłanów w kościele rzymskokatolickim.

UCHWYCIĆ FAŁĘ

Rozmowa z mgr. inż. Grzegorzem Zapalskim

Mgr inż. Grzegorz Zapalski — elektronik, pracownik Instytutu Badań Jądrowych w Krakowie. Jest absolwentem Wydziału Łączności Politechniki Warszawskiej. Od trzydziestu lat zajmuje się budową aparatury wykorzystywanej w fizyce jądrowej oraz detektorów umożliwiających pomiar słabych pól fizycznych. Członek zespołu powołanego pod auspicjami Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej w celu zbadania fenomenu Joanny Gajewskiej. Wyrażając zgodę na publikację wywiadu zastrzegł, iż wypowiedane w nim poglądy stanowią wykładnię jego własnych prywatnych zapatrywań i nie należy ich wiązać z placówką naukową, w której pracuje.

*

— Z naszych spotkań i dyskusji wynika, że jest pan zdania, iż „odpowiedzialne” za efekty kinetyczne, które występują w otoczeniu Joasi Gajewskiej, są fale grawitacyjne, czy raczej zaburzenia grawitacji.

— Tak właśnie sędzę. W stanowiącej zbiór szkiców naukowych rosyjskiej edycji *Fizyka klasyczna i jądrowa*, wydanej w Moskwie w 1974 roku (została ona zresztą w 1978 roku przetłumaczona na język polski), radzieccy fizycy Władimir L. Bragiński i Walentin N. Rudenko stwierdzają między innymi, że fale grawitacyjne (analogicznie do fal elektromagnetycznych) to nic innego, jak zmienne w czasie pole grawitacyjne, istniejące w oderwaniu od źródeł i rozchodzące się swobodnie w przestrzeni. Przyjmując, że to prawda, fala grawitacyjna powinna działać — za pomocą określonych sił — na spotkane na swej drodze masy, zaś ciała, które znajdują się w jej obszarze, doznają przyspieszenia. Nie muszą to być oczywiście fale o powszechnie panującym w przyrodzie przebiegu sinusoidalnym, ale nawet pojedyncze impulsy, pojawiające się zupełnie przypadkowo.

Fale grawitacyjne dochodzą do nas z kosmosu. Wywołane są między innymi przez wirujące wokół wspólnego środka ciężkości gwiazdy podwójne. Ponieważ strumień tych fal jest jednorodny (ze względu na wymiary kosmosu) oddziałują jednakowo i równocześnie na nasze ciało i na przykład na stół w pokoju. Dlatego ich nie zauważamy na tle otoczenia. Zresztą energia, jaką wytwarzają, jest znikoma.

Na temat fal grawitacyjnych i mechanizmów ich powstawania napisano wiele teoretycznych prac naukowych. Mimo to nie znamy mechanizmów powstawania tych fal w organizmach żywych. Są to tylko hipotezy. W przypadku Joasi Gajewskiej, jak się wydaje, mamy do czynienia z żywym generatorem działającym jednak bez woli dziewczynki, przypadkowo i na ograniczonej przestrzeni. Właśnie dlatego — w przeciwieństwie do fal z kosmosu — Joasia działa tylko na określone przedmioty, za to ze stosunkowo dużą energią. Skutkiem funkcjonowania tego szczególnego, żywego generatora jest lokalne zagięcie przestrzeni.

— Co to znaczy?

— Mówiąc w największym uproszczeniu, każda masa zakłóca przestrzeń, jak gdyby ugina osie przestrzenne. Tak twierdzi Einstein, a teoria ta potwierdzona została w skali kosmicznej przez ugięcie się światła gwiazd przy przechodzeniu przez pole grawitacyjne na przykład Słońca. Owo zagięcie przestrzeni, czyli stałe pole grawitacyjne wytwarzane przez masę, objawia się jako przyspieszenie.

Przyspieszenie ziemskie znamy dobrze i odczuwamy je od urodzenia aż do momentu śmierci. Skoro jednak, jak twierdził Einstein, fala grawitacyjna działa na masę również jako przyspieszenie, to, popuściwszy wodze fantazji, moglibyśmy założyć, że przy odpowiednio dużej energii tej fali przestrzeń zostanie zagięta całkowicie, w swego rodzaju pętlę. Takich efektów na skalę kosmiczną można się spodziewać w tzw. czarnych dziurach, ale to całkiem odrębny problem.

— I właśnie owo zagięcie przestrzeni wyjaśniałoby, pana zdaniem, takie fenomeny, jak kineza, prekognicja czy teleportacja?

— To bardzo prawdopodobne, zwłaszcza gdyby fale czy zaburzenia grawitacyjne rozchodziły się szybciej niż światło w próżni, a nawet, co nie jest wykluczone, nieskończenie szybko. Prędkość światła zmierzono bardzo dokładnie i to wieloma metodami, natomiast w odniesieniu do prędkości rozchodzenia się grawitacji można tylko czynić założenia z kontekście rozważań różnych teoretycznych przypadków. Zjawisko jasnowidzenia (wspomnę tu właściwości Czesława Klimuszki) możemy sobie na przykład wyobrazić jako pewien rodzaj grawitacyjnej holografii. Jasnowidz — po dostrojeniu fal wytwarzanych przez własny mózg do resztek grawitacyjnego obrazu pozostałego w jakimś przedmiocie (na przykład poszukiwanej osoby) — wysyła swoje fale w przestrzeń w różnych kierunkach. Po natrafieniu na poszukiwaną osobę lub jej ślad grawitacyjny fala powraca, niosąc oczekiwane informacje.

Być może podobnie dostrajają się różdżkarze do poszukiwanej wody czy minerałów. Zmysłu radiestezyjnego nie da się bowiem w żaden sposób wytłumaczyć oddziaływaniami elektrycznymi, magnetycznymi czy elektromagnetycznymi. Wszelkie próby w tym kierunku wydają się naiwne. Oczywiście mogą istnieć jeszcze inne oddziaływania, których nauka nie zna. Tylko że wtedy nie mówimy już o fizyce, lecz o magii.

Ale wróćmy do grawitacji. Otóż, jeżeli uda się nam wytworzyć w pewnym obszarze dostatecznie silną falę, niewykluczone, że zakrzywi ona współrzędne tak, iż obszar ten może przenieść się do innej przestrzeni.

— Jak to udowodnić?

— No cóż, to oczywiście tylko hipoteza; przy obecnym poziomie naszej wiedzy nie do udowodnienia, choć spotyka się już prace teoretyczne na te tematy. Ale proszę sobie przypomnieć z literatury popularnonaukowej koncepcję tzw. płaszczków, czyli istot płaskich (dwuwymiarowych), żyjących na określonej płaszczyźnie. Na innej, równoległej płaszczyźnie, żyją również płaszczeniaki. Komunikacja między nimi jest niemożliwa, gdyż brakuje połączenia. Jeżeli jednak z jakichś powodów, nawet na małym odcinku, powierzchnie te ulegną zagięciu, mogą się wówczas ze sobą zetknąć, a tym samym może dojść do przejścia płaszczeniaka w inną przestrzeń.

Nie chodzi tu rzecz jasna o to, byśmy tę plastyczną opowiastkę potraktowali serio. Gdyby jednak leżący u jej podstaw model rozumowania przenieść w nasz świat, można by założyć, że poza trzema znanymi wymiarami istnieje również jakaś nadprzestrzeń, za pomocą której udaje się przejść do innej przestrzeni wskutek zagięcia tej, w jakiej się znajdujemy.

— To chyba czysta fantazja?

— Niekoniecznie. Ostatnie hipotezy na temat tzw. Big--Bangu, czyli chwili zerowej, gdy czas jeszcze nie istniał, a materia miała potworną gęstość, głoszą, że powstało wtedy nieskończenie wiele przestrzeni, które nie mogą się ze sobą „komunikować”. Chyba że uległyby właśnie zagięciu.

Oczywiście nie zakładam, że każdy osobnik posiadający zdolności paranormalne, zawsze, kiedy zechce, wytwarza aż takie duże zakłócenia przestrzeni. Wiele zjawisk parapsychicznych (choćby te, które zachodzą mentalnie, to znaczy bez efektów kinetycznych — a więc różdżkarstwo, telepatia czy teledetekcja)

wykorzystuje raczej niewielkie zaburzenia grawitacji, czyli fale o bardzo małej mocy.

— Jeśli dobrze pana zrozumieliśmy, źródłem fal grawitacyjnych jest ludzki mózg?

— Niezupełnie. Ustalono już pewne ich źródła w organizmie człowieka, takie jak przysadka mózgowa, trzustka, opuszki palców (to ostatnie źródło bywa wykorzystywane na przykład do zginania łyżeczek przez ich pocieranie lub przykładanie rąk przez bioenergoterapeutów). Osobiście uważam jednak, że w ogóle samo zjawisko życia — w najszerszym pojęciu — jest oparte na grawitacji, a właściwie biograwitacji na poziomie molekularnym. Oczywiście „odpowiedzialne” za życie musiałyby być fale grawitacyjne o określonej częstotliwości, a nawet fazy charakterystycznej dla danego organizmu. Przykładem może być tu chociażby dostrajanie się bioterapeuty do pacjenta, by wzmocnić jego biopole, które nie jest przecież polem stałym. Jest w tej hipotezie — coraz bardziej na świecie uznawanej — jeszcze tysiące niewiadomych, niemniej wydaje się, że tłumaczy ona najlepiej i najpełniej wszystkie zjawiska paranormalne, które są rejestrowane i o których nie można powiedzieć, że ich nie ma.

— Profesor Włodzimierz Sedlak twierdzi, że życie jest światłem. Co pan o tym sądzi?

— Nie zgadzam się z tą hipotezą z kilku co najmniej powodów. Przez światło profesor Sedlak rozumie w szerokim pojęciu fale elektromagnetyczne. Jest faktem, że żyjemy w ogromnym „śmietniku elektromagnetycznym”, z czego nie zdajemy sobie sprawy. Nasze ciała przenikają miliony różnych fal radiowych, a także wiele rozmaitych pól magnetycznych i elektrycznych, emitowanych przez urządzenia, z których na co dzień korzystamy. Te pola i fale są nieraz zdecydowanie silniejsze od wytwarzanych przez komórki. Mimo to jakoś nie zmieniają drgań czy fal naszego życia. Gdyby więc życie miało charakter elektromagnetyczny, jak chce profesor Sedlak, dawno wyginęłoby na Ziemi.

Druga strona zagadnienia to oddziaływanie kinetyczne (na przykład u Joasi Gajewskiej). Postawmy pytanie: jak wysokich napięć musiałby dostarczać organizm dziewczynki, by rzucić o ścianę na przykład szklankę? Każdy, kto chociaż trochę pamięta ze szkoły elektrostatykę, rozumie, że musiałby to być potencjał rzędu milionów woltów, których przecież Joasia nie wytworzy. Potencjały, które u niej mierzono, są niewielkie. Mogą one natomiast stanowić efekt wtórny, to znaczy na przykład jonizacji otoczenia przez fale grawitacyjne. To samo dotyczy pól magnetycznych, które, dostatecznie silne, mogłyby ewentualnie wprawić w ruch klucz czy inny kawałek żelaza, ale już absolutnie nie przedmioty niemagnetyczne.

— A więc mózg nie jest tu istotny?

— Tego nie twierdzę. Ocenia się, że mózg ludzki, jego metabolizm, operuje mocą około kilkunastu watów. Założmy, że tylko 10 procent tej mocy, a więc 1 do 2 watów, daje się wypromieniować w postaci impulsu grawitacyjnego czy też fali grawitacyjnej, i porównajmy następnie ten wskaźnik z falą radiową. Otóż mając nadajnik o mocy na przykład 1 wata i kierunkową antenę, można się porozumiewać na odległość setek, a nawet tysięcy kilometrów. A przecież fale radiowe, gdy przebiegają w próżni, podlegają tłumieniu! Tymczasem telepatia i inne zjawiska tego typu w zasadzie nie dają się ekranować (przykład eksperymentów telepatycznych, które prowadzono z osobami znajdującymi się w łodziach podwodnych).

— Istnienie fal grawitacyjnych nie zostało jednak potwierdzone doświadczalnie...

— Problem polega na ich wykryciu, a więc skonstruowaniu urządzenia, które zamieniałoby fale grawitacyjne w sposób możliwie wierny (to znaczy nie zmieniając na przykład ich częstotliwości) na energię dobrze nam znaną, jak prąd elektryczny, który już potrafimy wzmocnić i zarejestrować. Próby takich detekcji — poprzez bezpośrednie oddziaływanie na masę skupioną (na przykład w postaci kilkunastu walców metalowych, wyposażonych w przetworniki drgań na prąd elektryczny) — prowadzi co najmniej kilkanaście ośrodków naukowych na świecie. Konstruowane są w tym celu coraz czulsze urządzenia; na przykład przez oziębianie walcowej anteny do temperatury ciekłego helu uzyskuje się kilkudziesięciokrotny wzrost czułości. Bada się też zjawisko równoczesności sygnałów, uzyskiwanych z detektorów oddalonych od siebie o kilkaset, a nawet kilka tysięcy kilometrów, by wykluczyć wpływy sejsmiczne. W swoim opracowaniu Rudenko i Bragiński podają projekty innych detektorów, znacznie czulszych, wykorzystujących zresztą podobną zasadę, ale umożliwiających rejestrację fal o wysokich i niskich częstotliwościach.

Wydaje się jednak, że nie jest to nadal rozwiązanie, o jakie by chodziło. Pomiedzy elektromagnetyzmem a grawitacją istnieją niewątpliwie pewne zależności, które pozwalają na detekcję czy wytwarzanie fal grawitacyjnych ze znacznie większą efektywnością, niż zwykły ruch wirowy dwu jednakowych mas dookoła wspólnego środka ciężkości. I taka formuła (czy równanie) z pewnością kiedyś zostanie znaleziona (ostatnio jest dużo badań teoretycznych na ten temat), a jej odkrywca otrzyma Nagrodę Nobla. Co się jednak stanie wówczas z całym naszym światem, naszą rzeczywistością trudno obecnie przewidzieć.

— Jak cała ta sprawa ma się do fenomenu Joasi Gajewskiej?

— Joasia musi wytwarzać jakieś lokalne zakłócenia ziemskiego pola grawitacyjnego czy też ukierunkowane fale grawitacyjne. Stąd te przemieszczające się gwałtownie przedmioty i inne zjawiska.

— Czy zatem, zdaniem pana, za pomocą dostępnych obecnie w fizyce instrumentów badawczych możliwe rozwiązanie zagadki?

— Nie, gdyż mierzą one jedynie efekty wtórne promieniowania grawitacyjnego (jak wzrost potencjału wskutek jonizacji), nie zaś samą falę grawitacyjną. Aby znaleźć klucz do zjawiska, konieczna byłaby nowa zasada detekcji i oparty na niej typ detektora (na przykład urządzenia mierzącego zakrzywienie przestrzeni na niewielkim obszarze rzędu centymetra sześciennego). I trzeba nad tym pracować, a Joasia mogłaby tu z powodzeniem spełniać rolę lokalnego generatora niejednorodnej fali grawitacyjnej, którym niewątpliwie jest, jakkolwiek w sposób nieświadomy.

SZCZEGÓLNY METABOLIZM KOMÓRKOWY

Rozmowa z prof. Lechem Janem Radwanowskim

Lech Jan Radwanowski — architekt i biocenotyk. Studia I stopnia ukończył na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, zaś II stopnia (w 1955 roku) na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej. Długoletni wykładowca (profesor kontraktowy) wyższych uczelni za granicą, m. in. w Nigerii oraz Libii. Autor kilkudziesięciu zrealizowanych projektów architektonicznych, prac studialnych i konkursowych. W centrum zainteresowania Lecha Radwanowskiego znajdują się problemy kształtowania i inżynierii środowiska, zgodnie z zasadami biocenotyki oraz badania cech podziemnych wód. Uwieńczeniem tych prac jest jego teoria GeoMHD dotycząca charakteru promieniowania cieków wodnych. Głosi ona, iż promieniowanie to, mające charakter bardzo złożony, stanowi swoisty rodzaj drgań geomagnetohydrodynamicznych i składa się z fal elektromagnetycznych (fotonowych), fal akustycznych (fotonowych) oraz tzw. fal Alfena.

Lech J. Radwanowski był współzałożycielem i — w latach 1983—1984 — prezesem Polskiego Towarzystwa Biocenotycznego, obecnie już nie istniejącego. Członek World University w Tucson (Arizona, USA). Uważa się go za kontynuatora poszukiwań prof. Stefana Manczarskiego w dziedzinie badań tzw. zjawisk niestatystycznych (biotronika).

*

— Był pan jedną z pierwszych osób, które po manifestacji fenomenu psychokinetycznego Joasi Gajewskiej w kwietniu 1983 roku prowadziły z dziewczynką testy i doświadczenia. Jaka jest generalna pana hipoteza, dotycząca przyczyn powstania tych zjawisk?

— Zanim odpowiem na to pytanie, należałoby powiedzieć kilka słów niejako *ab ovo*. Otóż pokutuje u nas ciągle w obiegu termin „zjawiska paranormalne”, który trudno uznać za właściwy. Sugeruje on bowiem mylnie brak pojęć filozoficznych czy fizycznych, które pozwoliłyby określić interesujący nas przedmiot badań. Jeszcze mniej adekwatne jest używane niekiedy określenie „zjawiska metafizyczne”, jeśli zważyć, że współczesne interpretacje wszechświata dotyczą fazy metamorficznej stanu mezomorficznego. Wszystko to stanowi rezultat swoistej bezradności nauki w obliczu zjawisk, którym musi stawić czoło.

Uważam, że nauka jest działalnością, w której nie ma miejsca na jakieś „para”. Jest w niej natomiast miejsce na pojęcia wynikające z obserwowanych zjawisk, które nie mogą być przypadkowe, gdyż przeczyłoby to rachunkowi prawdopodobieństwa. I myślę, że nie ma powodu, abyśmy nie akceptowali tych reguł również w kontekście problemów, o jakich dyskutujemy.

Zajmuję się problematyką zjawisk biotronicznych już od ponad trzydziestu lat. Zaczęło się w 1956 roku od aspirantury u profesora Szymona Syrkusa. Pisałem wówczas pracę poświęconą promieniowaniu brył i kształtów, korzystając w trakcie jej przygotowywania między innymi z konsultacji profesorów Józefa Gołąba i Stefana Manczarskiego. Od początku wierzyłem przy tym w **fizykarność** zmysłu radiestezyjnego i możliwość wykorzystania go jako kwantyfikatora jakości zdrowotnej środowiska. Niestety, nie udało mi się osiągnąć złożonych celów, przede wszystkim z powodu braku zrozumienia dla tego typu problemów. Nie było wówczas elektrochemii, elektrofizjologii i biofizyki z prawdziwego zdarzenia, nie ukazały się jeszcze prace Wiktora Biernackiego, Stefana Manczarskiego, Juliana Aleksandrowicza, Włodzimierza Sedlaka, Arkadiusza Górala oraz Ireneusza Janczarskiego, które — pośrednio — uitorowały drogę badaniom zjawisk uchodzących za paranormalne, a w rzeczywistości mających określone, fizyczne tło.

Do tego typu przypadków zalicza się właśnie fenomen Joasi Gajewskiej z Sosnowca. W momencie, gdy zaczął się on manifestować, dziewczynka miała 13 lat, a więc znajdowała się w fazie typowej dla wieku dojrzewania. Dojrzewanie to przebiegało jednak w szczególny sposób, uwarunkowany specyficznymi cechami osobniczymi.

Gdy w kwietniu 1983 roku po raz pierwszy udałem się do Sosnowca wraz z nieżyjącym już inżynierem

Feliksem Haczewskim, przeprowadziliśmy z Joasią Gajewską serię testów oraz prób. Były wśród nich między innymi: test telepatyczny Manczarskiego z kostkami grafitowymi, pomiar temperatury ciała dziewczynki (zarówno podczas doświadczeń, jak i przed ich rozpoczęciem oraz po zakończeniu), sterowanie strużką nadmanganianu potasu w kolbie wypełnionej wodą, rozładowanie ogniów o napięciu 1,5 wolta, wyginanie łyżeczek i innych metalowych przedmiotów, przesuwanie piłeczek pingpongowych pływających po powierzchni wody, obserwacja procesu pocenia się dziecka podczas wykonywania rozmaitych czynności, pomiar różnicy potencjałów między dłońmi oraz oporności skóry opuszków palców, badanie kwasowości i zasadowości krwi itp. Chciałbym przy tym dodać, że dobór poszczególnych testów był aranżowany spontanicznie w zależności od sytuacji oraz notowanych przez nas na gorąco obserwacji. Chodziło o to, by zebrać materiał maksymalnie przydatny z punktu widzenia dalszej pogłębionej analizy zjawiska. Z różnych powodów, o których nie chciałym mówić, gdyż nie jest to tematem naszej rozmowy, w analizie tej w późniejszym okresie nie brałem udziału. Niemniej poczynione przeze mnie wstępne obserwacje umożliwiły sformułowanie pewnych konkretnych wniosków.

— Jakże to wnioski?

— Zaczniemy niejako od elementarza. Człowiek jest układem termodynamicznym, zasilanym z zewnątrz energią, a od wewnątrz procesami oddychania. Mówiąc innymi słowami, stanowi określony układ reaktywności biologicznej, działający na zasadzie bodziec — reakcja. Żyje przy tym w biosferze, składającej się z olbrzymiej liczby układów tego typu, o różnym stopniu złożoności, różnych strukturach materialnych i wynikających stąd stanach wzbudzenia energetycznego materii. Wszystkie części składowe biosfery są ośrodkami wzbudzenia charakteryzującymi się wewnętrznymi transformacjami materii i energii. W wyniku tych przeobrażeń wspomniane układy (ośrodki) wytwarzają pewne pola sił, oddziałujące na siebie w sposób dynamiczny, a zarazem prowadzące do powstania określonej, dynamicznej równowagi. Ogólnie można je nazwać właśnie **polami oddziaływań**, nie wchodząc na razie w ich fizyczne cechy i strukturę.

Człowiek jest ośrodkiem koloidalnego stanu materii, składającej się ze struktur o różnym stopniu złożoności i wzbudzenia. Jest ośrodkiem zbudowanym ze substruktur (nukleotydy, łańcuchy polipeptydowe) oraz struktur (komórki, tkanki, organy). Zarazem składa się on z takich samych pierwiastków, jak cała biosfera. Niektóre z nich, jak sód, magnez, fosfor, potas, siarka, chlor, kobalt, azot, żelazo, są strukturalnie stałe, inne, jak glin, tytan, nikiel, arsen, srebro, stront, chrom — są niestale. W organizmie występują wreszcie pewne pierwiastki w postaci śladowej, nadające ośrodkom wzbudzenia określone cechy osobnicze (np. hel, lit, beryl, argon, skand, gal, rad, german, ołów, wolfram, złoto, rtęć, selen).

Do czego zmierzam? Stan wzbudzenia człowieka jako ośrodka koloidalnego jest jego metabolizmem. Natomiast zasilanie można przyrównać do działania bodźców, wpływających na formowanie się podstawowych struktur organizmu. Metabolizm to nic innego, jak proces transformacji wewnętrznych, w wyniku których zjawisku wzbudzenia energetycznego towarzyszy emisja. Stanowi ona efekt oddziaływania całego układu, jakim jest człowiek, i manifestuje się na zewnątrz. Dawniej nazywano ją aurą, dziś częściej używa się pojęcia: biopole. Ze swej strony uważam, że najlepiej mówić tu ogólnie o **polach oddziaływania człowieka**, gdyż mają one cechy zarówno pól (sił), jak i ośrodka informacji.

Jak z tego wszystkiego wynika, ludzka reaktywność (a ściślej mówiąc jej określona selektywność) sprawia, iż człowieka należy traktować jako swoisty detektor bodźców (sygnałów) wytwarzanych przez niego samego oraz odbieranych z zewnątrz. Nie tylko energetycznych, lecz również — podkreślam nie bez powodu — informacyjnych. Informatyczny składnik indywidualnej reaktywności przejawia się bowiem niekiedy w postaci zjawisk uznawanych za paranormalne, takich jak jasnowidzenie, telepatia itp. W przypadku Joasi Gajewskiej nasze testy ujawniły taką właśnie reaktywność. Jeszcze spontaniczną, ale już osobniczą.

— W rozmowach, jakie niejednokrotnie prowadziliśmy, kładł pan nacisk na specyficzny metabolizm komórkowy, zachodzący w organizmie Joasi, którego rezultatem są między innymi przebiegające odmiennie niż u przeciętnego człowieka transformacje potencjałów czynnościowych. W tym kontekście zwracał pan uwagę na znaczenie takich badań, jak pomiar temperatury ciała, różnicy potencjałów między rękami, oporności skóry, szczególnie na palcach oraz analiza kwasowości krwi. Czy mógłby pan szerzej rozwinąć to zagadnienie, a zwłaszcza uzasadnić, dlaczego właśnie wymienione badania byłyby potrzebne?

— Znamiennym objawem w przypadku Joasi Gajewskiej były między innymi dochodzące do 43 stopni wskazania termometru, którym mierzyliśmy temperaturę jej ciała, przy jednoczesnym braku odczuwania „gorączki”. Zaobserwowaliśmy również, że występowaniu zmęczenia podczas wzmoczonego wysiłku fizycznego nie towarzyszyło pocenie się. W pierwszym przypadku, jak można sądzić, wskazywałoby to na efekt termiczny pola magnetycznego działającego na rtęć, w drugim — zatrzymywanie przez organizm wody oraz sodu. Sód — tak jak potas — w obecności chloru jest aktywnym pierwiastkiem „transportującym” energię. Łatwo też łączy się z tlenem. W wyniku połączenia sodu z wodą wyzwala się energia cieplna, wodór

i wodorotlenek sodowy. Sód także ma zdolność do samowzbudzalności i odznacza się niskimi energiami jonizacji aż trzech elektronów. Ponadto czas połowicznego rozpadu jego izotopów wynosi odpowiednio: 2, 6 lat lub 15 godzin (na magnez i neon). Tworzy to energie wzbudzające oraz większe ilości wodoru, który „nie zdąży” brać udziału w przemianach metabolicznych. Wskutek tego jest źródłem szczególnej emisji, manifestującej się na zewnątrz.

Do jej najbardziej charakterystycznych przejawów należą na przykład efekty akustyczne zachodzące w obecności Joasi. W pewnym uproszczeniu można je przyrównać do zjawiska osiąganego w laboratorium podczas „wybijania” z orbity elektronu pierwiastka wodoru lub węgla. Natomiast efekty kinetyczne w postaci przemieszczania się przedmiotów w otoczeniu dziewczynki są takie, jakie występują prawdopodobnie w warunkach antygrawitacyjnych.

Wreszcie odkształcanie — poprzez pocieranie — łyżeczek i innych stalowych przedmiotów oraz łamanie sztućców aluminiowych, można, moim zdaniem, wytłumaczyć różnicowaniem dyslokacji elektronów w strukturze materii, co pozwala na zmiany w samej ich sieci.

Metale — wyjaśnijmy od razu — to sieć dodatnich jonów w gazie elektrycznym. Wprowadzenie określonej energii zwiększa energię elektronów ponad bariery potencjałów, dzięki czemu, jak można przypuszczać, w poszczególnych fazach tego stanu specyficzny metabolizm Joasi umożliwia pojawienie się zjawisk tunelowych, znanych fizyce kwantowej i normalnie występujących w niskich temperaturach, a polegających na przenikaniu cząstek przez bariery potencjałów w sposób sprzeczny z klasyczną fizyką.

— Ostatnio manifestacje psychokinetyczne w otoczeniu Joasi zaczynają przybierać nowe formy, między innymi pojawiają się w różnych punktach mieszkania leżącej się z sufitu wody w sytuacji, gdy wykluczono uszkodzenia przewodów kanalizacyjnych. Co pan na to?

— Wykraplanie się wody stanowi efekt płanetnikowy, wskazujący na zachodzenie reakcji: OH^- (rodnik wodorotlenowy) + H^+ (wodór) daje H_2O (wodę) oraz $\text{H}_3\text{O}^+ + \text{OH}^-$ daje $2\text{H}_2\text{O}$, których składniki pochodzą z radiolizy wody. Joasia Gajewska — jako generator i detektor określonych fal elektrodynamicznych i termicznych — może doprowadzić do takich właśnie reakcji.

— Czy pana zdaniem generatorem zaburzeń jest cały organizm dziewczynki, czy tylko jego poszczególne części?

— Podczas przeprowadzanych badań i obserwacji stwierdziliśmy, że wspomniane efekty zachodzą zarówno wówczas, gdy Joasia siedzi, leży, jak i stoi, niemniej koncentrują się na poziomie jej głowy. Na przykład podczas jednego z doświadczeń stojąca przede mną na stole szklanka z herbatą (dziewczynka siedziała w tym momencie na podłodze, a więc jej głowa znajdowała się mniej więcej na wysokości stołu) nagle jak gdyby „zafalowała” (efekt podobny do falowania powietrza nad rozgrzanym asfaltem), zaś w chwilę później zniknęła, czemu towarzyszył donośny huk (implozja). W tym właśnie momencie, jak się przekonaliśmy, szklanka uderzyła o ścianę, tłukąc się na drobne kawałki.

— Czy istnieje, pana zdaniem, szansa samosterowania wspomnianymi zjawiskami przez dziewczynkę? I pytanie wiążące się z poprzednim: czy widzi pan możliwość sprowokowania tego typu efektów dla celów badań naukowych (na przykład w warunkach laboratoryjnych), a jeśli tak, to w jaki sposób?

— Dotychczasowe obserwacje dowodzą, że efekty kinetyczne manifestują się wówczas, gdy Joasia choćby przez moment jest rozluźniona, wolna od wewnętrznych napięć, których jej nie brakuje. Trzeba bowiem pamiętać, że szkody materialne, jakie wywołuje przemieszczanie się przedmiotów, siłą rzeczy wpływają na dziewczynkę stresująco. Rodzice czynią jej z tego powodu wyrzuty i trudno im się dziwić. Z drugiej zaś strony, pragnąc za wszelką cenę udowodnić swoje zdolności w obecności większej liczby obserwatorów, nie zawsze życzliwych, Joasia blokuje się psychicznie. W rezultacie próby takie kończą się najczęściej niepowodzeniem.

— Wielu niezależnych od siebie i bezstronnych świadków (osoby spoza rodziny) potwierdza występowanie zjawiska przenikania przedmiotów przez przeszkody. Wydaje się to graniczyć z fantazją, niemniej wiele wskazuje, iż mamy do czynienia z faktem realnym (między innymi relacje świadków tego typu manifestacji na przełomie stycznia i lutego 1985 roku w sanatorium w Zakopanem). Czy mógłby pan profesor zinterpretować to zjawisko na gruncie fizyki? Czy jest ono w ogóle wytłumaczalne (przejście jednego obiektu fizycznego przez drugi)? I jak to wyjaśnić, jeśli nie chcemy odwoływać się do cudów?

— Wcale nie trzeba odwoływać się do cudów. Wystarczy w tym celu wyobrazić sobie elastyczność elektronu i wiązań budujących materię — jako przykład niech posłuży tzw. pamięć magnetyczna odnosząca się do formy przestrzennej — by uznać wspomniane efekty za prawdopodobne.

Spróbujmy sobie przez chwilę pofantazjować. Zjawisko, o którym rozmawiamy, oznacza przenikanie jednego ośrodka materialnego przez drugi. Uporządkowanie struktury ciała stałego polega na odpowiednim ułożeniu tworzących je cząstek na stosunkowo dużym — w porównaniu z rozmiarami każdej cząstki — obszarze, przy czym „lepiszczem” tej struktury są elektrony. Jakkolwiek struktura elektronu jest nieznana

(zwłaszcza jego jednej trzeciej masy nie przemiennej na energię), przyjęte modele pozwalają na dynamiczne wypełnianie elektronu przemieszczanymi okresowo cząstkami elementarnymi. Zmienność energii, ruchu, drogi i kształtu może więc zapewnić w określonych warunkach elastyczność wiązań, dzięki czemu prawdopodobne staje się zjawisko przenikania.

— Czy pana zdaniem w przypadku Joasi efekty kinetyczne, które trwają już ponad trzy lata, po ostatecznym zakończeniu okresu dojrzewania zanikną czy też będą trwały nadal?

— Jak rozumiem, jest to również pytanie o „ekonomizację” wspomnianych zjawisk w odniesieniu nie tylko do dziewczynki, lecz również innych ludzi, posiadających tego typu własności osobnicze. Otóż ogólnie można powiedzieć, że wypracowanie takiej „ekonomizacji” jest najłatwiejsze w pierwszych dwóch latach od chwili wystąpienia efektów. Niektóre z nich zresztą definitywnie zanikają po zakończeniu cyklu dojrzewania, zazwyczaj po roku. Jeśli natomiast trwają nadal, mogą przybierać niebezpieczną postać. Z przekazanych przez państwa informacji wynika, że ostatnio coraz częściej zdarzają się przypadki uderzenia Joasi odłamkami szkła i kaleczenia jej. Wskazuje to, moim zdaniem, na wystąpienie czy też spotęgowanie się u dziewczynki stresów i stanów nerwicowych, które zmieniają cechy oddziaływania jej emisji. Nie jest to, niestety, prognoza pomyślna.

Na pocieszenie chciałbym jednak powiedzieć, że każdy człowiek o właściwościach ekstrasensytywnych posiada zdolność sterowania swoją osobowością w zakresie odbioru i generowania określonych bodźców. Chodzi tu o wypracowywaną z biegiem czasu umiejętność zawężania, uściślenia oraz modelowania otrzymywanych sygnałów. Tę zdolność można w sobie wykształcić i rozwinąć pod warunkiem, że rozumie się, przynajmniej w ogólnym zarysie, mechanizm zjawiska. Tym właśnie tłumaczona jest joga, różnego rodzaju medytacje oraz inne metody i techniki wprowadzania się w stan zmienionej świadomości. Hipersensytywiści, zwłaszcza wywodzący się z kręgu Dalekiego Wschodu, potrafią na przykład bezbłędnie osiągnąć stan rozluźnienia (niesłusznie nazywanego koncentracją). Podczas niego nie słyszą oni ani nie widzą w przeciętnym przedziale reaktywności, doznając natomiast innych wrażeń wizualnych i słuchowych. Chodzi tu o swoiste wyizolowanie się w żądanym momencie, nawet na około pół minuty. Opanowanie przez Joasię tej umiejętności, tak powszechnej w krajach Dalekiego Wschodu, mogłoby, moim zdaniem, wydatnie ograniczyć efekty kinetyczne i sprowadzić je do rozsądnych rozmiarów.

SPECYFICZNY TRANSFER PÓLKUL MÓZGOWYCH

Rozmowa z dr. Mirosławem Harciarkiem

Mirosław Harciarek — doktor psychologii. Urodzony w 1950 roku w Sosnowcu. Zajmuje się badaniem pracy półkul mózgowych z wykorzystaniem zjawisk obrazów następczych. Prowadzi działalność psychoterapeutyczną, stosując m. in. techniki hipnozy oraz psychoterapię indywidualną. Jako pracownik naukowy Instytutu Psychologii Uniwersytetu Śląskiego wchodził w skład zespołu, badającego fenomen Joasi Gajewskiej z Sosnowca. Aktualnie adiunkt w Zakładzie Psychologii Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach. Specjalizuje się w terapii nerwic.

*

— Czy to prawda, że z chwilą otrzymania propozycji wejścia w skład zespołu badającego fenomen psychokinetyczny Joasi Gajewskiej odniósł się pan do niej z dużą rezerwą, nie kryjąc sceptycyzmu co do realności zjawiska?

— Tak było rzeczywiście. O przemieszczaniu się przedmiotów w obecności trzynastoletniej dziewczynki dowiedziałem się z reportażu telewizyjnego. Zrelacjonowane w nim wydarzenia zainteresowały mnie. Doszedłem do wniosku, że dobrze byłoby przebadać zjawisko w sposób ściśle naukowy. Próby objaśnienia go przez „ekspertów” występujących w programie telewizyjnym wydały mi się naiwne, zwłaszcza że odwoływano się do radiestezji, która sama wymaga wyjaśnień. Sądziłem, że zagadkę można spróbować zinterpretować za pomocą badań psychologicznych.

— Więc jednak z tym sceptycyzmem to przesada?

— Państwo mnie źle zrozumieli. Byłem po prostu przekonany, że „odpowiedzialna” za efekty, o których mówiono, jest sfera psychiczna, co nie tylko nie wykluczało mistyfikacji, lecz nawet w pewnym stopniu stawiało ją na pierwszym miejscu wśród możliwych do rozważenia hipotez. Ale i w takim przypadku ciekawe było dla mnie ustalenie, jacy ludzie i w jakim celu dopuścili się tego typu mistyfikacji. Natomiast gdybyśmy mieli do czynienia z rzeczywistym fenomenem psychokinezy, wówczas frapująca mogłaby się okazać konstrukcja psychiczna Joasi.

— Co było dalej?

— Bodajże w dwa dni później zadzwonił znajomy, która w imieniu doktora Eustachiusza Gaduli ze szpitala w Reptach Śląskich zaczął mnie namawiać do podjęcia badań psychologicznych z Asią. Twierdził, że powstaje zespół naukowy, który będzie zajmował się fenomenem, i do kompletu brakuje tylko psychologa.

W trakcie tej rozmowy zdałem sobie jednak sprawę z bardzo skromnego zaplecza badawczego, jakim dysponowałem, a zwłaszcza z ubogich i mało przydatnych w takiej sytuacji standardowych technik oraz metod psychologicznych. Badania zaplanowano w Centralnym Szpitalu Rehabilitacyjnym w Reptach. Ponieważ mieli wziąć w nich udział liczni specjaliści, uznałem, że będę zapewne dysponował niewielką ilością czasu i nie uda mi się wykorzystać nawet tych metod, jakimi ewentualnie mógłbym się posłużyć. Ponadto przeraził mnie ogrom pracy i perspektywa jej mizernych wyników. Powiedziałem o tym wszystkim znajomemu, dodając, że jedyne, na co miałbym ochotę, to przeanalizowanie fenomenu trzynastolatki z punktu widzenia psychologii Carla Gustava Junga (w tamtym okresie prowadziłem z tej tematyki seminarium na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Śląskiego). Aby jednak zrealizować taki zamysł, musiałbym mieć więcej czasu, niż — jak spodziewałem się — będą mi mogli zaoferować w Reptach. W pierwszej więc chwili — po rozważeniu wszystkich „za” i „przeciw” — odmówiłem.

Znajomy powiedział wówczas: „Przecież zajmujesz się powidokami i mógłbyś tę dziewczynę zbadać za pomocą swojej aparatury”. Rzeczywiście, zajmowałem się obrazami następczymi, czyli powidokami, i badałem ich występowanie u różnych osób. Tyle że nigdy nie dotyczyło to ludzi legitymujących się zdolnościami parapsychicznymi. Niemniej ostatni argument przekonał mnie i ostatecznie propozycję przyjąłem.

— Jak wynika z zapisu przebiegu pierwszych doświadczeń z dziewczynką przeprowadzonych w szpitalu w Reptach, długo był pan nieufny...

— Istotnie, moje ówczesne nastawienie w odniesieniu do realności fenomenu określiłbym jako wysoce krytyczne. Krytycyzm ten wynikał przede wszystkim z faktu, iż ja sam nigdy nie byłem świadkiem zjawisk psychokinetycznych, wywołanych przez Asię, zaś relacje innych osób na ten temat wydawały się dwuznaczne i nieprzekonywające. Moją nieufność budziła zwłaszcza szybkość przebiegu tych zjawisk oraz wrażenie działania jakiegoś „chochlika”, który płata psoty. Naoczni świadkowie, mimo iż wszystko działo się w ich obecności, poza skutkami właściwie niczego nie widzieli. Co można było naprawdę zobaczyć, to jedynie porozbijane przedmioty lub ślady porozlewanych na ścianach płynów, nie różniące się od śladów, jakie pozostają, powiedzmy, po rodzinnej awanturze. Nic więc dziwnego, że początkowo mocno wątpiliśmy w działanie sił parapsychicznych. Znacznie prostsze i poręczniejsze wydawało się inne wyjaśnienie.

— Ostatecznie jednak, krok po kroku, przełamał pan swój wewnętrzny opór. Jak do tego doszło?

— Zdecydowałem się przyjąć postawę badacza psychiki Joasi, a nie kogoś, kto za cel badań obrał sobie weryfikację związanego z jej osobą fenomenu — prawdziwego lub tylko urojonego. Z doświadczeń Junga wiedziałem, że podważanie i zbyt łatwe lekceważenie takich zjawisk do niczego nie prowadzi. Zapamiętałem zwłaszcza historię kuzynki Junga, która odznaczała się zdolnościami parapsychicznymi. Wskutek pochopności sądów Jung utracił przypuszczalnie bardzo ciekawy obiekt badań. W trakcie eksperymentów przyłapał on dziewczynę na mistyfikacji i tak się zdenerwował, że zaprzestał dalszych doświadczeń z nią, sądząc, iż ma do czynienia z nieodpowiedzialną oszustką. Z czasem okazało się, że kuzynka miała prawdopodobnie autentyczne zdolności parapsychiczne, jednakże nie potrafiła nimi kierować i, nie chcąc rozczarować do siebie uczonego, postanowiła sama wywołać „cuda”. Błąd polegający na zaprzestaniu badań Jung zrozumiał dopiero po latach, kiedy kobieta zachorowała na dziwną chorobę, w trakcie której cofała się w rozwoju intelektualnym. Umarła w młodym wieku z psychiką kilkuletniego dziecka.

Faktem jest, że moja sceptyczna postawa w odniesieniu do fenomenu Joasi Gajewskiej wyznaczyła w pewnym stopniu podejście metodologiczne do badań, które postanowiłem zrealizować w dwóch etapach. Pierwszy z nich sprowadzał się do zebrania dokumentacji psychologicznej na podstawie standardowych metod stosowanych w praktyce psychologicznej, tak, aby można było sporządzić charakterystykę Joasi na tle jej rówieśnic. Drugi natomiast oznaczał zaaranżowanie badań, które pozwoliłyby rzucić nieco więcej światła na ewentualne zdolności psychokinetyczne dziewczynki.

— Co z tych zamierzeń wynikło?

— Badania przeprowadzałem od maja 1983 roku do końca 1984 z niewielkimi przerwami. Postanowiłem przy tym nie stosować więcej niż trzy testy jednego dnia. Chodziło głównie o to, by na osiągnięte wyniki nie miało wpływu zmęczenie dziecka. W celu dokładniejszej interpretacji uzyskanych rezultatów do niektórych badań włączyłem również rodziców Joasi. Procedurę taką zastosowałem na przykład w odniesieniu do testu MMPI.

Standardowe metody badań psychologicznych, za pomocą których przebadano Joasię Gajewską, były

następujące: 1. Skala Inteligencji Wechslera-Belevue'go. 2. Test Ravena. 3. Test Bentona. 4. Test Graham Kendal. 5. Badanie lateralizacji. 6. Piktogram według Rubinsteina. 7. Test Kraepelina. 8. Test Couvego. 9. MMPI. 10. Test Rorschacha. 11. Test TAT Marraya. 12. Test Szondięgo. 13. Test Piramidy Barwnej. 14. Test Lüschera. 15. Test Rozenzweiga. 16. Test Drzewa Kocha. 17. Test Uzupełniania Zdań Sacksa i Sidney. 18. Test EFT Witkina. 19. Kwestionariusz do Badania Temperamentu Strelaua. 20. Test MPI Eysencka. 21. Test ACL Gougha i Heilburna. 22. Arkusz Samopoznania Cattella. 23. Skala Temperamentów Thurstone'a. 24. Jaki jesteś? — według Choynowskiego i Skrzypek. 25. Autoportret Psychologiczny Steina. 26. Kwestionariusz Samooceny Spilberga. 27. Skala Jawnego Niepokoju Taylor. 28. Inwentarz bodźców wyzwalających reakcję strachu według Wolpego. 29. Kwestionariusz Willoughby służący do samooceny reakcji lękowych w wersji zmodyfikowanej przez Wolpego.

— Wszystko to brzmi szalenie poważnie, ale — powiedzmy sobie szczerze — laikom niewiele mówi.

— Wiem o tym. Wspomniane testy i badania wymieniłem dlatego, że mają one pewną wartość jako dokument pomagający stworzyć psychologiczną sylwetkę Joasi Gajewskiej, zresztą w ograniczonym zakresie. Nie wnosząc niczego nowego do procesu poznania fenomenu psychokinezy, stanowiły istotny punkt wyjścia do sformułowania bardziej konkretnych hipotez badawczych. Pozwoliły również porównać wyniki uzyskane przez dziewczynkę w testach z rezultatami innych dzieci odpowiadających jej wiekiem.

Natomiast podstawą drugiego etapu badań — oprócz uwzględnienia w nim wyników testów przeprowadzonych w pierwszej fazie — był dokładny wywiad dotyczący rozwoju Joasi, jej całego życia oraz stosunków panujących w rodzinie.

— No, właśnie wyniki. Czy mógłby pan je ogólnie scharakteryzować?

— Jeśli chodzi o standardowe testy psychologiczne, nie zauważyliśmy żadnych istotnych odchyień od normy. Na podstawie uzyskanego tą drogą materiału nie można więc było jednoznacznie określić, jaka cecha lub właściwość psychiki Joasi związana jest z psychokinezą. Udało się jedynie ustalić ogólny kierunek dalszych badań.

Natomiast testy organiczne oraz badania lateralizacji zgodnie wykazywały, iż w dalszych poszukiwaniach należy skoncentrować się na dokładniejszym poznaniu funkcjonowania półkul mózgowych dziewczynki. Wniosek był o tyle interesujący, że wielu dotychczasowych badaczy zjawisk parapsychicznych łączy tego typu zdolności właśnie z funkcjonowaniem półkul, a zwłaszcza z półkulą prawą.

Skorzystałem tu z własnych doświadczeń wynikających z badania obrazów następczych, czyli powidoków. Mówiąc w pewnym uproszczeniu, powidoki to wrażenia wzrokowe, jakich doznajemy na skutek wcześniejszej stymulacji układu wzrokowego. Powidokami są więc barwne plamy w oczach na przykład po uprzednim wpatrywaniu się w tarczę słoneczną. Związek tak rozumianych obrazów następczych z funkcjonalną asymetrią półkul mózgowych ma charakter dwojaki. Po pierwsze obrazy następcze są uwarunkowane pracą półkul mózgowych, a po drugie, zgodnie z tym, co wiemy na temat zależności między gałkami ocznymi a półkulami, badając powidoki w oku lewym czy prawym, pośrednio badamy funkcjonowanie poszczególnych półkul. Wykorzystanie obrazów następczych do badania pracy mózgu wydaje się interesujące również dlatego, że za pomocą specjalnych technik możemy określić transfer pobudzenia, jaki przechodzi z jednej półkuli do drugiej, czego nie da się stwierdzić innymi metodami.

— Znalazł pan coś szczególnego?

— Porównując wyniki badań obrazów następczych lewego i prawego oka można powiedzieć, iż prawa półkula Joasi charakteryzuje się wzmoczoną aktywnością. Powidoki, powstałe w wyniku jej pracy, były wielobarwne, dobrze zróżnicowane, podczas gdy powidoki z lewej półkuli miały charakter globalny, nierzadko fragmentaryczny, szybko znikwały i okazywały się najczęściej achromatyczne. Warto zaznaczyć, że u innych osób nie spostrzega się tak dużej asymetrii w zakresie tego zjawiska, tak dużego zróżnicowania między obrazami następczymi prawej i lewej półkuli.

— Jaki stąd wniosek?

— Badając powidoki dziewczynki inną metodą ustaliłem, że w prawej półkuli efekty następcze utrzymują się dłużej, co jest jedną z cech charakteryzujących tzw. normę psychiczną. Zarazem jednak uzyskałem wynik, który należało uznać za zupełnie wyjątkowy: **bardzo silny transfer obrazów następczych z półkuli prawej do lewej, ale nie odwrotnie. Był on czterokrotnie większy niż normalnie i wynosił około 180 procent.** Rezultat ten można zinterpretować jako generowanie napięcia na skutek współpracy półkul, przy czym kierunek przepływu napięcia jest od prawej do lewej półkuli.

Analiza otrzymanych wyników oraz wcześniejsze badania pacjentów oddziału psychiatrycznego pozwoliły mi zaproponować całościowy model pracy mózgu, który nazwałem **tranzystorowym modelem współpracy półkul mózgowych**. Wyjaśnia on problem tzw. energii psychicznej. Może być ona rozumiana z jednej strony jako subiektywne poczucie siły psychicznej potrzebnej do działania, z drugiej zaś jako siła, obserwowana w postaci skutków, które swoim działaniem lub swoją obecnością wywołuje dany podmiot.

Energia psychiczna w tym ujęciu stanowi więc siłę powstającą dzięki współpracy półkul, a model tranzystorowy jest mechanizmem generowania energii psychicznej. Otwarty pozostaje natomiast problem natury tej siły.

Inny, bardzo interesujący, wynik badań dotyczył powidoków barwnych. Co to są powidoki barwne? Otóż, patrząc na przykład przez 30 sekund na zielone kółko, po chwili, kiedy przeniesiemy wzrok na białą kartkę papieru, widzimy na niej kółko o barwie czerwonej. Jest to właśnie powidok barwny. Kolory, jakie mają powidoki, stanowią dopełnienie barwy wywołującego je bodźca. Oznacza to, że czerwony bodziec wywołuje powidok zielony, żółty — niebieski i odwrotnie. Tymczasem w przypadku Joasi Gajewskiej okazało się, że występuje tylko jeden rodzaj barwnych obrazów następczych. Pojawiały się wyłącznie czerwone powidoki wywołane niebieskim bodźcem, natomiast bodźce czerwone, zielone i żółte nie wywoływały powidoków. Wynik ten był o tyle niezwykły, że wystąpił tylko jeden rodzaj barwnego powidoku, a ponadto nie miał on charakteru dopełniającego, gdyż na bodziec niebieski powinien pojawić się żółty obraz następczy. Wypada tu dodać, iż, jak podaje Gościmierz Geras, przesunięcie w barwach dopełniających, czyli uzyskanie czerwonego powidoku poprzez bodziec niebieski, jest spotykane u osób z zaburzonym funkcjonowaniem tarczycy.

— Podczas badań medycznych dziewczynki nie stwierdzono żadnych zmian chorobowych tarczycy.

— Uzyskany wynik trzeba więc uznać za tym bardziej interesujący. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że barwne powidoki, wbrew utartym opiniom, nie są związane tylko z funkcjonowaniem samego oka, ale także z energetycznymi procesami, jakie zachodzą w układzie neurohormonalnym, oraz z pracą półkul mózgowych. Twierdzi się, iż substancje hormonalne rozkładając się asymetrycznie w obu półkulach wywołują ich zróżnicowaną pracę, co pociąga za sobą funkcjonalną asymetrię półkul. Z kolei funkcjonalna asymetria i procesy energetyczne półkul determinują barwne obrazy następcze. W efekcie **badanie powidoków można rozpatrywać jako badanie energetycznych procesów zachodzących w mózgu.**

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że powidoki barwne, jakie stwierdzono u Joasi, mogą stanowić odzwierciedlenie procesów energetycznych, zachodzących w jej psychice?

— Tak właśnie sędzę. Jednakże na tym cała sprawa się nie kończy. Badania analityczne, które wykonała magister Ewa Panek, potwierdziły na przykład pewne anomalie u dziewczynki w zakresie przemian hormonalnych. Okazało się, że w moczu Joasi poziom dopaminy jest bardzo niski w porównaniu z normą. Konstatacja ta była bardzo ważna, gdyż przemiany dopaminy w organizmie są ściśle związane z procesami psychicznymi. Badacze zajmujący się biochemią mózgu już dawno zauważyli obniżony poziom dopaminy w mózgu w okresach nasilenia się ataków epileptycznych, zaś podwyższony w przypadku objawów schizofrenicznych. Wynik uzyskany w przypadku Joasi Gajewskiej był zatem skierowany w stronę obrazu klinicznego epilepsji.

— Czyż miałyby to oznaczać pana zdaniem, że fenomeny parapsychiczne są swoistą formą epilepsji?

— Tego nie wiem. Natomiast wydaje się interesujące, że problematyka epilepsji wiąże się również z pracą półkul mózgowych. Nawiasem mówiąc, pewne rodzaje epilepsji leczy się chirurgicznie poprzez rozcięcie spoidła wielkiego, czyli odseperowanie od siebie półkul mózgowych, których współpraca jest tak istotna dla procesów energetycznych, zachodzących w psychice.

— W toku eksperymentów z udziałem Joasi Gajewskiej przeprowadzono także badania dotyczące procesów myślenia oraz języka...

— One również wskazały na procesy półkulowe jako istotne obszary funkcjonowania układu nerwowego dziewczynki. Okazało się na przykład, że skojarzenia werbalne Joasi na rzeczowniki-bodźce, oznaczające przedmioty, które uległy psychokinezie, można określić jako „zablokowane”. Były one najczęściej powtórzeniami, zdrobnieniami lub odmianą tego samego słowa. Inaczej mówiąc, skojarzenia te odnosiły się do fonetycznej strony danego bodźca (np. czerwony — czerwieńszy), a nie do jego treści.

— Jakie to ma znaczenie?

— Analizując wyniki uzyskane w badaniu skojarzeń można stwierdzić, iż słowa oznaczające przedmioty, które ulegały psychokinezie, zostały wyłączone z pola świadomości, poddając się kontroli nieświadomości. Przy tym osiągnięte rezultaty można o tyle wiązać z pracą półkul mózgowych, o ile świadomość łączy się z funkcjonowaniem lewej półkuli, a nieświadomość — prawej. Inaczej mówiąc, obszar semantyczny słów oznaczających przedmioty, które podlegały psychokinezie, i znajdujący się prawdopodobnie w lewej półkuli (ściślej związanej z językiem i mową) był kontrolowany przez prawą półkulę, czyli przez nieświadomość.

— Czy zatem fenomen — w świetle przeprowadzonych badań — uznaje pan za realny?

— Wykrycie u dziewczynki pola semantycznego, z którym związane są efekty kinetyczne, kontrolowane przez nieświadomość, stanowi dla mnie swoisty dowód istnienia fenomenu parapsychicznego Joasi Gajewskiej. Przy badaniach tych stanowczo wykluczam wszelką możliwość symulacji ze strony

dziewczynki, zwłaszcza że nie mogła ona mieć pojęcia, o co w nich chodzi. Wyniki te były swoistym testem kłamstwa i zachęciły mnie do dalszych badań problemu.

Chcę również dodać, że czynnikiem, który dodatkowo wskazuje na prawdziwość fenomenu, jest wiek Joasi. Efekty parapsychiczne pojawiły się u niej w trzynastym roku życia, w momencie krytycznym dla rozwoju półkul mózgowych i przemian neurohormonalnych, a badania potwierdziły, iż istnieje ścisły związek między tymi zjawiskami.

— Czy analizował Pan również całe zagadnienie z punktu widzenia psychoanalizy?

— Owszem. Po dokładnym zapoznaniu się z wieloma szczegółami z życia Joasi i jej rodziny stwierdziłem ścisłą zależność między zjawiskami psychokinezy a sytuacją rodzinną. Ataki psychokinetyczne symbolizują w takim ujęciu potrzebę bliższej więzi uczuciowej z ojcem i problemy powstające na styku z matką. Zjawisko psychokinezy u Joasi są więc efektem przeżywanych przez nią emocji.

— Czy takie podejście psychoanalityczne można pogodzić z poglądami dotyczącymi pracy półkul mózgowych?

— Tak, jeśli zgodzimy się, że nieświadomość związana jest z prawą półkulą, a świadomość z lewą. Wówczas zjawiska parapsychiczne następowałyby w sytuacji szczególnego związku między świadomością a nieświadomością, to znaczy o ich istnieniu decydowałyby specyfika współpracy półkul. Psychokineza stanowi tu po prostu projekcję powstałą na przykład w wyniku kompleksu Edypa, a praca półkul to nic innego jak mechanizm realizujący tę projekcję. Współpraca półkul może być też rozumiana jako współpraca archetypów w ujęciu Junga, którą sam twórca psychologii głębi określił jako syzagię, czyli boską współpracę.

— Co proponowałby pan zamiast standardowego podsumowania naszej rozmowy?

— Sądzę, że psychokinetyczny fenomen Joasi Gajewskiej powinien być gruntownie zbadany przez psychologów, neuropsychologów, psychofarmakologów, fizyków oraz psychoanalityków. Wszystko bowiem wskazuje na to, iż parapsychiczne zjawiska łączą się z podstawowymi zagadnieniami funkcjonowania mózgu człowieka. Jest równie prawdopodobne, że zasadniczy postęp w poznaniu psychiki i układu nerwowego nastąpi dopiero wówczas, gdy zbadamy zjawiska parapsychiczne. To właśnie one mogą okazać się kluczem i zarazem ogniwem integrującym wiele problemów oraz dyscyplin naukowych. Przyszłość tych badań wiązałbym z analizą pracy półkul mózgowych, a dokładniej z koncepcjami interferencyjno-holograficznymi funkcjonowania mózgu.

Prof. Magdalena Sokołowska: *„Należy sobie uświadomić zmierzch wiary w czystą potęgę rozumu. Załamał się paradygmat przyrodniczy XIX-wieczny, mechanistyczny sposób pojmowania świata. Nie sądzę, że oznacza to wzrost zachowań irracjonalnych. Raczej zapowiedź nowego rozumu”*.

Spokój, przede wszystkim spokój

Jeśli w grę wchodzi mistyfikacja, ujawnienie jej przez uważnego i krytycznego obserwatora nie następuje zazwyczaj większych trudności. Nawet bowiem, gdy cała rzecz nie jest pozbawiona cech manualnej lub psychologicznej zręczności, wcześniej czy później musi nieuchronnie nastąpić zdemaskowanie oszustwa.

Spróbujmy oderwać się na chwilę od głównego wątku książki, co umożliwi przekazanie nam kilku przemyśleń oraz informacji na temat fenomenów kinetycznych — czy szerzej rzecz ujmując — psychotronicznych w innych krajach. Literatura na ten temat jest wręcz przeogromna; składają się na nią tysiące pozycji od krótkich opracowań i artykułów zamieszczonych w popularnych pismach poczynając, a na wielu poważnych, doskonale udokumentowanych edycjach książkowych kończąc.

Jednym z podstawowych zarzutów, jakimi operują niektórzy przedstawiciele nauki wobec zjawisk psychotronicznych, jest niemożność uchwycenia ich w statystyce (stąd też używana niekiedy nazwa „zjawiska niestatystyczne”). Zdaniem oponentów stawia to pod znakiem zapytania prawdziwość wspomnianych fenomenów.

Można na to odpowiedzieć krótko: statystyka nie jest i nie może być **podstawowym** kryterium uznania jakiegoś fenomenu za realny. Stanowi ona bowiem tylko jedno z **wielu** narzędzi badawczych; w dodatku nie najważniejsze. Nietrafność wspomnianego argumentu jest tym większa, że zjawiska, o których mówimy, właśnie dlatego nazywane są paranormalnymi, ponieważ wyraźnie odbiegają od normy pojmowanej również jako pewna prawidłowość statystyczna.

W tym kontekście brak powtarzalności rezultatów określonych eksperymentów wcale nie musi jeszcze świadczyć o błędzie lub nieautentyczności zjawiska. Bo po prostu niekiedy sama jego **wyjątkowość** z góry niejako eliminuje ową powtarzalność.

Poważniejszą już sprawą są oszustwa, za pomocą których zręcznym iluzjonistom udaje się niekiedy wprowadzić w błąd badaczy, biorących ich tricki za dobrą monetę i upowszechniających osiągnięte w toku eksperymentów wyniki w przekonaniu, iż są rezultatem rzeczywistych zdolności badanego (słynna afery z „Projektem Alfa”, szczegółowo opisana w nr 1 czasopisma „Science et Vie” z 1984 roku). C. E. M. Hansel, autor książki *ESP: A Scientific Evaluation (ESP: ocena naukowa)*, wydanej w tłumaczeniu na język polski przez PWN w 1969 roku pod tytułem *Spostrzeganie pozazmysłowe*, powiada w związku z tym: „Nie można rozstrzygająco stwierdzić, że wyniki tych doświadczeń (chodzi o doświadczenia z osobami o zdolnościach paranormalnych — przyp. A.O. i M.R.) opierają się na oszustwie. Dopóki jednak istnieje taka możliwość, nie można traktować wyników doświadczeń jako (...) źródła decydujących dowodów na istnienie ESP”.

Jest to, zwracamy uwagę, wielce osobliwy, a zarazem pouczający przykład rozumowania. Oszustwa nie można wszak wykluczyć nie tylko w tej dziedzinie. Chciałoby się w związku z tym zadać pytanie, w jaki np. sposób wielbłąd, który dźwiga na grzbiecie dostrzegalny przez otoczenie garb, powinien udowodnić, że jest istotnie garbaty?

Owo ironiczne pytanie wydaje się w pełni uzasadnione, jeśli zważyć, że wokół metodologii badania zjawisk psychotronicznych (pozostajmy przy tej nazwie) nagromadziło się mnóstwo nieporozumień, zawinionych zresztą przez obie strony sporu. Ostrożność i rezerwa, towarzyszące tego typu eksperymentom oraz badaniom, są w pełni zrozumiałe i nikt nie powinien mieć o to pretensji. Nie wolno natomiast naginać faktów do przyjętego z góry założenia i świadomie deformować prawdy.

Klasycznym przykładem uprawiania takiej właśnie metody jest głośna historia Izraelczyka Uri Gellera. Obiegowa, a przy tym autorytatywna opinia (lansował ją m. in. w środkach masowego przekazu prof. Andrzej Kajetan Wróblewski) głosi, iż Geller w trakcie prowadzonych z nim doświadczeń i eksperymentów w Instytucie Stanford w Kalifornii oszukał naukowców, którzy jego tricki potraktowali jako wykładnik rzeczywistego fenomenu, podczas gdy w rzeczywistości padli ofiarą zręcznej mistyfikacji. Koronnym dowodem miała być wydana w 1975 roku książka znanego iluzjonisty Randiego, który zdemaskował w niej oszustwa Gellera, i co więcej, opowiedział dokładnie, w jaki sposób mu w nich pomógł.

Uri Geller nie budzi naszej sympatii chociażby dlatego, że w pewnym momencie nazbyt przejął się swoją misją i zaczął na niej swoiście zarabiać, występując w rozmaitych telewizyjnych show oraz innych podejrzanych imprezach. Nie może to jednak przesłonić **faktów**, które są inne od podawanych przez prof. Wróblewskiego oraz powołujących się na niego autorów.

Przypomnijmy pokrótce, że doświadczenia, jakim został poddany Uri Geller w Instytucie Badawczym Stanford w Kalifornii, zostały wykonane w 1972 i 1973 roku, przy czym część z nich została utrwalona na

taśmie filmowej lub wideokasetach (obserwował je również zawodowy iluzjonista). Należy podkreślić, że wspomniane eksperymenty przeprowadzili **wybitni i znani fizycy** — prof. Harold Puthoff oraz prof. Russel Targ. Ponieważ przydomek „wybitny”, zwłaszcza w odniesieniu do naukowców, bywa przez zwolenników parapsychologii jaskrawo nadużywany (dzieje się tak zazwyczaj, gdy chcą oni za wszelką cenę podeprzeć swoje racje jakimkolwiek autorytetem naukowym), sformułowaną przed chwilą ocenę czujemy się w obowiązku uzasadnić. Prof. Harold Puthoff jest m. in. właścicielem patentów w dziedzinie badań laserowych i urządzeń optycznych, jak również autorem wielokrotnie wznawianego podręcznika *Fizyka kwantowa*. Natomiast prof. Targ — ongiś pracownik Laboratorium Badań Naukowych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych — uchodzi za znakomitego specjalistę w zakresie badań laserowych, a ponadto zapisał się w historii fizyki jako wynalazca przestrajalnego oscylatora plazmowego.

Darujmy sobie w tym miejscu egzegezę długich i skomplikowanych doświadczeń, jakim został poddany Geller w kalifornijskim instytucie, gdyż pisano na ten temat setki razy. Ich przebieg prezentują m. in. Krzysztof Boruń i Stefan Manczarski w książce *Tajemnice parapsychologii* wydanej przez „Iskry” w 1977 roku (Informację tę podajemy głównie z myślą o polskim czytelniku, nie mającym dostępu do oryginalnych źródeł.). Jeśli natomiast chodzi o profesorów Puthoffa i Targa, wyniki swoich badań przedstawili najpierw w serii publikacji zamieszczonych na łamach czasopism naukowych, a następnie w napisanej wspólnie książce *Mind-Reach* (tytuł ten w swobodnym tłumaczeniu znaczy mniej więcej tyle co: *Do czego zdolny jest umysł*). Prawdą jest przy tym, że obu fizykom — po ogłoszeniu w 1975 roku przez iluzjonistę Randiego jego „rewelacji” — zarzucono, iż dali się oszukać. Puthoff oraz Targ jednak bez większego trudu zbili te zarzuty.

Po raz pierwszy zostały one wysunięte w artykule zamieszczonym w magazynie „Time”, który bazował głównie na plotkach oraz domysłach, jako że obaj fizycy nie zdążyli opublikować wyników swoich badań. Uczynili to dopiero 18 października 1974 roku w opracowaniu „Information under Conditions of Sensory Shielding”, wydrukowanym w poważnym i cenionym na świecie czasopiśmie naukowym „Nature”.

Obaj badacze zarówno w listach drukowanych na łamach periodyku „New Scientist”, przede wszystkim zaś w wydanej w 1977 roku książce *Mind-Reach* przekonywająco udowodnili mizериę wysuwanych pod ich adresem oskarżeń oraz tendencyjność, a niekiedy wręcz złą wolę oponentów, świadomie deformujących fakty. W *Mind-Reach* znalazł się m. in. specjalny rozdział poświęcony tej sprawie, zatytułowany „Lojalna opozycja”. Profesorowie Puthoff i Targ (którzy, przystępując do doświadczeń, liczyli się z tym, że Geller może być li tylko zręcznym iluzjonistą) wykazują tam punkt po punkcie, iż swoją pracę wykonali z zachowaniem pełnego formalizmu naukowego, wykluczającego możliwość mistyfikacji ze strony badanego. Jest więc rzeczą niepojętą, jak można — w kontekście wygłaszanych publicznie autorytatywnych opinii o sprawie — pominąć milczeniem ów fakt, a jednocześnie powoływać się na magika i iluzjonistę o podejrzanym renomie, któremu nie tylko Puthoff i Targ, lecz również inni naukowcy (m. in. Elden Byrd) udowodnili kolportowanie kłamstw.

Jak w rzeczywistości wyglądała historia z Randim? Otóż w swojej książce utrzymywał, że potrafi powtórzyć za pomocą iluzjonistycznych tricków efekty demonstrowane przez Gellera. Przyznał jednak zarazem, że nie dotyczy to **wszystkich** zjawisk. Niektórych z nich Randi nie umiał ani skopiować, ani sensownie wytłumaczyć. Nie omieszkał natomiast opublikować na łamach „New Scientist” informacji, że Gellera zdemaskował jego eks-menager Yash Katz. Wkrótce po ukazaniu się tego tekstu Katz wysłał do redakcji „New Scientist” list, w którym stanowczo zaprzeczył, jakoby miał w sposób zrelacjonowany przez Randiego wyrażać się o Gellerze. Pisał o tym również Elden Byrd w artykule „Eksperymenty z Uri Gellerem”, wydrukowanym w czasopiśmie „Frontiers of Science”.

Najistotniejszy jest jednak fakt, że Gellera, którego testowano w ścisłych warunkach laboratoryjnych (dotyczyło to również późniejszych doświadczeń profesora Taylora z King's College) **nikt i nigdy nie przylapał na oszustwie**. W ten sposób wracamy do naszego wielbłąda, który powinien udowodnić, że jego garb jest garbem rzeczywistym, nie zaś jedynie wymyślonym.

To, o czym piszemy, w jeszcze większym stopniu dotyczy radzieckiej psychokinetyczki Niny Kułaginy, którą prof. Andrzej Kajetan Wróblewski w jednym z prasowych wywiadów był uprzejmy określić mianem „iluzjonistki, udającej posiadanie sił psychicznych”.

Tu mała dygresja. Podczas pobytu w Moskwie w 1983 roku gościliśmy m. in. w redakcji czasopisma „Technika Młodioży”, które na swoich łamach systematycznie publikowało rezultaty badań z zakresu psychotroniki, a także inicjowało na własną rękę niektóre eksperymenty w tej dziedzinie. Ówczesny redaktor naczelny pisma Wasilij Zacharczenko zrelacjonował nam jeden z takich właśnie, zorganizowanych w redakcji eksperymentów z udziałem Niny Kułaginy. W jego trakcie fenomenalna Rosjanka przesuwiała po stole bez dotyku rąk różne przedmioty, wśród nich skuwkę do długopisu. Doświadczenie zostało

zarejestrowane na taśmie filmowej.

Bezpośrednim obserwatorem tego typu efektów (w przypadku Kułaginy bardzo licznych) był również dr Montague Ulmann z Nowego Jorku, który prowadził z nią eksperymenty na początku lat osiemdziesiątych. Według relacji Ulmanna, Kułagina trzymając ręce nad przedmiotami znajdującymi się na stole bez większych trudności wprawiała je w ruch. Przedmioty te przemieszczały się i kręciły w kółko. Między innymi Kułagine udało się postawić pionowo dwa wieczne pióra, które następnie zaczęły przesuwac się w jej kierunku, by na końcu szczerpić się i zakręcić na blacie młynek.

Z kolei prof. dr G. A. Siergiejew w publikacji „Mietodologiczeskie problemy psichotroniki” przekazał opis doświadczeń z udziałem Kułaginy, które przeprowadził 10 marca 1970 roku wspólnie z dr. S. P. Saryczewem. Chodziło w nich o próbę przyspieszenia, zwolnienia, a następnie zatrzymania — za pomocą wzroku — biologicznego detektora — serca żaby, umieszczonego początkowo w specjalnej półkuli piezoceramicznej, następnie zaś w ognisku metalowego zwierciadła. Kułagina znajdowała się od detektora w odległości 1,5 m.

Serce — jak stwierdza prof. Siergiejew — wykonywało swoją akcję w ciągu długiego czasu. Towarzyszył mu zapis kardiogramu.

A oto jak wyglądał przebieg eksperymentu według sporządzonego z niego protokołu.

Godz. 21.23. Początek doświadczenia. N, Kułagina koncentruje swój wzrok na sercu, mówiąc: „Teraz powinna zmienić się częstotliwość bicia serca”.

Analiza kardiogramu nie potwierdza zmian.

21.25. Badana mówi: „Rozkołyszę serce jak wahadło”.

W kardiogramie stwierdzono gwałtowne zmiany zapisu.

21.26 Kułagina mówi: „Zatrzymuję serce”.

Kardiogram wskazuje rzeczywiście niedługie spowolnienie akcji serca.

21.30. Badana mówi: „Powtórnie zatrzymuję serce”.

Zapis kardiogramu urywa się. Serce zostało zatrzymane wzrokiem Kułaginy po upływie 7 minut od chwili rozpoczęcia doświadczenia. Próby przywrócenia jego akcji jonami ujemnymi nie powiodły się. Powtórzony wkrótce potem w podobnych warunkach kolejny tego typu eksperyment doprowadził do zatrzymania serca żaby po 22 minutach.

Jak wynika z relacji prof. Siergiejewa, przeprowadzono również doświadczenie z oddziaływaniem Kułaginy na serce człowieka (był nim lekarz zdecydowanie sceptycznie nastawiony do rezultatu eksperymentu). Zarówno Kułagina, jak i testowany zostali podłączeni do aparatury rejestrującej ich kardiogramy. Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania: po zapowiedzi Kułaginy, iż zwiększy częstotliwość bicia serca lekarza, zmiany w jego rytmie, i to gwałtowne, wystąpiły już po minucie (wskazywał na to zapis kardiogramu), gdy zaś po pięciu minutach osiągnęły niebezpieczny poziom, doświadczenie musiano przerwać.

Warto podkreślić, że wszystkim tym efektom towarzyszyły określone i dające się zmierzyć za pomocą aparatury zmiany fizjologiczne zachodzące w organizmie Niny Kułaginy. Zarejestrowano m. in. znaczne przyspieszenie pulsu oraz akcji serca, a także ubytki wagi (kilogram w przeciągu 5 godzin). Wzrosła jednocześnie wartość wokół niej pola magnetycznego, zaś potencjał elektryczny tylnej części mózgu okazał się aż **pięćdziesięciokrotnie** większy od potencjału części czołowej. Dla odmiany, gdy w zaciemnionej komorze głowę Kułaginy opasano błoną filmową, po jej wywołaniu okazało się, że odcinek taśmy przylegający do czoła był nienaświetlony, natomiast drugi, znajdujący się na potylicy — prześwietlony.

Jak z tego widać, wbrew obawom sceptyków pewne zjawiska fizyczne oraz biologiczne udaje się zarejestrować nawet za pomocą ciągle jeszcze dalekich od doskonałości przyrządów, którymi dysponują naukowcy.

W trakcie dyskusji zorganizowanej przez redakcję „Litieraturnoj Gaziety” (nr 35/80) i poświęconej fenomenowi bioenergetycznemu słynnej Gruzinki Dżuny Dawitaszwili, na której temat wśród naukowców trwa od dawna spór, Swietłana Oleniewa, pracownik Centrum Onkologicznego Gruzińskiej SRR, zrelacjonowała m. in. eksperyment dotyczący przekazu informacji biologicznej, w jakim miała okazję uczestniczyć. Posługując się powielaczem fotoelektrycznym, rejestrującym promienie ultrafioletowe, naukowcy testowali wówczas innego znanego radzieckiego ekstrasensa Aleksandra Kriworotowa. Jak stwierdziła Oleniewa, wskaźniki grupy kontrolnej mieściły się w przedziale od 300 do 500 impulsów na sekundę, natomiast w przypadku Kriworotowa przekroczyły sto tysięcy impulsów.

E. K. Naumow i A. A. Michalczyk eksperymentowali dla odmiany z radzieckim fenomenem Iwanem Dechtarem, który w ich obecności utrzymywał przez 10 sekund w powietrzu (między znajdującymi się w odległości 12—15 cm od siebie dłońmi) piłeczkę pingpongową. Od siebie dodajmy, że podobny efekt prezentował podczas bytności w Polsce inny radziecki psychokinetyk Borys Jermołajew. Demonstrując

swoje umiejętności utrzymywał on m. in. kilka sekund w powietrzu pomiędzy rozwartymi dłońmi piłeczkę pingpongową oraz kartkę papieru.

Nie bez powodu więc radziecki akademik J. B. Kobzariew stwierdza, iż „zbadań tych zjawisk ma olbrzymie znaczenie dla nauki i może doprowadzić do fundamentalnych odkryć, nie mniejszych niż teoria względności lub mechanika kwantowa”.

Obiektywizacji zjawisk psychotronicznych wydatnie pomaga ich filmowy zapis. Wiele osób pamięta zapewne emitowany w naszej telewizji w drugiej połowie lat siedemdziesiątych film z Junem Sekiguchi — kilkunastoletnim Japończykiem, który wyginał oraz łamał łyżeczki i inne metalowe przedmioty, w pewnych przypadkach nawet ich nie dotykając. Między innymi w kwietniu 1974 roku podczas doświadczenia przeprowadzonego przed kamerami angielskiej telewizji doprowadził on do zgięcia wzrokiem łyżeczki, znajdującej się w szczelnie zamkniętym, plastikowym i zarazem przezroczystym pojemniku (efekt nastąpił po kilkunastu sekundach). Niestety w późniejszym okresie chłopiec stracił podobno swoje niezwykle właściwości. Pojawili się natomiast jego następcy.

Członkowie japońskiej ekipy „Fuji Television”, z którymi mieliśmy okazję współpracować w grudniu 1983 roku, przekazali nam szczegółowe informacje na temat dwóch innych japońskich fenomenów psychokinetycznych: Masuaki Kyoty i Hiroto Yamasty. Kręcąc z nimi program Toshio Uruta, Yoshihiro Itoh oraz inni uczestnicy eksperymentów mieli możliwość naocznie przekonać się o niezwykłych umiejętnościach obu młodych ludzi.

Masuaki Kyota (dane z końca 1983 r.) był studentem Wydziału Psychologii na Uniwersytecie w Tokio, natomiast Hiroto Yamasta studiował w Wyższej Szkole Nauk Rolniczych. Obaj wyginają sztucznie bez użycia siły fizycznej, przy czym Masuaki Kyota, którego zdolności ujawniły się po raz pierwszy, gdy miał siedem lat, potrafi, podobnie jak niegdyś Jun Sekiguchi, dokonać tej sztuki bez dotykania przedmiotu. Wygląda to z grubsza tak, że Kyota przesuwając dłoń w odległości kilku centymetrów od łyżeczki, zwijając ją w spiralę. Eksperyment (niejednokrotnie sfilmowany) trwa przeciętnie od dwóch do trzech minut, przy czym rodzaj metalu nie ma tu większego znaczenia.

To jednak nie wszystko. Kyota legitymuje się również umiejętnością odwzorowywania na światłoczułej błonie prostych obrazów, będących wytworem jego wyobraźni. Podczas prowadzonych z nim eksperymentów udało mu się m. in. „sfotografować” w ten sposób jabłko oraz wieżę Eiffla.

Natomiast Hiroto Yamasta jest przede wszystkim jasnovidem. Między innymi potrafi on z zawiązanymi oczami (podczas doświadczeń oklejano je specjalną taśmą) dokładnie opisać obraz, który w tym momencie obserwują inni, i to z oddaniem tak szczegółowych elementów, jak intensywność barwy przedmiotów. Rozpoznaje także bezbłędnie chore organy (twierdzi, że w miejscach tych widzi czarne plamy).

Na tle przykładowo wymienionych tu fenomenów zjawiska zachodzące w otoczeniu Joasi Gajewskiej prezentują się szczególnie zagadkowo. Chodzi zarówno o nasilenie efektów kinetycznych, jak i fakt, że przybierają one bardzo gwałtowną formę, a niekiedy również osobliwą postać. Oczywiście byłoby najlepiej, gdyby manifestowały się one wówczas, kiedy gorąco tego pragniemy, niejako na zamówienie. Dotąd jest to niemożliwe, a jak będzie w przyszłości? Tego niestety nie wiemy.

*

Bylibyśmy nie w porządku wobec czytelników, gdybyśmy pominęli milczeniem fakt, iż w latach 1983—1986 w prasie krajowej ukazało się kilkanaście doniesień o innych fenomenach psychokinetycznych. A oto ich lista.

Najgłośniejsze — po fenomenie sosnowieckim — manifestacje psychokinetyczne wystąpiły w Sochaczewie, w domu państwa Sokołów. Rozpoczęły się w grudniu 1983 roku łomotaniem w ściany oraz samoczynnym przemieszczaniem się sprzętów domowych (wypadanie szuflad, przewracanie kubłów z wodą itp.). Sprawie tej poświęcono wiele reportaży prasowych, radiowych i telewizyjnych. Ponieważ w Sochaczewie byliśmy osobiście, pragniemy podzielić się na ten temat nieco obszerniejszymi refleksjami.

Podczas naszej wizyty u państwa Sokołów oprócz rozmów z trzynastoletnią Joanną Sokół, wokół której według wszelkiego prawdopodobieństwa ogniskowały się zjawiska, oraz jej matką Anną nawiązaliśmy kontakt z kilkoma osobami spoza rodziny. Były one naocznymi świadkami wspomnianych wydarzeń (niektóre z tych rozmów odbyliśmy później).

Zacznijmy od doc. dr. hab. Romana Bugaja, który badał przypadek sochaczewski z ramienia Zarządu Towarzystwa Psychotronicznego w Warszawie. Relację z tych badań doc. Bugaj przedstawił m. in. w referacie wygłoszonym na sympozjum „Psychotronika 85” (jej uzupełnieniem była rozmowa, którą przeprowadziliśmy z autorem, oraz dwuczęściowa publikacja jego pióra w „Tygodniku Demokratycznym”).

Doc. R. Bugaj stwierdził, że wspólnie z prezesem Towarzystwa Psychotronicznego Lechem E. Stefańskim oraz kilkoma innymi osobami był świadkiem następujących efektów kinetycznych w obecności Joanny Sokół: 1) Podczas przechodzenia dziewczynki przez kuchnię uniósł się nagle w powietrze leżący w kącie bucik, podążając w ślad za nią. 2) Zaobserwowano przelot (a właściwie dopiero uderzenie w ścianę) blaszanego garnuszka, który nie mógł być wcześniej przez nikogo wprawiony w ruch. 3) Leżąca na ziemi szufelka metalowa przeleciała kilkadziesiąt centymetrów i upadła w pobliżu kuchni. 4) Ze stołu „wystartował” w pewnym momencie porcelanowy talerzyk i po bardzo szybkim przelocie pod sufitem rozbił się o przeciwległą ścianę. 5) Pozostawiona na łóżku w pokoju czapka futrzana poszybowała do kuchni uderzając doc. Bugaję silnie w twarz. 6) Po ułożeniu w poprzednim miejscu czapka przemieściła się ponownie (tym razem poszybowała przez otwarte drzwi do kuchni). 7) Nastąpił przelot szklanki z gorącą herbatą, która mijając w odległości paru centymetrów głowę świadka, ochlapała płynem jego ubranie, a następnie roztrzaskała się o kredens. 8) Do pokoju na piętrze przez wąską szczelinę w drzwiach wpadły dwa kamienie, które nie mogły być przez nikogo rzucone. 9) Lech E. Stefański został uderzony w głowę wprawioną samoczynnie w ruch kostką Rubika.

Większość tych zjawisk manifestowała się w świetle dziennym lub przy silnym oświetleniu elektrycznym. Przeloty były szybkie i towarzyszył im świst albo szelest o charakterystycznym dźwięku.

Przeprowadzona — według relacji doc. Bugaję — próba z pocieraniem przez Joannę Sokół łyżeczki aluminiowej jednym palcem doprowadziła do złamania jej trzonka; natomiast inne sztuczce z nierdzewnej stali uległy wygięciu.

Obserwatorem większości wymienionych zjawisk był podopiecznik MO Leszek Franaszek, który na prośbę prowadzących eksperymenty brał w nich udział. W pierwszym okresie manifestowania się fenomenu, tj. na przełomie 1983 roku był on również naocznym świadkiem samoczynnego przemieszczenia się telewizora, który po przelecie kilku metrów rozbił się o ścianę.

Z rozmowy, jaką przeprowadziliśmy z chemikiem, mgr. Gerardem Kubisem, który przyjeżdżał wielokrotnie do Sochaczewa, wynikało, że we wrześniu 1984 roku w momencie, gdy wspólnie z Joasią Sokół wchodził do pustego pokoju, stojąca na parapecie doniczka z ogromną szybkością uniosła się w powietrze i przeleciała w pobliżu jego głowy, uderzając o przeciwległą ścianę.

Jak się wydaje, zważywszy na wykształcenie świadków, pełnione przez nich społeczne role oraz nie budzącą zastrzeżeń zdolność postrzegania plus doświadczenie życiowe, przytoczone relacje zasługują na miano wiarygodnych, a tym samym przesądzają o realności zjawiska. Niepokój budzi natomiast jego wyraźnie ezoteryczne tło (w sferze przypisywanych mu przez domowników interpretacji). Ze swej strony możemy dodać, że na podstawie naszej rozmowy z Joanną Sokół, mającej charakter przygotowanego uprzednio testu osobopoznawczego, jej stopień inteligencji oceniamy jako bardzo wysoki (w porównaniu z rówieśnikami zdecydowanie „ponadprzeciętny”), co dla egzegezy przypadku wydaje się nie bez znaczenia.

Kolejny tego typu fenomen dotyczył jedenastoletniego Grzegorza Osmółka z Konina. Jeśli wierzyć dziennikarskim relacjom, również i tutaj dochodziło do przemieszczania się przedmiotów (zabawki, naczynia, radiomagnetofon, a nawet pralka oraz ciężkie meble), przy czym niektóre z nich atakowały chłopca („kamienie podfrwały z ziemi i uderzały go w głowę”). Całości dopełniało samoczynne otwieranie się drzwi, zamkniętych na zamek.

A oto inne tego typu przypadki:

Historia dwunastoletniego Artura Matury z Jastrzębia Zdroju, wokół którego „skraplało się powietrze”. Mieszkanie było permanentnie zalane; woda leciała z sufitów oraz ścian niszcząc meble. Dochodziło do tego mimo wyłączenia jej dopływu przez pogotowie wodociągowe. Woda lała się z sufitu nawet wówczas, gdy — na polecenie wezwanych lekarzy — chłopiec został skrupowany sznurami i położony na kanapie. Naocznym świadkiem niewytłumaczalnych zjawisk była m. in. reporterka katowickiego magazynu „Tak i Nie” Grażyna Kuźnik („Fenomen” — nr 39/85).

Casus jedenastoletniej Agieszki Górskiej z Sosnowca (na ten temat patrz rozdział „Pokój 309”). Efekty: wyginanie łyżeczek oraz gwoździ wzrokiem, przyciąganie pływających po powierzchni wody zabawek, zatrzymywanie zegarów.

Fenomen dziewięcioletniej Agnieszki Stopczyk z Łodzi (szerzej o nim w rozdziale „Więcej światła”).

Przypadek „Agatki z Ostródy” (doniesienie czasopisma „Warmia i Mazury” z 15 lipca 1985 roku, niestety nie zawierające żadnych bliższych danych na temat bohaterki publikacji). Według autora dziewczynka miała wyginać łyżeczki wzrokiem oraz w podobny sposób łamać aluminiowe sztuczce. Spaliły się również przy niej bezpieczniki.

Zjawiska zachodzące w mieszkaniu rodziny Kudryśów w Myszkowie. Jeśli relacje na ich temat są ścisłe, byłyby to najsilniejsze manifestacje kinetyczne spośród wszystkich, jakie dotychczas rejestrowano. A oto ich cechy charakterystyczne: gwałtowne przemieszczanie się przedmiotów, również przez przeszkody,

permanentne „rzucanie” jajkami (niektóre z nich w locie gotowały się), liczne detonacje. Naocznymi świadkami efektów kinetycznych byli m. in. funkcjonariusze miejscowej komendy MO (w ich obecności samoczynnie przemieściła się np. szyba akwarium) oraz reporterka tygodnika „Rzeczywistość”, Iwona Chudzyńska. Widziała ona przelot jajka, bombki choinkowej oraz cebuli (reportaż „Duchy w Myszkowie”, „Rzeczywistość” nr 9/1986). Wspomniane zjawiska manifestowały się zarówno w obecności większej liczby osób, jak i w czasie, gdy w domu nie było nikogo. Nic też nie wskazywało, by były związane z konkretną osobą. Rodzinę — po przekonaniu się, że w mieszkaniu istotnie zachodzą niewytłumaczalne zjawiska fizyczne występujące ze znaczną siłą i natężeniem — wykwaterowano do hotelu.

Na temat zasygnalizowanych przypadków nie możemy się wiążąco wypowiadać, ponieważ się nimi nie zajmowaliśmy. Chcemy jedynie zwrócić uwagę na potrzebę bardzo ostrożnego traktowania wszelkich tego typu doniesień, przede wszystkim zaś na takie ich dokumentowanie, które poprzez rejestrację faktów — i tylko faktów — wcześniej czy później umożliwi jednoznaczne stwierdzenie, czy zjawisko ma cechy autentyczności, czy też jest wynikiem zręcznie zaaranżowanej mistyfikacji.

Postulat ten adresujemy nie tylko do kolegów po piórze, lecz również — a może nawet przede wszystkim — do siebie samych. Skoro bowiem na pytanie o realność zjawisk psychotronicznych odpowiadamy „tak”, zobowiązuje nas to do szczególnie krytycznego (co nie oznacza: negatywnego bez względu na fakty!) podejścia do zagadnienia.

Konieczność zajęcia takiej postawy unaocznia wyraziście historia, którą chcemy w tym miejscu opowiedzieć w przekonaniu, iż wynikają z niej nader użyteczne wnioski ogólniejszej natury. W naszej relacji pominiemy nazwę miejscowości, w której doszło do opisywanych wydarzeń, jak również imię i nazwisko związanej z nimi bohaterki. Nie jest bowiem naszym celem czynienie komukolwiek krzywdy, a ponadto chodzi tu o osobę niepełnoletnią, która ma jeszcze dostatecznie wiele czasu, by przemyśleć swoje postępowanie i po osiągnięciu dojrzałości stać się pełnowartościowym człowiekiem.

Otóż w czerwcu 1983 roku, wkrótce po ukazaniu się obszernej publikacji, bilansującej pierwsze wyniki eksperymentów prowadzonych z Joasią Gajewską, dotarł do nas list, którego autorka sygnalizowała równie ciekawy przypadek psychokinetyczny z drugiego końca Polski. Miał on dotyczyć dwunastoletniej dziewczynki mieszkającej w jednym z małych miast województwa szczecińskiego.

Podejmując decyzję o bliższym przyjrzeniu się domniemanemu fenomenowi kierowaliśmy się przede wszystkim tym, iż sygnał pochodził od sędziego do spraw nieletnich, a więc osoby bez wątplenia zasługującej na zaufanie. Z tego też względu nawiązaliśmy z nią kontakt, prosząc o podanie jak największej liczby szczegółów. Były one przekazywane sukcesywnie w korespondencji trwającej — z przerwami — blisko dziesięć miesięcy. Pozwalamy sobie przytoczyć jej najistotniejsze elementy.

Według relacji sędzi F. kłopoty z dwunastoletnią Renatą K. (inicjał nazwiska i imię zmienione — przyp. A.O. i M.R.) zaczęły się mniej więcej pod koniec 1983 roku (proszę zwrócić uwagę na zastanawiającą zbieżność dat: niedługo przedtem doszło do wydarzeń w Sosnowcu, po których nastąpiła prawdziwa „inwazja” poświęconych im publikacji prasowych — przyp. A.O. i M.R.). Z relacji domowników wynikało, że dziewczynka, trzymając rękę w odległości kilku centymetrów od szklanego naczynia, potrafi rozbić je, kiedy zaś zbliży się do okna, drżą w nim szyby. W obecności Renatki miało również dochodzić do licznych samoczynnych przemieszczeń przedmiotów, w tym także mebli. Efekty te pojawiały się wieczorem oraz w nocy, przy czym, jak donoszono w jednym z listów, „kiedy Renatka kładzie się spać, tapczan drży i bardzo głośno stuka w sposób uniemożliwiający zaśnięcie zarówno jej, jak i pozostałym domownikom”.

Z korespondencji wynikało dalej (list z 27 stycznia 1984 roku), że pod koniec grudnia 1983 roku w gronie kilku osób, wśród których byli również znajomi sędzi F., nastolatka siedząc w odległości trzech metrów od stołu, przesuwiała go swobodnie po pokoju, a nawet unosiła do góry na wysokość kilkunastu centymetrów. Dodajmy, że chodziło o ciężki dębowy stół, przy którym — po rozsunięciu — mogło zasiąść dwanaście osób.

Najciekawszy był wszakże ostatni list sędzi F. (z 30 maja 1984 roku), w którym przekazywała informacje, stanowiące rezultat jej obserwacji. W gruncie rzeczy to właśnie on przesądził o naszym wyjeździe do miejscowości B.

„W ostatnią sobotę wieczorem — pisała sędzia F. — podczas pobytu w B. byłam u Renatki (...) Na podstawie tego, co widziałam, mam prawo sądzić, że powinien pan (list był adresowany do Marka Rymuszki — przyp. A.O. i M.R.) pojechać tam jak najszybciej, zwłaszcza że matka oraz babka dziewczynki są bardzo zmęczone psychicznie wszystkim, co się wokół nich dzieje, i liczą na spokojne oraz rzeczowe wyjaśnienie zjawisk zachodzących w otoczeniu Renatki...”

„Obserwacja dziewczynki przeze mnie — nadal cytujemy list — była o tyle utrudniona, że, jak stwierdziłam, czułam się w jej obecności bardzo źle, byłam jakaś rozkojarzona (...) Co widziałam na własne oczy? Otóż Renatka podniosła ciężki dębowy stół, a ściślej mówiąc jedną jego stronę w taki sposób, że stół

stał na dwóch nogach, a blat ustawił się mniej więcej pod kątem 70 stopni w stosunku do podłogi. Pozostawał tak przez dłuższą chwilę i nikt inny poza dziewczynką nie potrafił go »zmusić« do zajęcia normalnej pozycji (osobiście próbowałam).

Po biurku, przy którym siedziała Renatka, jeździł pozbawiony napędu samochodzik (wóz strażacki), który trąbił i podnosił drabinę. Matka mówiła mi również, że Renatka z odległości kilku metrów odsuwa zasłony na oknie, a leżący w sąsiednim pokoju akordeon potrafi sam grać. Dziewczynka umie także odczytać napisaną przez inną osobą kartkę, znajdującą się w zaklejonej kopercie (...).

Wszystko to są jednak drobiazgi w porównaniu z tym, co dzieje się w ostatnim okresie. Otóż Renatka »materializuje« podobno rękę (żywą, ciepłą i poruszającą się), przy czym, jak twierdzi, już wkrótce uda jej się zmaterializować całą postać. Potrafi również »zdematerializować«, a następnie »zmaterializować« różne przedmioty, takie jak np. sweter. Przy »zniknięciu« swetra nie byłam obecna, brałam natomiast udział w jego odnalezieniu się”.

W zakończeniu swojego listu sędzia F. przekazywała prośbę matki dziewczynki o jak najszybszy przyjazd. Informowała też, że Renatką zainteresował się jeden z klubów parapsychologicznych.

Nie będziemy ukrywali, że pewne fakty, o których pisała autorka korespondencji, wzbudziły nasze podejrzenia, a w każdym razie nakazywały szczególną ostrożność w ocenie wiarygodności przypadku. Nie podobał nam się zwłaszcza wyraźnie ezoteryczny podtekst zjawisk, do jakich miało dochodzić (nawiedzanie domu przez tajemniczego „duszką”), jak również to, iż manifestują się one wyłącznie wieczorem oraz w nocy. Ostatecznie — proszę wybaczyć szczyptę ironii — duchowi powinno być wszystko jedno, kiedy się pojawia. Niemniej, zgodnie z zasadą „Bez euforii, ale i bez uprzedzeń”, doszliśmy do wniosku, że sprawie tak czy inaczej warto się przyjrzeć z bliska (nie można było np. wykluczyć, że efekty kinetyczne są rzeczywiste, a w ezoteryczną otoczkę „ubierają je” inni). W rezultacie w lipcu 1984 roku pojechaliśmy do B.

Niestety, nasze podejrzenia w pełni się potwierdziły, zaś historia „cudownych” zdolności Renatki K. okazała się sztytą grubymi nićmi mistyfikacją. Zdumienie budził przy tym fakt, iż niektóre osoby biorące udział w „seansach” z udziałem nastolatki okazały się tak dalece łatwowierne, że ewidentnie spreparowane „efekty” potraktowały jako zjawiska rzeczywiste. W pewnym stopniu usprawiedliwiał je fakt, iż zmysł obserwacyjny świadków był przytępiony z powodu ciemności. Jak słusznie przypuszczaliśmy, stanowiło to nader znaczącą okoliczność.

Jeśli chodzi o stół (istotnie duży oraz ciężki), to rzeczywiście stał na dwóch nogach, ale tylko dlatego, iż dziewczynka podtrzymywała go brzuchem. Mówiąc nawiasem, robiła to bardzo zręcznie, co w oczach mniej spostrzegawczego obserwatora mogło wywołać złudzenie samodzielnego zajmowania przez mebel pozycji pod kątem kilkudziesięciu stopni w stosunku do podłogi. W tym przypadku nastolatka wykazała po prostu godną uwagi znajomość praw fizyki poprzez znalezienie odpowiedniego punktu ciężkości bryły oraz miejsca, w którym „przyłożenie” do niej siły mechanicznej dawało najlepszy rezultat.

Jeżdżącego samodzielnie po biurku wozu strażackiego wprawdzie nie widzieliśmy, ale oglądaliśmy w sklepie identyczne zabawki. Wprawienie ich w ruch jest bardzo proste; wystarczy potrząsnąć kilkakrotnie kołami wozu o gładką powierzchnię, by znajdująca się w środku zębata umożliwiła poruszanie się samochodziku.

Również „materializacje” i „dematerializacje” przedmiotów stanowiły rezultat oczywistych tricków, możliwych dzięki lukom w postrzeganiu obserwatorów, zaś „grającym samodzielnie” akordeonowi, jak łatwo się domyślić, wydatnie „dopomogła” taśma magnetofonowa.

Najbardziej idiotyczna okazała się historia z ręką. Oszustwo w tym przypadku było wyjątkowo prymitywne — „zmaterializowana” ręka należała do ukrytej w okolicy tapczanu młodszej siostry Renatki. W równie banalny sposób preparowano rozmaite efekty dźwiękowe (stuki, trzaski). Spośród przygotowanych przez nas wcześniej testów telepatycznych (m. in. kartka z zapisanymi na niej zdaniami, spoczywająca w zaklejonej kopercie) dziewczynka nie wykonała ani jednego.

Historia ta pozornie jest argumentem przemawiającym na rzecz opcji zerowej w odniesieniu do zjawisk paranormalnych, które — jak powiadają niektórzy — zawsze stanowią tylko rezultat oszustwa. Pragniemy jednak z całą stanowczością podkreślić, że jeśli w konkretnym przypadku w grę wchodzi mistyfikacja, ujawnienie jej ze strony uważnego i krytycznego obserwatora nie następuje zazwyczaj większych trudności. I nawet gdy cała rzecz nie jest pozbawiona cech manualnej lub psychologicznej zręczności (oba te czynniki często występują łącznie), przy zastosowaniu rzetelnych metod badawczych wcześniej czy później musi nieuchronnie nastąpić zdemaskowanie oszustwa.

Eksperymenty doktora Egely'ego

Uczestnicy eksperymentu — studenci i uczniowie budapeszteńskich szkół — trzymając dłonie w pewnej odległości od cieczy wprawiali w ruch pływającą po powierzchni blaszkę, zatrzymywali ją oraz zmieniali kierunek poruszania się. Po wyeliminowaniu wszelkich czynników, które mogły mieć ewentualny wpływ na wynik doświadczeń, pozostało tylko jedno wyjaśnienie: zarejestrowane na taśmie filmowej zjawisko było rezultatem psychokinezy.

Podczas III Ogólnopolskiego Sympozjum „Psychotronika 85”, które odbyło się w Warszawie we wrześniu 1985 roku z udziałem wielu zagranicznych gości, m. in. z ZSRR, USA, RFN, Francji, Grecji i CSRS, doszło do pewnego zdumiewającego wydarzenia. Mianowicie jeden z prelegentów, który przywiózł ze sobą referat zatytułowany „Badania pilotażowe oddziaływań psychokinetycznych na cieczy”, nim przystąpił do jego wygłaszania, poprosił o zaciągnięcie stor w oknach, a następnie przekazał operatorowi obsługującemu aparaturę projekcyjną krążek z półgodzinnym zapisem filmowym, stanowiącym ilustrację wystąpienia.

I oto przed oczami licznie zgromadzonych w sali widzów poczęły przesuwać się obrazy przypominające jako żywo cuda. Można było bowiem na nich zobaczyć, jak uczestnicy starannie zaprogramowanego eksperymentu — studenci i uczniowie budapeszteńskich szkół — trzymając dłonie w pewnej odległości od cieczy, wprawiają w ruch pływającą po powierzchni cienką blaszkę. Niektórzy przy tym — kamera zarejestrowała całe zjawisko dokładnie — zatrzymywali blaszkę lub zmieniali kierunek jej poruszania się. Wszystko to wyglądałoby tylko na zręczny filmowy trick lub w najlepszym przypadku żart, gdyby nie fakt, że wygłaszającym referat, a zarazem autorem utrwalonych na taśmie eksperymentów okazał się węgierski fizyk jądrowy dr György Egely, pracownik naukowy jednego z budapeszteńskich instytutów.

Podczas rozmowy z dr. Egelym otrzymaliśmy od niego kserokopię opracowania, stanowiącego podsumowanie tych niezwykle ciekawych doświadczeń. Sądzimy, że warto im poświęcić nieco uwagi.

Dr György Egely zainicjował swój eksperyment nie w ramach prac badawczych, jakie prowadzi w instytucie, lecz prywatnych zainteresowań naukowych, co, jak mogliśmy się już przekonać, stanowi niemal regułę. Siedząc od dawna doniesienia na temat *psi*, bardziej zresztą z pozycji obserwatora niż ich miłośnika, postanowił sprawdzić, czy istnieje możliwość opracowania prostej i niezawodnej metody indukowania zjawisk psychokinetycznych. Wcześniej zapoznał się z dostępną literaturą na ten temat, zwłaszcza zaś z pracami Juliusza Krmessky'ego z Czechosłowacji. Krmessky opisał serię eksperymentów, w których ruch różnych przedmiotów mógł, jego zdaniem, być spowodowany psychokinezą. Doświadczenia te, jakkolwiek ciekawe, nie wyjaśniały jednak — w ocenie dr. Egely'ego — podstawowego w gruncie rzeczy zagadnienia, a mianowicie: co leżało u podstaw rejestrowanych efektów psychokinetycznych i w jaki sposób można by je najprościej wywołać.

Po licznych przemyśleniach dr Egely postanowił zaprogramować własny eksperyment w tej dziedzinie. W tym celu skonstruował specjalne urządzenie do prób, składające się z tzw. szalki Petriego, zamontowanej pod szklaną pokrywą w kształcie sześciianu. Dwa boki pokrywy tworzyły osłony, przez które badany wsuwał dłonie. Jednocześnie po obu stronach szkiełka Petriego umieszczone zostały kawałki drewna, ewentualnie tworzywa, których grubość była równa głębokości naczynia. Podczas eksperymentu badani opierali na nich ręce. Aby zniwelować w trakcie prób występujące niekiedy różnice potencjałów elektrycznych, podpórki zostały pokryte cienką metalową siatką oraz połączone ze sobą paskiem metalu.

Pod szkiełkiem Petriego rozrysowano układ współrzędnych, który ułatwiał obserwację ruchu blaszki pływającej po powierzchni cieczy. Początkowo dr Egely rozważał, czy nie zastąpić blaszki kroplą roztworu barwnika, umożliwiającego śledzenie ruchu w głębi płynu. Zrezygnował jednak z zamysłu z powodu przewidywanych trudności technicznych. Woda i roztwór barwnika mają bowiem ten sam ciężar właściwy. Ponadto barwnik po pewnym czasie rozplywa się i niknie, sama zaś woda powinna być często zmieniana ze względu na utratę kontrastu.

Dr Egely tak skonstruował całe urządzenie, by wyeliminować wszelkie czynniki, mogące zakłócić przebieg eksperymentu. Dotyczyło to przede wszystkim prądów powietrza, przed którymi ciecz została osłonięta szklaną pokrywą oraz dwoma ściankami. Interesował się również, czy i w jakim stopniu na ruch cieczy mogłoby mieć wpływ nawet mimowolne drżenie rąk. Przeprowadzone testy pozwoliły wpływ taki wyeliminować.

Szczególną uwagę dr Egely poświęcił temu, by do minimum zmniejszyć oddziaływanie na wynik

eksperymentu ewentualnych zjawisk elektrostatycznych. Nawiasem mówiąc, jeśli by nawet do nich doszło, efekt w postaci ruchu blaszki nastąpiłby natychmiast, gdy dłonie znalazłyby się nad powierzchnią wody. Tymczasem w trakcie doświadczeń ruch promieniowy cieczy i pływającego po niej znacznika (terminologia używana przez dr. Egely'ego — przyp. A.O. i M.R.) rozpoczynał się zazwyczaj dopiero po kilku minutach.

Eksperymentator postanowił również zapobiec sytuacji, w której ruch blaszki mógłby zostać spowodowany różnicą temperatur, co zafałszowałoby wyniki pomiarów. Badając to zjawisko posłużył się m. in. trzema aluminiowymi pojemnikami, których temperaturę kontrolował podczas stopniowego napełniania ich wodą. Pomiarzy wykazały, że największe przemieszczenie się blaszki w takich warunkach wyniosło 30 stopni. Następowo, gdy pojemniki napełniane były wodą szybko, przy jednoczesnej szybkiej zmianie górnej części szklanej pokrywy. Natomiast, gdy wodę wlewano powoli i ostrożnie, blaszka nie wykazywała żadnego ruchu, mimo że początkowa temperatura cieczy dochodziła do 52 stopni, zaś w końcowej fazie pomiarów (po 6 minutach) spadała do 42 stopni.

W rozmowie z nami dr Egely — w odpowiedzi na zadane mu pytania — wyjaśnił dodatkowo, że przy 200 cm kwadratowych powierzchni cieczy, temperaturze dłoni wynoszącej 40 stopni oraz temperaturze otoczenia oscylującej w granicach 20 stopni moc cieplna osiąga mniej więcej 8 watów, wywołując jedynie minimalny prąd powietrza. Wynika to z faktu, że przestrzeń, w której dochodzi do wymiany ciepła, ma tylko kilka centymetrów wysokości, co powoduje niski współczynnik przenikania ciepła. W tej sytuacji prowadzący eksperyment zyskał pewność, że przepływ ciepła w doświadczeniu nie mógł być czynnikiem znaczącym.

Poświęciliśmy tak wiele miejsca warunkom, w jakich został przeprowadzony eksperyment, ponieważ jest regułą, iż wyniki tego rodzaju doświadczeń bywają kwestionowane właśnie ze względu na niewyeliminowanie wpływu innych niż psychokineza, czynników w toku rejestracji zjawiska. W przypadku dr. Egely'ego i jego współpracowników, jak się wydaje, wymogom tym w pełni uczyniono zadość.

Swoje doświadczenia dr Egely zapoczątkował w 1982 roku angażując do nich we wstępnym etapie dwudziestu uczniów. Tych pierwszych pomiarów jeszcze nie dokumentowano. Dopiero później doszło do eksperymentów z udziałem większej już liczby osób, w warunkach kontrolowanych i zarazem umożliwiających precyzyjny zapis osiągniętych rezultatów.

Najważniejsze próby odbyły się w lutym oraz grudniu 1984 roku. W sumie uczestniczyło w nich około 300 osób. W pierwszej fazie byli to głównie uczniowie szkół średnich w wieku od 14 do 17 lat (przede wszystkim dziewczęta), w drugiej — studenci wydziału dramatycznego wyższej szkoły aktorskiej.

Z relacji dr. Egely'ego:

„Na początku krótko wyjaśniliśmy uczestnikom cel eksperymentu i pokazaliśmy im, w jakim położeniu powinni trzymać ręce. Poprosiliśmy ich również, by starali się maksymalnie skoncentrować, uprzedzając równocześnie, że jeśli nie osiągniemy żadnego wyniku — nie będzie to problemem. Następnie wprowadzono badanych do pomieszczenia próbnego w grupach pięcioosobowych, gdzie zapisaliśmy ich najważniejsze dane: nazwisko, wiek, wyniki w nauce, ulubiony przedmiot w szkole, ocenę z gimnastyki i aktualny stopień zmęczenia. Po opuszczeniu pokoju przystępowali oni pojedynczo do prób w pomieszczeniu, w którym znajdowała się tylko osoba prowadząca eksperyment. Jej zadaniem było sprawdzenie ułożenia dłoni oraz obserwacja pływających po powierzchni cieczy znaczników. Gdy zaczynał się ruch, uruchamiano stoper i kamerę, która pracowała automatycznie przez 90 sekund”.

Niedostatek taśmy filmowej i konieczność jej oszczędzania (problem, jak widać, nie tylko specyficznie polski) sprawiły, że rejestrowano jedynie te fragmenty eksperymentu, kiedy spowodowany psychokinezą ruch blaszek na powierzchni cieczy był dobrze widoczny. Z obserwacji prowadzących eksperyment wynikało, że następowało to zazwyczaj po dwóch, trzech minutach. Kamerę włączano dopiero wówczas, gdy blaszki przemieściły się przynajmniej o 30 stopni. Eksperyment traktowano jako nieudany, jeśli zmiana położenia była mniejsza niż 30 stopni lub ruch nie wystąpił w ogóle.

Oddajmy ponownie głos dr. Egely'emu:

„Wyniki doświadczeń z grudnia 1984 roku były następujące: **blisko połowa** (podkr. wł. — A.O. i M.R.) zakończyła się pomyślnie. Rozrzut wyników był jednak nierównomierny. Przede wszystkim sfilmowaliśmy tych uczestników, którym wcześniej taki eksperyment powiódł się w domu — po wstępnym przygotowaniu. Z pewnymi wyjątkami prawie wszystkim udało się go powtórzyć. Następną grupą, stanowiącą większość, byli ci, którzy nigdy wcześniej nie podejmowali tego typu prób. W ich przypadku eksperyment kończył się z różnym skutkiem. Najgorsze wyniki uzyskano (...), gdy próby rozpoczęły się wcześniej rano. Wszyscy uczniowie uskarżali się na senność. Stąd też osiem prób — jedna po drugiej — kończyło się fiaskiem; przypadek bez precedensu. Po pewnym czasie rozjaśniło się, ustał deszcz i wyszło słońce. Jednocześnie u uczniów zmniejszyło się uczucie zmęczenia. Nastąpiło więcej prób zakończonych pomyślnie, mimo że ich rezultaty ciągle nie były zbyt dobre. Przed obiadem, około godziny czternastej, uczestnicy znów zaczęli

uskarżać się na zmęczenie, a wyniki ponownie się pogorszyły.

W lutym, gdy prowadziliśmy próby z tymi samymi uczniami, wyniki były o wiele słabsze. Pomiarów prowadzono jednak w dniu poprzedzonym szkolnym bale, który przeciągnął się do późna w nocy. Sytuację prawdopodobnie pogarszała dodatkowo szczególnie ostra zima. Na wszystkich źle wpływała wyjątkowo niska temperatura — minus 25 stopni C. W tej sytuacji jedynie co dziesiąty wynik okazał się pomyślny, a znaczniki na ogół przemieszczały się tylko o ok. 30—60 stopni, podczas gdy w poprzedniej serii czasami obserwowano ruch z prędkością 360 stopni na minutę. Wnioskujemy stąd, że istnieje znaczne prawdopodobieństwo, iż na rezultat oddziaływań psychokinetycznych duży, jeśli nie decydujący, wpływ ma zmęczenie”.

Najciekawsze okazały się rezultaty kolejnej serii doświadczeń, w których wzięli udział studenci wydziału dramatycznego wyższej szkoły aktorskiej. Zainteresowanie się nimi przez dr. G. Egely'ego nie było przypadkowe. Jak bowiem wyjaśnił, ludzie ci, nim zostali przyjęci na uczelnię, musieli pomyślnie zdać konkursowe egzaminy wstępne, co już samo przez się wskazywało, iż trudno ich uznać za studentów przeciętnych. Jako swoje ulubione przedmioty wymieniali: poezję, dramat, muzykę i historię. Tylko jeden interesował się fizyką.

Z relacji prowadzących eksperyment naukowców (oprócz dr. Györgya Egely'ego uczestniczyła w nim dr Magdalena Dus) wynika, że studenci chętnie z nimi współpracowali; byli, z nielicznymi wyjątkami, „pogodni i otwarci”. Wszyscy przy tym w zasadzie zaliczali się do studentów „czwórkowych” i notowali na swoim koncie najlepsze rezultaty, jeśli chodzi o efekty psychokinetyczne.

„W niektórych przypadkach — stwierdza dr Egely — znaczniki nie poruszały się po regularnych kołach, lecz po nieregularnych krzywych. Zaobserwowaliśmy, że odkształcenie przebiegu zdarzało się głównie wtedy, gdy któryś ze znaczników zbliżał się do jednej z dłoni. Ciekawe (...) że niezależnie od położenia rąk (w doświadczeniach stosowano dwa różne ułożenia dłoni — przyp. A.O. i M.R.) kierunek ruchu był zwykle zgodny z ruchem wskazówek zegara, ale niekiedy również przeciwny. Co więcej, na ogół ruch rozpoczynał się właśnie w kierunku przeciwnym do biegu wskazówek zegara, ale następnie dość szybko zmieniał się w stały ruch, zgodny z tym, w jakim poruszają się wskazówki. Nasze największe zdziwienie wywołał fakt, iż w dwóch przypadkach ruch był wyłącznie promieniowy, a blaszki odsuwały się od siebie w stronę ścianek naczynia. Znajdowały się od nich w zbyt dużej odległości, by można było wyjaśnić to zjawisko efektem napięcia powierzchniowego. Nie sfilmowaliśmy tych przypadków, gdyż uważaliśmy, że nastąpił tu jakiś błąd. Dopiero później, gdy obie badane osoby wielokrotnie wywołały wspomniany efekt, doszliśmy do wniosku, że nie był to błąd, lecz autentyczne zjawisko psychokinetyczne, tyle że innego typu. Można je nazwać w uproszczeniu przypadkiem statycznym w odróżnieniu od innych, które nazwaliśmy dynamicznymi. Warto dodać, że w niektórych doświadczeniach mieliśmy do czynienia z bardzo regularnym ruchem po okręgu. Jest to dobrze widoczne na filmie”.

Niezbędne uzupełnienie: po wejściu do pomieszczenia wszyscy uczestnicy doświadczenia kładli dłonie na uziemionym kaloryferze, aby usunąć z nich ładunki statyczne. W drugiej serii eksperymentów mierzono dodatkowo wielkość dłoni osób biorących udział w próbie oraz ich temperaturę. Mimo że pomiary geometryczne dłoni zamykały się w przedziale od 100 do 200 cm kwadratowych, rejestrowana temperatura oscylowała w granicach 32 stopni C, zaś największe jej różnice (na plus lub minus) nie przekraczały trzech stopni.

Film „Bioelektryczność”, nakręcony przez dr. G. Egely'ego i wyświetlony na warszawskim sympozjum „Psychotronika 85”, mógł z natury rzeczy zaprezentować tylko niektóre fragmenty wielotygodniowych doświadczeń. W jego pierwszej części pokazano testy kontrolne, dotyczące zjawisk cieplnych i elektrostatycznych. Następnie — poprzez odwołanie się do analogii z elektrodynamiką — demonstrowano działanie siły Lorentza w silnym polu magnetycznym oraz elektrycznym. Wreszcie ostatnia, a zarazem najdłuższa część filmu, stanowiła zapis przebiegu eksperymentów, podczas których można było zobaczyć na własne oczy, jak woda w szalce Petriego i pływające na jej powierzchni blaszki (znaczniki) pod wpływem wyciągniętych dłoni powoli zaczynają wirować.

Ostateczny efekt wszystkich tych doświadczeń przeszedł najśmielsze oczekiwania. Okazało się, że na trzysta osób, które zostały poddane eksperymentom, aż dziesięć procent zakończyło testy pomyślnie. Oznacza to, że w trzydziestu przypadkach uzyskano rezultat świadczący o **oddziaływaniu psychokinetycznym** (dr Egely: „Po wyeliminowaniu wszelkich czynników, które mogły mieć ewentualny wpływ na wynik doświadczeń, doszliśmy do wniosku, że zarejestrowany przez nas ruch jest ewidentnym wynikiem psychokinezy”).

W przyszłości węgierski fizyk — jak wynikało z naszej rozmowy — zamierza swoje eksperymenty pogłębić. Między innymi pragnie sprawdzić, w jakim stopniu wpływ na wyniki prób ma wzrok osoby poddanej badaniu (innymi słowy, czy koniecznym warunkiem osiągnięcia wspomnianych efektów jest

sprężenie zwrotne ze wzrokiem). Dotychczas — po przysłonięciu oczu osobom badanym eksperyment powiódł się tylko w jednym przypadku. Zdaniem dr. Egely'ego celowe byłoby również przeprowadzenie badania w sytuacji gdy uczestnik próby nie będzie wiedział, jakiego wyniku należy oczekiwać (w takim przypadku cała rzecz sprowadzałaby się jedynie do pouczenia, w jaki sposób ustawić dłonie). Interesujące wreszcie wydaje się powtórzenie podobnych doświadczeń, np. w rękawiczkach lub przy użyciu dodatkowych ekranów, wykonanych z różnych materiałów.

Odrębną ważną sprawą byłoby także podjęcie pomiarów rozkładu prędkości cieczy w trakcie eksperymentów psychokinetycznych. Dr Egely mówi: „Już samo wykrycie parabolicznego rozkładu prędkości może dowodzić istnienia zjawiska psychokinetycznego. W przypadku, gdyby stwierdzono np. liniowy rozkład prędkości typu »couette« (ogon), dowodziłoby to, że ruch stanowił wynik błędu w eksperymencie, nie zaś psychokinezy. Do tego niezbędna jest jednak szczególnie czuła kamera, ponieważ przy zastosowaniu metody elektrochemicznej pomiaru rozkładu prędkości cieczy, wykorzystującej barwnik, kontrast między płynem a barwnikiem jest niewielki. Na dobrą sprawę potrzebne byłyby więc dwie kamery, z których jedna filmowałaby ruch z góry, a druga z boku. Na podstawie uzyskanych w ten sposób danych, posługując się magnetohydrodynamiką, można by wyznaczyć przynajmniej przybliżone pole powodującej ruch siły mechanicznej. Jeszcze lepsze możliwości w tym względzie stwarza zastosowanie laserowych promienników ultrafioletowych i płynów fotochemicznych. Większość badaczy nie dysponuje jednak takimi możliwościami”.

Z eksperymentów węgierskiego fizyka dr. Györgya Egely'ego płynie jeden generalny wniosek: że zjawiska psychokinetyczne nie są wcale tak rzadkie i nieuchwytnie, jak zwykło się przypuszczać, a już z pewnością nie mają nic wspólnego z nadprzyrodzonymi właściwościami żywego organizmu. Tak oto żyrafa, ów cud natury, mocno stanęła na swoich pozornie cienkich i chwiejnych nogach.

Prof. Carl Gustav Jung: *„Znamy tylko różne fragmenty człowieka. ale prawda dotycząca części może się okazać kłamstwem, gdy chodzi o całość”*.

Ostatni zapis

Obserwacje, poczynione w okresie ponad czterdziestu miesięcy, jakie upłynęły od chwili pojawienia się po raz pierwszy w otoczeniu Joasi Gajewskiej niezwykłych zjawisk, nie przyniosły rozwiązania zagadki. Trudno nawet powiedzieć, by je w sposób znaczący przybliżyły. Natomiast kwestionowanie samej rzeczywistości fenomenu byłoby dziś tożsame z wyważaniem otwartych drzwi.

Obcując z Joasią Gajewską od ponad trzech i pół roku, spędzając z nią wiele godzin na wspólnych rozmowach, uświadamiamy sobie coraz wyraźniej, jak bardzo nasza bohaterka w tym czasie się zmieniła. Pisząc o niej w 1986 roku właściwie powinniśmy definitywnie porzucić słowo: dziewczynka. Niegdysiejsza trzynastoletnia panienka 25 marca 1986 roku ukończyła bowiem 16 lat. Wydorosłała przy tym i wewnętrznie dojrzała.

Kiedy latem 1983 roku pytaliśmy Joannę, jak reaguje na zjawiska towarzyszące jej życiu od kilku miesięcy, odpowiedziała: „Nigdy nie wiem, kiedy to nastąpi, ale już się nie boję. Do wszystkiego można przywyknąć”. Po trzech latach od tamtej rozmowy Joasia sprawia wrażenie znużonej tym, co się wokół niej dzieje. Ale też w miarę upływu czasu sytuacja staje się coraz bardziej kłopotliwa.

Efekty kinetyczne nadal pojawiają się nieregularnie i ze zmiennym natężeniem, przy czym wykazują pewne nowe cechy w stosunku do wcześniejszego okresu. Przede wszystkim zaczynają przenosić się w ślad za dziewczyną, coraz częściej dając o sobie znać nie tylko w rodzinnym mieszkaniu. Co gorsze, niektóre z nich okazują się bardzo nieprzyjemne dla samej Joanny.

Wielokrotnie namawialiśmy państwa Gajewskich, by zaprowadzili swego rodzaju dziennik, w którym notowaliby poszczególne zjawiska wraz z ich dokładną datą, godziną oraz krótkim opisem. Niestety, okazuje się to niemożliwe głównie ze względu na stan nerwów pani Gajewskiej, która po każdym takim incydencie jest kompletnie roztrzęsiona. W tej sytuacji opis kilkunastu konkretnych obserwacji, jakie pragniemy obecnie przytoczyć, stanowi rezultat prowadzonych przez nas systematycznie notatek. Ich źródłem były relacje naocznych świadków zjawisk (zarówno domowników, jak i osób trzecich), przekazywane nam bezpośrednio po wystąpieniu efektów kinetycznych. Niektóre z tych relacji dotyczą lat wcześniejszych, ogromna większość jednak została przez nas zarejestrowana na krótko przed oddaniem maszynopisu do wydawnictwa (stąd tytuł rozdziału; „Ostatni zapis”).

17 czerwca 1983 roku wśród wprawionych w jednej chwili w ruch licznych przedmiotów, z łoskotem rozbijających się o ścianę, jest m. in. buteleczka po lekarstwie, którą Andrzejowi Gajewskiemu udaje się złapać w locie. Jak twierdzi, szkło było gorące do tego stopnia, że parzyło palce, jednak jego temperatura szybko opadła. Relacja ta wydaje się o tyle ważna, że o podwyższonej temperaturze niektórych przedmiotów, zabezpieczonych natychmiast po przelotach, mówiło wiele osób.

23 września 1983 roku o godzinie szóstej rano w mieszkaniu dochodzi do prawdziwej eksplozji kinetycznej. Przemieszczenia różnych przedmiotów, przede wszystkim szklanek, garnków, talerzy, przyborów kosmetycznych, butów oraz sztućców, są tak błyskawiczne, że o ich uporządkowanej obserwacji nie ma mowy. Zjawisko trwa od 4 do 6 minut. Skalę zniszczeń, do jakich wówczas doszło, obrazują zdjęcia wykonane w kilka godzin później przez zawiadomionych telefonicznie pracowników Ośrodka Dokumentacji Politechniki Gliwickiej. Na fotografiach widać zaścielające podłogę setki odłamków szkła, ślady po uderzeniach w drzwi i ścianę oraz inne liczne uszkodzenia.

1 października 1983 roku przebywający w mieszkaniu państwa Gajewskich dr Eustachiusz Gadula jest świadkiem paranormalnego przemieszczenia się dwóch par nożyczek. Ich lotu nie udaje się zaobserwować ze względu na ogromną prędkość szybujących przedmiotów.

5 kwietnia 1985 roku około godziny trzynastej Joasia dzwoni do nas z Czeladzi informując, że jest w domu sama i właśnie „zaczęło latać”. W słuchawce słychać wyraźnie kakofonię nakładających się na siebie dźwięków. Przypominają one świst oraz odgłosy uderzania przedmiotów o przeszkody. Aby celowo wywołać takie efekty akustyczne (zważywszy, że Joasia stała w tym momencie ze słuchawką w rękę), w mieszkaniu musiałyby działać przynajmniej jeszcze dwie inne osoby. Natychmiast po zakończeniu rozmowy z Joanną zatelefonowaliśmy do Ewy oraz Andrzeja Gajewskich (uczyniliśmy tak dla spokoju sumienia oraz rzetelności zapisu). Stwierdziliśmy, że oboje w tym czasie przebywają w pracy.

W nocy z 8 na 9 sierpnia 1985 roku (Joasia śpi wówczas razem z matką) wśród przemieszczających się nagle przedmiotów jest szklanka, która trafia Ewę Gajewską w głowę, powodując niewielkie obrażenia w postaci guza i zasinienia. Szklanka — skutek uderzenia — nie pękła.

30 sierpnia 1985 roku w ciągu kilkunastu sekund wygięciu ulegają wszystkie krany w domu. Wkrótce po ich wymianie nowe krany zostają ponownie odkształcone.

4 września 1985 roku urywa się umywalka wraz z jedną podtrzymujących ją metalowych podpór (druga z nich została wygięta).

18 października 1985 roku w trakcie popołudniowego seansu w sosnowieckim kinie „Muza”, do którego Joasia wybrała się wspólnie z Szymonem Siedleckim i innym kolegą, Wojciechem Dudałą (dwóch niezależnych świadków), lecą nagle w jej kierunku odłamki szkła, raniąc w policzek. Skąd szkło znalazło się w kinie — nie wiadomo.

8 marca 1986 roku podczas pobytu w mieszkaniu Joasi jej szkolnej koleżanki Joanny Potępy dochodzi do bardzo groźnego wydarzenia. Pozostawiona przez ojca w przedpokoju wiertarka udarowa typu „Celwia”, ważąca sześć kilogramów, unosi się nagle w powietrze i z dużą szybkością przemieszcza na odległość około 3 metrów, przebijając na wylot drzwi łazienki, a następnie wpadając do wanny, w której wcześniej namoczono kołdrę. Dziewczęta w tym czasie znajdowały się w sypialni i poza nimi w domu nie było nikogo.

21 marca 1986 roku podczas opuszczania mieszkania wraz z koleżanką Joasia zostaje ugodzona w plecy widelcem. Inne przemieszczające się przedmioty trafiają wścianę.

10 kwietnia 1986 roku Joanna dostaje bardzo wysokiej gorączki (41,5 stopnia), która trwa przez dwa dni. W tym czasie traci przytomność. Wzywani kilkakrotnie lekarze z pogotowia rozkładają bezradnie ręce, gdyż nie mogą stwierdzić żadnej choroby. Wystąpieniu temperatury towarzyszy nasilenie przemieszczania się przedmiotów oraz pojawienie zupełnie nowego, dotąd nie znanego zjawiska w postaci lejącej się z sufitów oraz ścian wody. Przesiäkają nią łóżka, dywan oraz meble. Efekty te dają o sobie znać również po wyłączeniu dopływu wody do mieszkania.

Podczas naszego ostatniego — przed złożeniem maszynopisu w wydawnictwie — pobytu w Czeladzi (jesień 1986 roku) nagraliśmy rozmowy z kolejnymi naocznymi świadkami efektów kinetycznych. W **przeważającej** liczbie przypadków zjawiska widziały jednocześnie co najmniej dwie osoby, nierzadko zaś było ich więcej.

Mówi Małgorzata Formicka z I klasy Liceum Medycznego, w którym Joanna Gajewska 1 września 1985 roku podjęła naukę:

— Kilka dni po rozpoczęciu roku szkolnego szłyśmy z Joanną oraz innymi dziewczętami na basen. Kiedy przechodziłyśmy korytarzem, znajdującym się na parterze budynku, usłyszałam nagle głośny huk. Zobaczyłyśmy, że na podłodze w pobliżu okna leży mnóstwo odłamków szkła. Nie wiemy, skąd się tam wzięły, bo szyba nie była stłuczona.

Agnieszka Grygiel, uczennica Liceum Medycznego:

— Przed kilkoma tygodniami, dokładnej daty sobie nie przypominam, byłam świadkiem w mieszkaniu Joanny Gajewskiej przelotu szklanki oraz kubka. Szklanka ta uderzyła w głowę naszą koleżankę, Joannę Potępę.

Joanna Potępa, uczennica Liceum Medycznego:

— Wielokrotnie widziałam przeloty różnych przedmiotów w obecności Joasi. Między innymi podczas niedawnej wizyty w mieszkaniu naszej koleżanki, Renaty Bęben, doszło do nagłego przemieszczenia się szklanki, która uderzyła mnie w głowę. Innym razem, gdy wychodziłyśmy od Joasi z domu, ugodził mnie w plecy nóż.

Szymon Siedlecki, uczeń Liceum Ogólnokształcącego w Będzinie:

— Byłem u Joanny wspólnie z naszym kolegą Wojciechem Dudałą. Widzieliśmy wówczas między innymi przelot butelki, która uderzyła w kant ściany. Natomiast, kiedy opuszczaliśmy razem z Joasią mieszkanie, wyleciała za nią na klatkę schodową buteleczka z kroplami nasercowymi. Podobny wypadek wydarzył się w szpitalu, gdzie Joasia w ramach zajęć szkolnych odbywała prace społeczne, a ja do niej wstąpiłem. Przechodząc korytarzem usłyszeliśmy głośny brzęk. Po rozejrzeniu się zobaczyliśmy słoik, który uderzył o parapet i stłukł się. Sprzątaczką miała o to do nas pretensję, gdyż sądziła, że urządzamy jej kawały. W tym samym czasie za Joasią wyleciało jakieś lekarstwo w buteleczce, która upadła na podłogę. Natychmiast ją odnieśliśmy do gabinetu zabiegowego, ale pielęgniarka nie zgodziła się przyjąć lekarstwa.

Joanna Potępa:

— Podczas prac społecznych w szpitalu razem z koleżankami zobaczyłyśmy nagle nadlatującą gdzieś z góry butelkę, która upadła na podłogę. Było to w pobliżu oddziału neurologii i wyglądało tak, jakby ta butelka „wyłoniła się” z sufitu.

Pytanie do Szymona Siedleckiego:

— Czy możesz opisać charakter zjawisk, które obserwowałeś w mieszkaniu Joasi Gajewskiej 17 lutego 1986 roku?

Odpowiedź:

— Latało normalnie, trywialnie można powiedzieć, jak zawsze. Pamiętam tylko, że oprócz tego powygięta wtedy krany w kuchni i łazience.

Dodajmy dla porządku, że nauczyciele trzech dziewcząt, których wypowiedzi cytowaliśmy, oceniają ich poziom intelektualny jako dobry lub bardzo dobry. Nie zaobserwowali też nigdy u nich jakichkolwiek oznak lub choćby tylko skłonności do konfabulacji.

Joasia w nowej szkole cieszy się dobrą opinią. Kiedy po zdaniu egzaminu wstępnego została przyjęta do Liceum Medycznego, nikt z pedagogów nie kojarzył jej osoby z prasowymi relacjami sprzed dwóch i pół roku, o których już zdążono zapomnieć. Trudno się temu dziwić, gdyż nazwisko „Gajewski” jest dość popularne, zaś rodzice woleli na wszelki wypadek nie obnosić się z fenomenem córki.

Długo jednak faktu tego ukryć się nie dało. Najwcześniej domyśliła się wszystkiego obecna wychowawczyni Joasi, Jolanta Wolniak, która podobnie jak Janina Ostrowska ze szkoły podstawowej otoczyła uczennicę dyskretną opieką. Ostatni dowiedział się o sprawie dyrektor Liceum Leszek Lasota. Na szczęście — o czym mogliśmy się przekonać — jest on człowiekiem otwartym i doskonale rozumiejącym potrzebę indywidualnego podejścia do tak niezwykle podopiecznej. Ze swej strony miał tylko jedną prośbę: żeby Joasia wygięła przy nim łyżeczkę, którą będzie mógł zachować na pamiątkę. Próba ta, przeprowadzona w gabinecie dyrektorskim w naszej obecności oraz dwóch pań nauczycielek — mimo wyraźnego stremowania Joasi — powiodła się. Zaraz potem uczennica wróciła do klasy, by wziąć udział w zajęciach z pielęgniarstwa, podczas których dziewczęta ćwiczyły m. in. zmianę bielizny na obłożnie chorym pacjencie oraz dezynfekcję łóżka lizolem. W przyszłości, zgodnie z wybranym przez siebie kierunkiem nauki, Joasia chce zostać pielęgniarką.

Czy fenomen Joanny Gajewskiej ze Śląska będzie trwał jeszcze długo? Nie ma dziś człowieka potrafiącego odpowiedzieć na to pytanie. Jeśli — jak chcą niektórzy — „sprawcą” efektów kinetycznych miałyby być istotnie gwałtowne przemiany hormonalne zachodzące w organizmie, trudno wykluczyć, że wraz z zakończeniem okresu dojrzewania niezwykle zjawiska zanikną. Może być jednak również inaczej, o czym świadczą przykłady japońskich ekstrasensów Masuaki Kyoty i Hiroto Yamasty. Ta ostatnia ewentualność jest szczególnie prawdopodobna w świetle niezwykle interesującej i przekonująco uargumentowanej hipotezy dr. Mirosława Harciarka, która wiąże fenomen ze specyficznymi transferami półkul mózgowych, jakie zaobserwował w trakcie badań i eksperymentów prowadzonych z Joanną. Warto dodać, że koncepcja ta koresponduje z uwagami dr. Wolfganga Howalda z Uniwersytetu w Münster, który w rozmowie z nami we wrześniu 1985 roku zwrócił uwagę na „niespotykany, bardzo wysoki poziom spójności (koherencji aktywności elektrycznej) obu półkul mózgowych”, zarejestrowany w trakcie doświadczeń prowadzonych z osobami o właściwościach ekstrasensywnych, zwłaszcza podczas uprawiania przez nie medytacji transcendentnej.

Obserwacje poczynione w okresie czterdziestu kilku miesięcy, które upłynęły od chwili pojawienia się po raz pierwszy w otoczeniu Joasi Gajewskiej niezwykle zjawisk, nie przyniosły rozwiązania zagadki. Trudno nawet powiedzieć, by je w sposób znaczący przybliżyły. Umożliwiły natomiast pełniejsze poznanie fenomenu oraz w miarę dokładną rejestrację jego (zewnątrznych) przejawów. To już sporo, choć ciągle mało, aby można było odwołać się do jednoznacznych interpretacji i wniosków. Jedno jest pewne: że w świetle materiałów, których dostarczyły prowadzone w tym samym okresie eksperymenty i badania, kwestionowanie samej **realności** zjawiska byłoby dziś tożsame z wyważaniem otwartych drzwi.

Znany węgierski biochemik, laureat Nagrody Nobla z 1937 roku Albert Szent-Györgyi, napisał: „Fizyka jest nauką prawdopodobieństw, natomiast biologia jest nauką o zjawiskach nieprawdopodobnych. Żywy organizm pracuje na bazie reakcji, które są statystycznie nieprawdopodobne”.

Nasz zapis poświęcony sosnowieckiemu fenomenowi psychokinetycznemu urywa się na przełomie 1986 i 1987 roku. To, co zdarzy się jutro, pozostaje wielką niewiadomą.

Reporter w odróżnieniu od naukowców, mających do dyspozycji laboratoria i nowoczesną aparaturę badawczą, operuje tylko piórem. Uskarżająca się od czasu do czasu na zawroty głowy Joanna Gajewska zafundowała również zawrót głowy współczesnej nauce. Tylko od ludzi kompetentnych i uczciwych, odważnie torujących drogę naukowemu poznaniu, zależy, czy ów stan okaże się uleczalny, czy też przeobrazi w długotrwałą migrenę.

Autorzy składają tą drogą serdeczne podziękowania wielu ludziom dobrej woli, w szczególności zaś dr. Eustachiuszowi Gaduli, dr. Andrzejowi Frankowi, dr. Mirosławowi Harciarkowi, prof. Magdalenie Hanickiej oraz mgr. inż. Grzegorzowi Zapalskiemu, którzy okazali im pomoc przy zbieraniu materiałów do książki.

Zdjęcia: Anna Ostrzycka, Marek Rymuszko, Maciej Billewicz, Eustachiusz Gadula, Waldemar Sułek oraz Zakład Nowych Technik Nauczania Politechniki Śląskiej. Reprodukcje: Anna Ostrzycka, Marek Rymuszko, Michał Sielewicz, CAF-Radkiewicz, Marek Dworczyk.



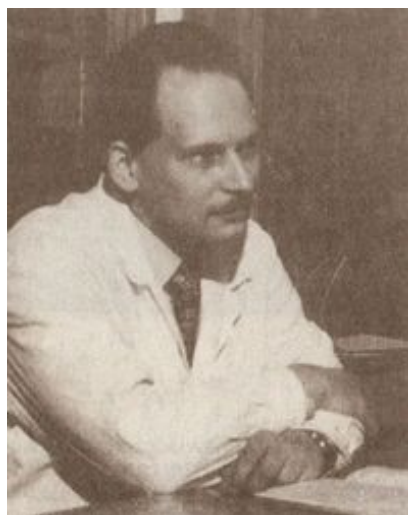
To zdjęcie — za pośrednictwem serwisów fotograficznych agencji światowych — w maju 1983 roku obiegło świat. Joasia Gajewska wyszła na nim nieco demonicznie. W rzeczywistości wygląda tak, jak na zdjęciu na odwrocie. „.... Taka sama choć trochę inna”.



„... Zupełnie jakby ktoś przeciął szklanę diamentem”. Jesień 1983 roku.



Z dr. Eustachiuszem Gadulą. „Joasia miała szczęście, że napotkała na swej drodze tego właśnie człowieka”.



Dr Andrzej Franek z Zakładu i Katedry Biofizyki Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrze-Rokitnicy. „Przystępował do badań z pozycji zdecydowanego sceptyka”.



Zdjęcie wykonane 5 lipca 1983 roku podczas doświadczeń z Joasią w Reptach Śląskich. „Fotel skręcał się o duży kąt i ze znacznym momentem obrotowym”. Mimo opuszczenia go przez dziewczynkę, fotela nie udało się utrzymać czterem dorosłym osobom.



Z rodzicami: „... czasami, jak się to wszystko zaczyna dziać, nie wiadomo śmiać się czy płakać”.



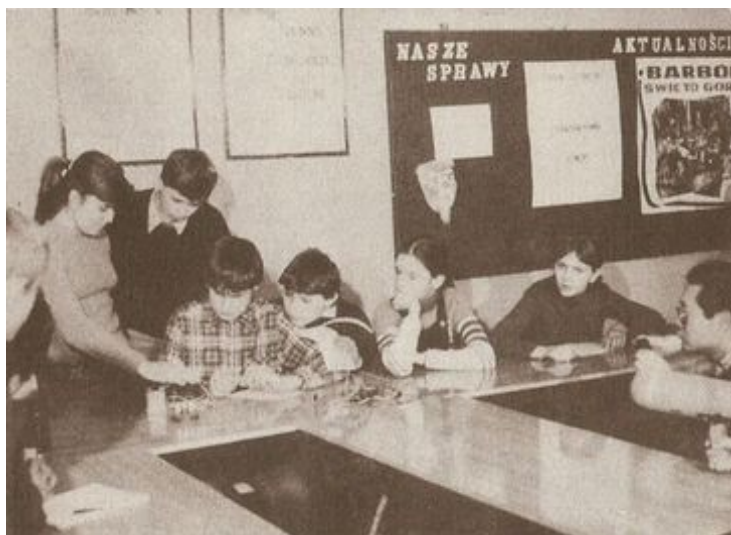
Z autorami książki w przerwie doświadczeń z pomiarami potencjałów czynnościowych. Maj 1983 roku.



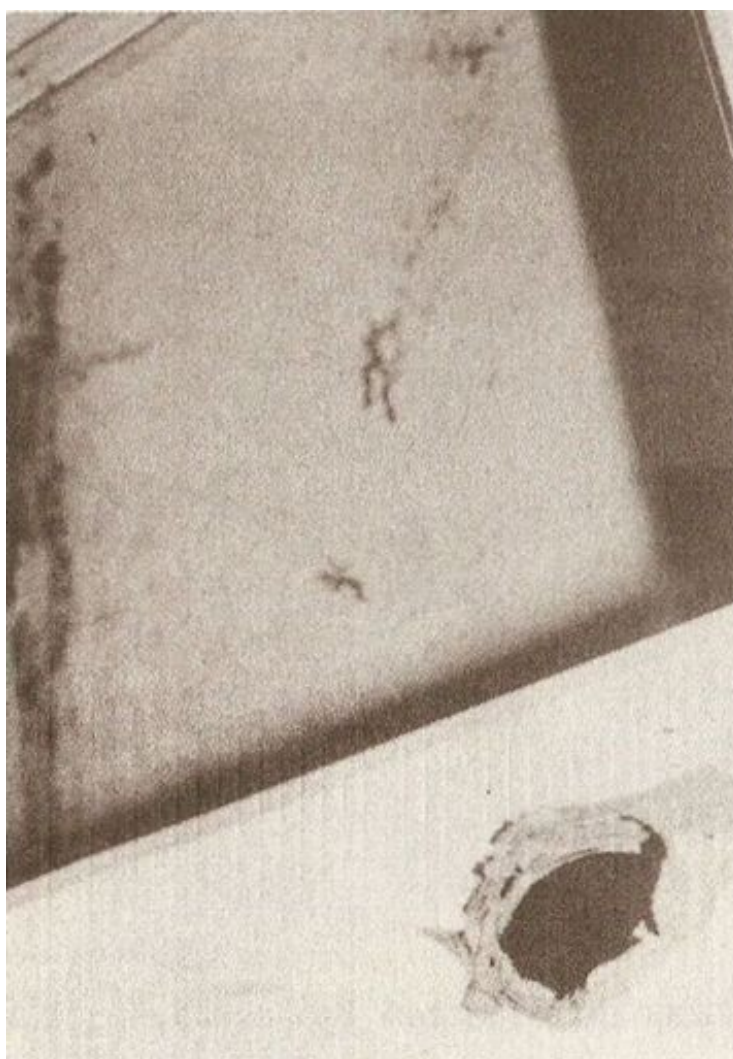
Test telepatyczny przeprowadzony 18 grudnia 1983 roku. Na osiem figur „nadanych” przez Janinę Ostrowską Joasia prawidłowo odczytała siedem (w innej próbie wynik wyniósł dziesięć na dwanaście).



Z dr. Jerzym Sosnowskim podczas doświadczeń biofizycznych. Maj 1983 rok.



Tym razem doświadczenie z gaszeniem żaróweczki podłączonej do baterii nie udało się. Podczas wizyty w szkole, grudzień 1983 rok.



Otwór w drzwiach po wbiciu się w nie lecącej z ogromną szybkością butelki. Efekt zarejestrowany w styczniu 1986 roku.



Muzeum osobliwości, czyli fragment mieszkania państwa Gajewskich. Manifestacje kinetyczne dają o sobie znać ze szczególną siłą w przedpokoju.



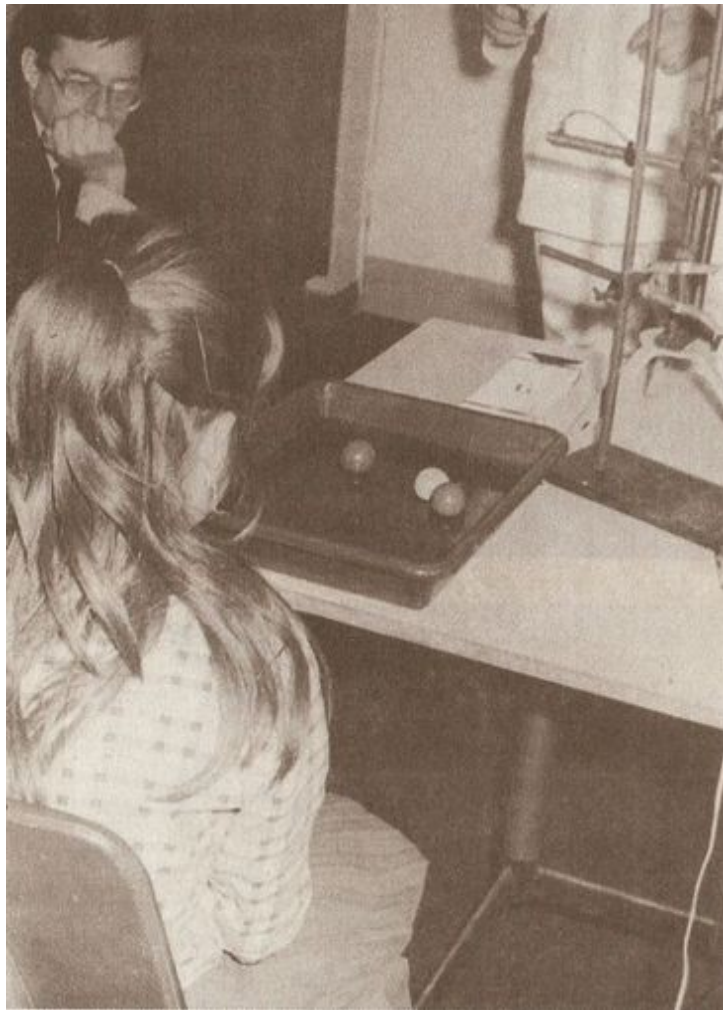
Ściana w przedpokoju mieszkania. O remoncie nie ma co myśleć. Zdjęcie wykonane latem 1986 roku.



Tak właśnie wyglądają drzwi do łazienki w mieszkaniu państwa Gajewskich po licznych przelotach przedmiotów. „Paniuszka z okienka” jakby z siebie zadowolona. Zdjęcie wykonano wiosną 1986 roku.



Kto tu jest bardziej zachwycony zabawą? No cóż, nie bądźmy zbyt drobiazgowi.



Podczas doświadczeń przeprowadzonych w ramach bloku badań biofizycznych. Czerwiec 1983 rok.

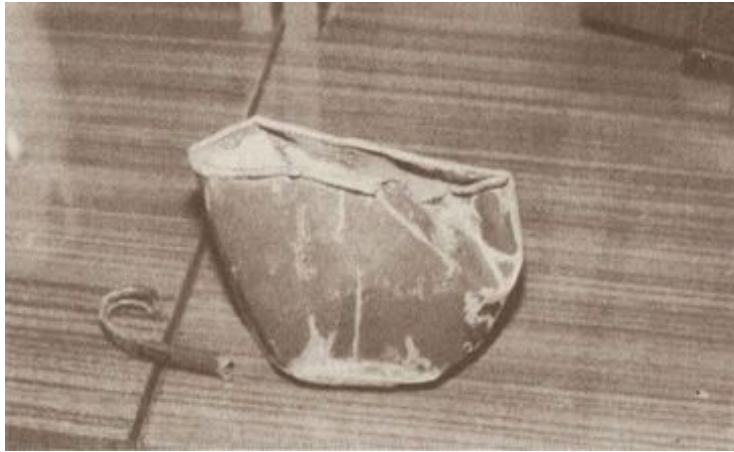




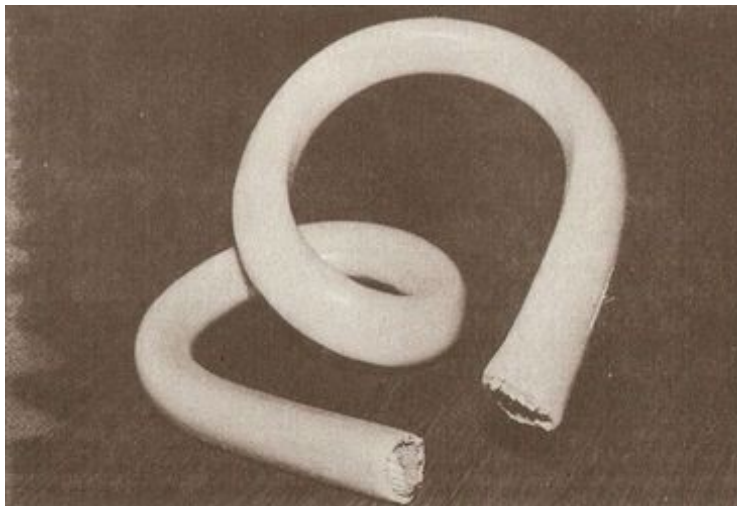
Japońska przygoda Joasi Gajewskiej. „... namawiali do pracy nad sobą, a zwłaszcza uprawiania medytacji i jogi”. Na zdjęciach: szef ekipy Fuji Television – Toshio Uruta (w towarzystwie dr. E. Gaduli), pisarz i komentator telewizyjny japońskiej Takashi Tachibana oraz operator kamery Yoshihiro Itoh i inżynier dźwięku Yoichi Hirai (podczas kręcenia zdjęć).



Grudzień 1983. Sądząc, że takie »zabezpieczenia« ochronią pozostawioną na noc kamerę byliśmy poniekąd naiwni.



To był kiedyś zwykły, używany w kuchni garnuszek. Tak wygląda po „przelocie” kinetycznym 16 lutego 1986 roku.



Kabel wielożyłowy, wykorzystywany w przewodach wysokiego napięcia. Joasia zgięła go przez pocieranie na zasadzie zabawy.



Krany w domu są powyginane, zupełnie jakby ktoś się nad nimi „znącał”. Podobnie wyglądał kran w pokoju 309 w sanatorium zakopiańskim po „eksplozji” kinetycznej 30 stycznia 1985 roku.



16-letnia Joasia Sokół z Sochaczewa (pierwsza z lewej) z młodszą siostrą. Również w tym przypadku fenomen psychokinetyczny zdaje się nie budzić wątpliwości.



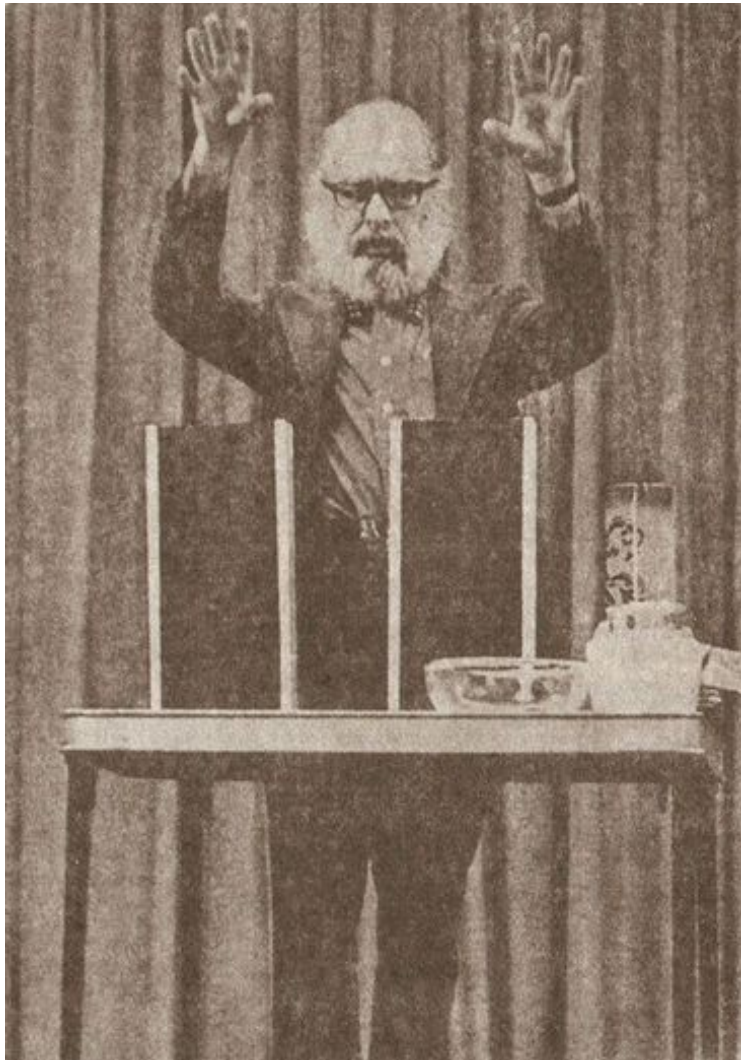
Japoński fenomen psychokinetyczny – student uniwersytetu tokijskiego Masuaki Kyota. Potrafi wygiąć sztucce nie dotykając ich; odbija również na błonie światłoczułej proste obrazy. Niestety, mimo istnienia takiego projektu, nie udało się doprowadzić do jego spotkania z Joasią Gajewską.



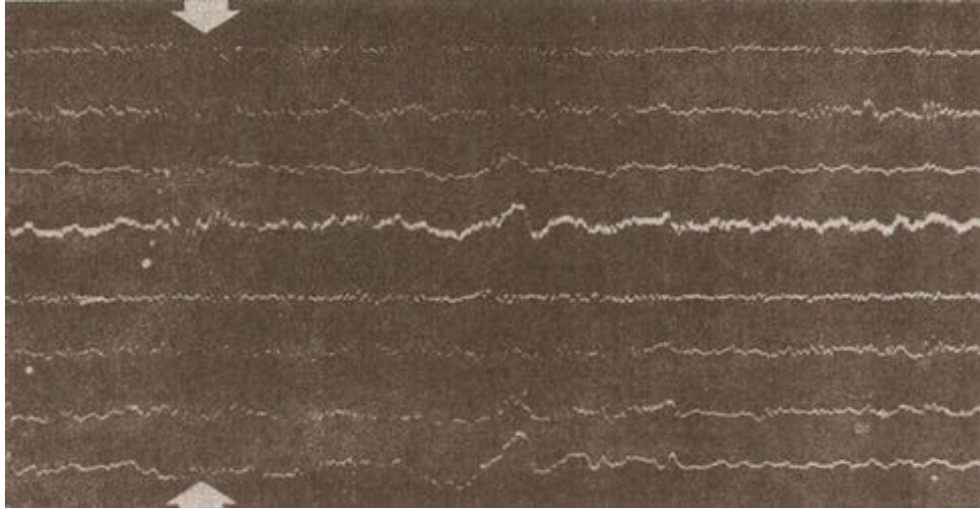
Inny japoński fenomen psychokinetyczny – Hiroto Yamasta. Poza wyginaniem łyżeczek potrafi, mimo zakrytych oczu, dokładnie opisać miejsce, w jakim się znajduje (zjawisko jasnowidzenia w przestrzeni).



Prof. Puthoff obserwuje Uri Gellera próbującego wpłynąć na ciężar przedmiotu osłoniętego szklanym kloszem. Geller wspominał później, że myśl o wzięciu udziału w eksperymentach naukowych początkowo napawała go strachem, ale niewymuszona atmosfera, jaka panowała w laboratorium w Instytucie Stanford sprawiała, iż uspokoił się i czuł się pewnie oraz swobodnie, udowadniając swoje niezwykle możliwości.



Jeden z najzagorzalszych przeciwników Gellera – magik i iluzjonista Randi. Profesorowie Puthoff i Targ zdecydowanie odrzucili zarzut Randiego, iż w trakcie eksperymentów w Instytucie Stanford padli ofiarą mistyfikacji, zaś E. Byrd udowodnił Randiemu kolportowanie pospolitych kłamstw.



Enkefalogram 15-letniego chłopca wyginającego metale, który był badany przez profesora matematyki Johna Taylora z Uniwersytetu Londyńskiego. Podczas odkształcania sztuczków do głowy badanego podłączono elektrody, umożliwiające zapis fal mózgu. Strzałki wskazują moment, w którym rozpoczęło się wyginanie metalu. W pracy mózgu nie stwierdzono jednak w tym czasie żadnej wyraźnej zmiany.



Jedno z „cudownych” dzieci zginających metalowe sztucze bez użycia siły fizycznej – 7-letni, w momencie wykonania tego zdjęcia, Mark Shelley. Został on odkryty i przebadany przez profesora Johna Taylora. Mistryfikację wykluczono.



Skonstruowany przez prof. Taylora pomiarowy pasek z aluminium, który – po podłączeniu go z ciśnieniomierzem – dokładnie pokazywał ciśnienie, z jakim Geller działa na metal. Kiedy Geller dotykał metalu, rzeczywiście się on wyginał; jednak membrana czuła na nacisk reagowała w ciągu 10 sekund.



Jedno z ważniejszych zdjęć, dokumentujących manifestację psychokinetyczną. Doszło do niej w 1965 roku w hotelu w Barnsley w Wielkiej Brytanii. W obecności 14-letniego ucznia Michaela Collinridge'a z Yorkshire oraz kilku świadków, laska wykonała efektowny „skok” w powietrzu, upadając za łożko, na którym leżał chłopiec. Jednej z obecnych osób udało się sfotografować to zjawisko.



Prof. Dr hab. Arkadiusz Góral, elektronik ciała stałego. W myśl jego teorii przyczyną efektów kinetycznych jest gromadzenie się ładunku grawitacyjnego w zewnętrznej, subtelnej otoczce cząstki elementarnej, co powoduje lokalne zaburzenia elementarnych oddziaływań zwłaszcza pola grawitacyjnego, a w konsekwencji naruszenie więzi atomowych i osłabienie istniejącej struktury fizycznej przedmiotów.



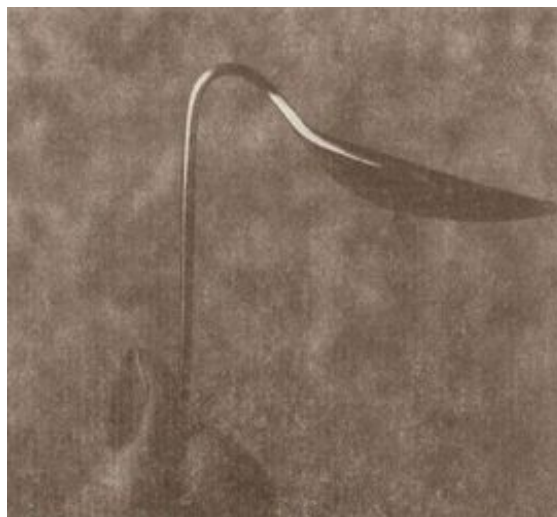
Mgr inż. Grzegorz Zapalski, elektronik. Uważa, że „odpowiedzialne” za efekty kinetyczne są emitowane przez organizm dziewczynki, a zwłaszcza jej mózg, fale grawitacyjne o określonej częstotliwości, zaburzające lokalnie ziemskie pole magnetyczne.



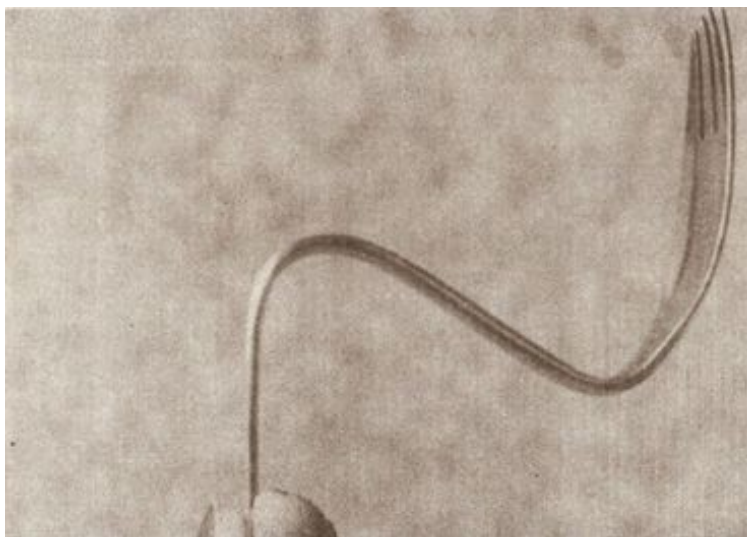
Dr Mirosław Harciarek, psycholog. Mechanizm zjawiska upatruje w potwierdzonym licznymi badaniami specyficznym transferze półkul mózgowych dziewczynki.



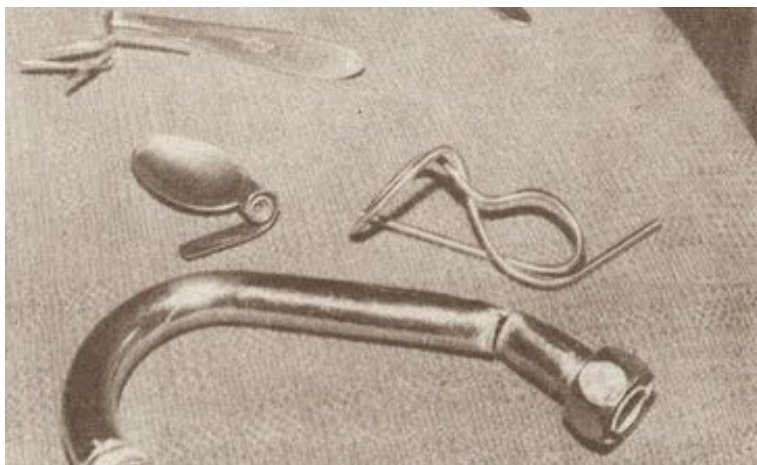
Prof. Lech J. Radwanowski, biocentocyt. Sądzi, że przyczyn fenomenu należy w pierwszym rzędzie upatrywać w specyficznym metabolizmie komórkowym zachodzącym w organizmie dziewczynki, a zwłaszcza przebiegających odmiennie, niż u przeciętnego człowieka, transformacjach potencjałów czynnościowych.



Próbki możliwości Joasi w sferze „odkształcania” przedmiotów. Zdjęcie wykonane w 1983 roku.

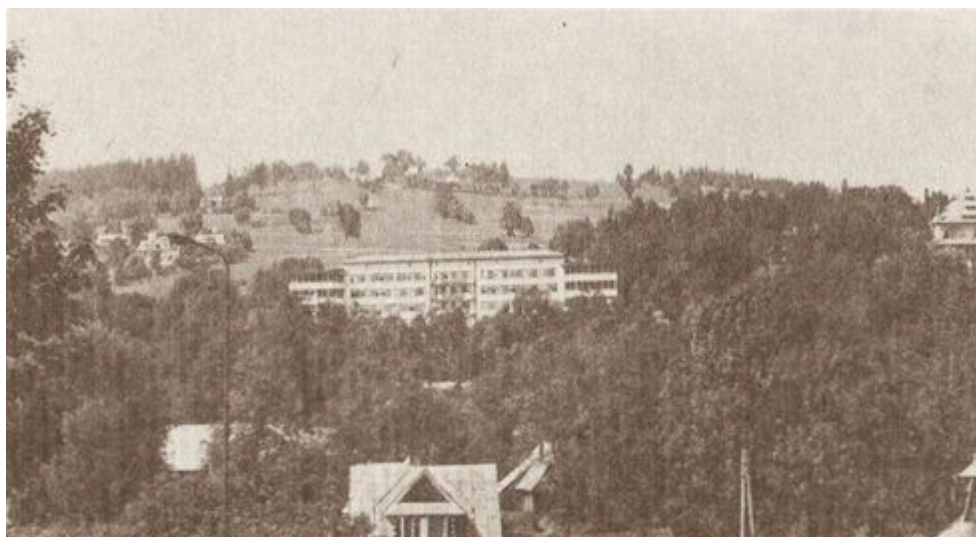


Zdjęcia wykonane w latach 1983-84 (na górze) oraz w 1985 i 1986. Niektóre sztuczce podczas pocierania pękały.





W nowej szkole; I klasa licealna; marzec 1986 roku. „I jak tu uczyć w tej sytuacji fizyki?”



Akademickie Centrum Rehabilitacji im. dr. S. Jasińskiego w Zakopanem, gdzie w 1985 roku przebywała Joasia Gajewska.



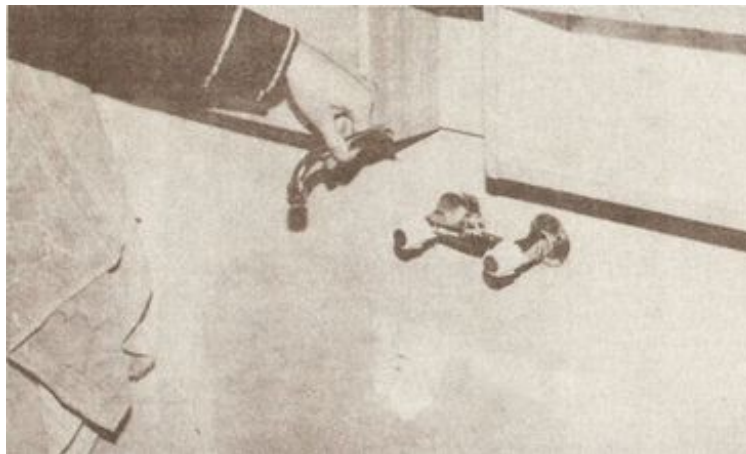
Obserwatorzy manifestacji psychokinetycznych Joasi Gajewskiej w zakopiańskim sanatorium na przełomie stycznia i lutego 1985 roku: przełożona pielęgniarek Krystyna Kolak, salowa Maria Wojtaś-Opiela oraz III roku Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu Waldemar Sułek.



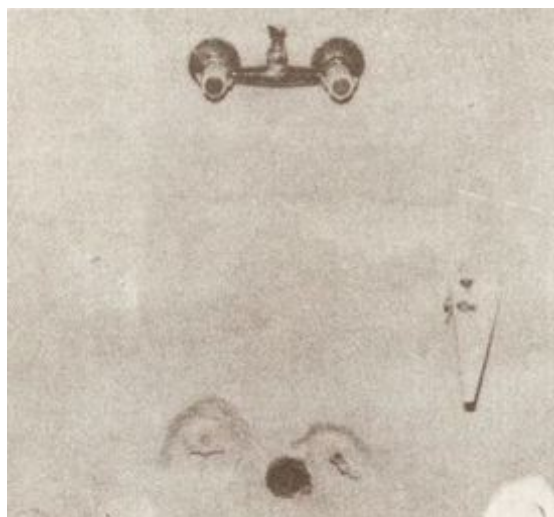
Ślad po urwanym dekle puszkii elektrycznej na III piętrze zakopiańskiego ACR. Widać wyraźnie dysproporcję między wzrostem człowieka i wysokością, na jakiej znajdują się gniazda. Dekle „powyrywało” ze ściany.



Seria zdjęć wykonanych 30 stycznia 1985 roku w pokoju 309 w zakopiańskim ACR, tuż po największej – podczas całego pobytu w sanatorium Joanny Gajewskiej - „eksplozji” kinetycznej. Powyżej: ogólny wygląd pokoju; poniżej: ślady po wyrwanej ze ściany w ułamku sekundy umywalce, kranie oraz lustrze.



Zdewastowany kran oraz pozostałość po tzw. kolanku odprowadzającym wodę do przewodów kanalizacyjnych.





Szczałki umywalki



Otwór w szybie po uderzeniu w nią noża (zdjęcie wykonano następnego dnia, kiedy na szybie pojawiły się już promieniste pęknięcia).



Na zdjęciu obok: 15-letnia w tamtym momencie bohaterka wydarzeń. Mimo że odłamki szkła pokaleczyły ją, nie wygląda na zmartwioną.